

Trzy płaskie klucze

Jerzy Edigey



calibre 0.9.27

Jerzy Edigey:

TRZY PŁASKIE KLUCZE:

WIELKI SEN 2010

Redaktor serii

Grzegorz CIELECKI

Projekt okładki i logo serii

Rafał BARTLET

Skład i łamanie

Anna LEWANDOWSKA

Korekta

Aleksandra BIŁY

© Jerzy STRZAŁKOWSKI

ISBN 978-83-62391-32-5

Wydawnictwo WIELKI SEN

Al. Jana Pawła II 65/90, 01-038 Warszawa

tel. 0-502-322-705

www.klubmord.com, prezesikl3@wp.pl

ROZDZIAŁ I

Duża wskazówka na elektrycznym zegarze wiszącym nad schodami, które prowadziły na pierwsze piętro, drgnęła, a następnie skoczyła i ustawiła się na cyfrze 9. Była więc godzina siódma i czterdzieści pięć minut. Za kwadrans w Powszechnym Banku Rzemiosła rozpocznie się nowy dzień pracy.

Starszy woźny, pan Franciszek Zaleski, obciągnął granatowy mundur i zapiął dwa srebrne guziki pod szyją.

- Idę do szatni i otwieram drzwi - powiedział. - A wy, kobiety, pośpieszcie się. Dochodzi ósma, a sala jeszcze nie sprzątnięta. Stasiu, czy w gabinecie pana prezesa woda w karafce zmieniona i popielniczki wyczyszczone? A u dyrektora Helskiego fikus podlany? Atramentu dołałeś?

- Dobrze, dobrze - odburknął młody człowiek. - Pan Franciszek mógłby choć raz coś innego wymyślić. Codziennie to samo. Gabinet prezesa, fikus, atrament.

- Bo wam, młodym, trzeba codziennie o wszystkim przypominać. Sami niczego nie zrobicie. Za moich młodych czasów, kiedy byłem gońcem, a później młodszym woźnym, nigdy bym nie ośmielił się tak odpowiedzieć starszemu od siebie! Mnie nikt nie musiał poganiać. No, idę otwierać.

Pan Franciszek przepracował w tym gmachu przeszło czterdzieści lat. Przed wojną i aż do roku 1948 mieścił się tutaj Bank Komunalny. Później, na krótko tylko, przekształcono go na jeden z oddziałów Narodowego Banku Polskiego. Wreszcie po jednej jeszcze zmianie na drzwiach wejściowych pojawiła się czarna, marmurowa tablica „Powszechny Bank Rzemiosła”. Ciekawe, że wszystkie te zmiany dotyczyły przede wszystkim nazwy i zakresu operacji bankowych, miały natomiast minimalny wpływ na

sprawy personalne. Większość starszych wiekiem urzę-

dników pracowała od czasów przedwojennych. Młodszy również przeżyli zmiany nie ruszając się od swoich biur.

A wśród najstarszych seniorów był pan Franciszek.

Właśnie teraz ostatni raz zlustrował spojrzeniem obszer-

ną salę operacyjną. W środku stało kilka kanapek dla

klientów oczekujących na swoją kolejną wypłatę. Dalej

okrągły pulpit do pisania. Wokół całej sali biegły szklane

ścianki z okienkami operacyjnymi. W rogu szerokie schody

prowadziły na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się gabine-

ty naczelnego dyrektora i jego zastępcy, wydział prawny,

personalny, wydział obrotu bezgotówkowego i hala maszyn.

Kiedy pan Franciszek stwierdził, że wszystko jest w po-

rządku, przeszedł do małego hallu, do którego prowadziły

drzwi w drugim rogu sali. Tu znajdowała się szatnia i apa-

raty telefoniczne do użytku klientów. Tutaj też cały dzień

siedział jeden ze strażników. Natomiast drugi z wysokości

pierwszego piętra obserwował wszystko, co się dzieje na

sali operacyjnej. Na razie obydwaj gawędzili w szatni.

- Panowie, na swoje miejsca. Otwieram drzwi-

- Dopiero za kwadrans ósma. Jeszcze czas.

- Nie ma czasu. Tylko patrzeć, jak przyjdzie pan dyrektor Helski.

- On zawsze pierwszy! Jak pracuję tu trzy lata, to je-

szcze nie widziałem, żeby ktoś przyszedł przed nim.

- Trzy lata! - roześmiał się Franciszek otwierając z klu-
cza szerokie drzwi prowadzące na narożnik placu Wielkie-
go Cesarza i ulicy Genialnego Muzyka. - Trzy lata... Pamię-
tam, było to w 1932... Nie, w 1933 roku. W czerwcu. Sta-
łem w szatni tak jak dzisiaj. Była równo za dziesięć ósma.
Nagle otwierają się drzwi i wchodzi młody, nieznany mi
człowiek. Więc mówię, że dla klientów bank dopiero czyn-
ny od dziewiątej. A młodzieniec odpowiada, że jest nowym
urzędnikiem i od dzisiaj zaczyna pracę. Nazywa się Zyg-
munt Helski i został przyjęty do wydziału czekowego. Kie-
rownikiem tego wydziału był wtedy pan prokurent Dzierża-
nowski. Zginął w powstaniu, na Mokotowie. Od tego dnia
pan Helski zawsze był pierwszy. Najpierw siedział na dru-
gim miejscu w wydziale czekowym. Później przeszedł do
dziennika podawczego. Pięć lat pracował w księgowości.
Następnie wrócił na salę, ale już do kontroli. Potem awan-
sował na zastępcę działu rozrachunków międzymiasto-
wych. Został prokurentem. A teraz jest zastępcą prezesa.
W tej chwili w drzwiach stanął niski mężczyzna w wie-
ku po pięćdziesiątce, elegancko i bardzo spokojnie ubrany.

- Moje uszanowanie panu dyrektorowi.

- Jak się pan ma, Franciszku. Zawsze na posterunku.

W banku wszystko w porządku?

- Czy mogłoby być inaczej? - pytaniem odpowiedział

Franciszek pomagając dyrektorowi Helskiemu zdjąć płaszcz i wieszając go pieczołowicie na ramiączku.

- Sam sprawdzę.

- Wszystko musi obejrzeć osobiście - uśmiechnął się

jeden ze strażników spoglądając na dyrektora, który przeszedł wzdłuż sali operacyjnej, a następnie otworzył niskie drzwiczki i lustrował kolejno stanowiska bankowe, poczynając od wydziału inkasa poprzez czekowy, kontrolę kasy aż do biura podawczego i pomieszczenia księgowości przyległego do sali operacyjnej. Obok wydziału księgowości znajdowały się wewnętrzne schody- Prowadziły na dół.

Tutaj mieścił się skarbiec banku, sejfy oraz archiwum.

I tych zakamarków dyrektor Helski nie omieszkął skontrolować osobiście. Nawet jeden ze strażników podzielił się z panem Franciszkiem uwagą, że dyrektor długo dzisiaj bawi w podziemiu. Wreszcie dyrektor powrócił i skierował się na piętro do swojego gabinetu.

Tymczasem w szatni było coraz pełniej. Urzędniczki i urzędnicy wchodzili do banku, szybko zdejmowali okrycia i zajmowali swoje miejsca. Punkt ósma prawie wszyscy byli już na stanowiskach. Odezwały się maszyny do pisania, zaklekotały maszyny rachunkowe. Bank rozpoczął dzień normalnej pracy. Parę minut po ósmej, zgodnie ze

zwyczajem, pan Franciszek ponownie zamknął na klucz wejściowe drzwi. Jego pomocnik, Stanisław Nawrocki, zaniósł książkę obecności do kierownika sali operacyjnej dyrektora Jana Lisaka, urzędującego w szklanej klatce tuż obok kasy. Drzwi banku zostaną otwarte punktualnie

o dziewiątej, a jednocześnie z odgłosem otwieranych drzwi otworzą się wszystkie okienka na sali operacyjnej.

Przedtem jednak, co było już tradycją od założenia w tym gmachu banku, główny kasjer, a był nim obecnie Adam Jarosz, razem ze swoim pomocnikiem Edwardem Srockim muszą podjąć pieniądze ze skarbca. Dyrektor Helski i kierownik sali Lisak za dziesięć dziewiąta zjawili się przed kasą. Każdy z nich trzymał w ręku długi, płaski klucz.

- Idziemy? - zapytał dyrektor Helski.

- Tak jest, panie dyrektorze - odpowiedział kasjer. -

Zabieram ze skarbca tylko wczorajszy obrót. Zgodnie z arkuszem kasowym zostało z wczorajszego dnia 5763817 złotych. To nam powinno wystarczyć na dzisiaj.

- Chodźmy - rzekł Lisak.

Trzej mężczyźni zeszli schodkami do podziemia. Za nimi kroczyli Edward Srocki i młodszy woźny Stanisław Nawrocki. Zadaniem tej dwójki był transport pieniędzy i dokumentów na górę po wyjęciu ich z trezora. Do skarbca wchodził tylko główny kasjer. Nikt poza nim, nawet prezes banku, nie miał tego prawa.

Na dole znajdował się niewielki hall. Były tu trzy pary drzwi. Na jednych z nich wisiała tabliczka „Archiwum”.

Drugie, właśnie półotwarte, pozwalały dostrzec, że znaj-

duże się tam dość obszerne pomieszczenie wypełnione rozmaitymi, widocznie nieużywanymi już meblami. Wśród nich znajdowała się lodówka. Była czynna. Jej motor pracował z cichym warkotem. Po otwarciu trzecich drzwi trzej panowie stanęli przed grubą metalową kratą. Adam Jarosz wyjął z kieszeni duży metalowy klucz na kółku i otworzył nim zasuwę. Krata otwierała się do wewnątrz. Był to dość długi pokój, a raczej korytarz. Całą jedną ścianę stanowiły różnej wielkości metalowe drzwiczki. To sejfy bankowe wynajmowane klientom dla przechowywania wartościowych depozytów. Po drugiej stronie tego pomieszczenia znajdowało się kilka budek, przypominających wyglądem budki telefoniczne, lecz z matowymi szybami. W tych budkach klienci banku, nienarażeni na wścibskie spojrzenia, mogli przeglądać zawartość swoich sejfów. Na końcu korytarza z sejfami znajdowała się jeszcze jedna krata oddzielająca je od właściwego skarbcza. Tę kratę otworzył Jarosz drugim ze znajdujących się na kółku kluczy.

Trzej dyrektorzy weszli do małego, prawie kwadratowego pokoiku. Srocki i Nawrocki czuwali w pogotowiu w korytarzu sejfowym. Jedną ścianę kwadratowego lokum stanowiły wielkie pancerne drzwi. Zamiast klamki miały w środku spore metalowe koło. Obok niego pionowo, jed-

na pod drugą, znajdowały się trzy dziurki od kluczy. Zamylały je mosiężne zastawki.

Teraz zaczął się codzienny poranny ceremoniał. Trzej mężczyźni stanęli o jakieś dwa metry od pancernych drzwi. Dyrektor Helski podszedł do stalowej ściany, trzymany w ręku klucz włożył w górną dziurkę i przekręcił.

Coś cicho stuknęło w głębi skarbcza. Helski wrócił na swoje miejsce, a z kolei do pancernych drzwi zbliżył się Jan Lisak. Podobnym płaskim kluczem otworzył drugi zamek. Gdy wrócił na poprzednie miejsce, do skarbcza podszedł główny kasjer. On również miał w ręku płaski klucz.

Szczęknięła trzecia zapadka.

Jarosz pokręcił metalowym kołem. Ostatnie rygle zostały zwolnione i wielkie pancerne drzwi skarbcza uchyliły się lekko, bez najmniejszego szmeru. Dopiero teraz można było zauważyć, że stalowy pancierz miał prawie pół metra grubości.

Wewnątrz znajdowało się kwadratowe pomieszczenie mniej więcej dwa na dwa metry, wyłożone pancernymi blachami. Wszystkie ściany od góry do dołu zajmowały półki. Na dolnych przechowywano najcenniejsze księgi rachunkowe banku, dowody kasowe i depozyty. Wyżej znajdowały się pękate teczki z papierami wartościowymi i z weksłami. Po bokach umieszczono druki ścisłego zarachowania - książ-

żeczki czekowe i blankiety wekslowe. Na samym środku stał duży kufer z dwoma uszami. Codziennie o godzinie drugiej, a więc po zamknięciu kasy, główny kasjer, wraz ze swoim pomocnikiem, umieszczali w tym kufrze dzienny obrót banku oraz księgę główną kasy i arkusz kasowy. Na-

stępnie kufer wędrował na noc do skarbca otwieranego i zamykanego zawsze z takim samym ceremoniałem. Każdy z dyrektorów miał jeden klucz. W czasie nieobecności jednego z nich pancernych drzwi nie można było otworzyć.

Jarosz wszedł do skarbca. Chwycił kuferek za jedno ucho i wyciągnął na zewnątrz. Potem ponownie wszedł do wnętrza kasy pancernej, aby wyjąć teczki z weksłami, których terminy płatności wypadały w tym tygodniu. Gdy odszukiwał wśród stojących teczek potrzebne mu dokumenty, przypatrujący się tym czynnościom Jan Lisak nagle zbladł. Chciał krzyknąć, ale zdołał jedynie wybełkotać drżącym ze zdenerwowania głosem:

- Górna półka... Rezerwa bankowa... Gdzie jest rezerwa?

Wszyscy spojrzeli w głąb kasy. Rzeczywiście, górna półka była zupełnie pusta. A przecież jeszcze wczoraj, gdy po południu zamykano skarbiec, leżała tutaj jak zwykle rezerwa bankowa. Dziesięć milionów złotych w nowiutkich banknotach, opakowanych w paczkach po sto sztuk.

Główny kasjer wiedział na pamięć, że dziewięć milionów dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy złotych jest w banknotach pięćsetzłotowych. Reszta w setkach, pięćdziesiątkach i dwudziestkach. Teraz zdziwionymi i przerażonymi oczami oglądał puste miejsce. Nie dowierzając zmysłowi wzro-

ku, podszedł do półki i przeciągnął po niej ręką. Palce natrafiły na papierek leżący nieco w głębi, tak że nie było go widać. W ręku trzymał niebieską dwudziestkę. Wszystko, co pozostało z dziesięciu milionów.

Pierwszy opanował się dyrektor Helski.

- Proszę, niech panowie pozostaną na swoich miejscach. Idę po prezesa.

Za chwilę wrócił z naczelnym dyrektorem, Marianem Chudzińskim. W tym banku, tak pełnym tradycji, nie nazywano Chudzińskiego „naczelnym dyrektorem”, mimo że oficjalnie nosił taki tytuł. Zawsze zwracano się do niego „panie prezesie”, gdyż przed wojną tak nazywano ówczesnego kierownika Banku Komunalnego. Przeto i teraz Helski, mimo zdenerwowania, tłumaczył panu prezesowi, że z kasy zniknęło w ciągu nocy 10 000 000 złotych.

Marian Chudziński uważnie obejrzał skarbiec, ale stwierdził jedynie to, co już spostrzegli poprzednicy: pieniędzy w trezorze nie było.

- A czy jest gotówka obrotowa z wczorajszego dnia?

- Tak jest, panie prezesie - przytaknął Adam Jarosz pochylając się nad kufrem. - Koperty, w które osobiście pakowałem banknoty, leżą nienaruszone. Również woreczki z bilonem są na swoim miejscu.

- No cóż, sami nic nie poradzimy. Niech panowie biorą kufer na górę i rozpoczynają urzędowanie. Pan Srocki zawoła strażnika z szatni i pozostanie z nim przy skarbcu.

Proszę niczego nie dotykać. I nie zamykać drzwi pancernych! Dyrektor Lisak natychmiast zawiadomi milicję.

Oczywiście wszyscy są obowiązani utrzymać całe zdarzenie w tajemnicy.

- To niewykonalne, panie prezesie. Sam fakt sprowadzenia strażnika na dół do skarbcza już wywoła sensację.

Nie mówiąc o pojawieniu się milicji.

- Ma pan rację, dyrektorze. Ale nie chodzi mi o ukrycie tych przykrych wydarzeń przed naszymi pracownikami.

Zdaję sobie sprawę, że jest to niemożliwe. Pragnę jednak uniknąć niezdrowej sensacji, która mogłaby zakłócić normalny tok pracy i zaszkodzić opinii naszego banku. Najle-

piej chyba będzie, jeżeli panowie dyskretnie, bez przerywania urzędowania, poinformują pracowników o kradzieży i uprzedzą ich o przyjeździe milicji. Ja będę jej oczekiwał w moim gabinecie.

Ktokolwiek tego ranka załatwiał jakieś sprawy w gmachu Powszechnego Banku Rzemiosła, musiał być zdziwiony dziwnym podnieceniem, które w widoczny sposób dawało się zauważyć w tej zawsze spokojnej i zrównoważonej instytucji. Na realizację czeku trzeba było czekać aż dwadzieścia minut. Zjawisko w Powszechnym Banku Rzemiosła wprost niesłychane. Urzędnicy szeptali po kątach lub zbierali się w małe grupki. Główny kasjer, słynący z błyskawicznego liczenia banknotów, dziś opieszale załatwiał klientów, liczył pieniądze powoli, a nawet dwa czy trzy razy się omylił. Symbol spokoju, opanowania i grzecz-

ności. starszy woźny, pan Franciszek, również był wyraźnie roztargniony. Pewną klientkę chciał ubrać w granatowy płaszcz wartownika. Co gorzej, kanonikowi z Łowicza podał różowy kapelusik z figlarnym zielonym piórkiem.

Dyrektor Lisak zawiadomił telefonicznie prezesa banku, że porozumiał się już z Komendą MO m.st. Warszawy i z Pałacu Mostowskich natychmiast wysyłają ekipę śledczą. Rzeczywiście, pół do dziesiątej przed bankiem zatrzymały się dwie warszawy i pięciu ludzi - dwóch w ubraniach cywilnych i trzech mundurowych - wkroczyło na salę operacyjną. Pan Franciszek skierował ich do siedzącego w swoim oszklonym boksie Jana Lisaka.

- Jesteśmy z MO. Moje nazwisko Jarkowski. Piotr Jarkowski z Komendy Stołecznej. To pan do nas dzwonił? Mielicie w banku włamanie?

- Może najpierw panowie pozwolą do gabinetu prezesa banku pana Chudzińskiego. Prezes udzieli wszelkich informacji.

Milicjanci przeszli na górę. Lisak wprowadził ich do obszernego, elegancko umeblowanego pokoju, gabinetu naczelnego dyrektora. Chudziński wraz z Helskim powitali wchodzących, a prezes przedstawił przebieg wypadków dzisiejszego dnia. Specjalny nacisk położył na to, że dochodze-

nie winno się odbywać bez zawieszania urzędowania w banku i naturalnie bez robienia sensacji wokół tej sprawy.

- Sensacji trudno będzie uniknąć. Wiadomość o kradzieży tej miary rozniesie się po mieście lotem błyskawicy.

Za dwie godziny ludziska będą rozpowiadać na bazarze Różyckiego, że ze skarbca banku skradziono sto milionów dolarów. A najdalej za cztery godziny zwali się panom na głowę cała warszawska prasa. Nie o to zresztą chodzi. Powiadacie, panowie, że wczoraj zamknęliście skarbiec, a dzisiaj był tak samo zamknięty, lecz pusty? I żadnych śladów włamania?

- Sam pan zobaczy, kapitanie.

- Tajemnicza sprawa.

- Bardzo panów proszę o uwzględnienie mojej prośby - mówił dalej prezes. - Co do prasy, to mam nadzieję, że uda nam się przekonać stołeczne dzienniki, aby opublikowały najwyżej krótkie wzmianki. Jesteśmy zaprzyjaźnieni z prasą stołeczną. Niepotrzebna sensacja jest dla nas bardziej szkodliwa niż sama strata materialna. Jak na operacje naszego banku, nie jest aż tak wielka, żeby mogła stworzyć choćby najmniejsze trudności w działalności naszej instytucji.

- Jednak to dziesięć milionów - zauważył jeden z milicjantów.

- Nasz dzienny obrót jest wielokrotnie wyższy - z naci-
skiem powiedział dyrektor Helski.

- Ja muszę zaraz jechać do Ministerstwa Finansów
i złożyć wyjaśnienie w sprawie kradzieży - powiedział pre-
zes Chudziński. - Bardzo proszę, aby panowie korzystali
z wyjaśnień dyrektora Helskiego, który w naszym banku
pracuje od 30 lat i zna tu wszystko lepiej ode mnie. Oczy-
wiście w razie potrzeby mogą panowie dysponować pozo-
stałymi pracownikami banku.

- Pan prezes pozwoli, że najpierw obejrzymy skarbiec.
Spróbujemy odnaleźć jakieś ślady, chociaż wątpię. Jeśli
nawet były, to otwierając rano kasę musieliście je nie-
chęć zatrzeć. A potem rozejrzemy się w terenie i dopie-
ro wówczas poprosimy dyrektora Helskiego o informacje
i naradzimy się, co robić dalej.

- Może więc dyrektor Helski zaprowadzi panów do
podziemia. Ja na razie panów pożegnam.

W ciągu godziny ekipa milicyjna dokonała najrozmait-
szych czynności w skarbcu. Daktyloskop zebrał pokaźną
ilość odcisków, fotograf zrobił serię zdjęć. Wymierzono do-
kładnie cały trezor i szczegółowo zbadano mechanizm za-
mków skarbcu. Nie wykazywały one najmniejszych śladów
uszkodzenia. W końcu kapitan Jarkowski polecił za-
mknąć skarbiec - a trzeba było w tym celu sprowadzić

wszystkich trzech dyrektorów - i odesłał strażnika oraz
pomocnika kasjera na górę. Jedna z milicyjnych warszaw
odjechała wraz z trzema umundurowanymi przedstawi-
cielami MO. Natomiast dwaj panowie w cywilu spacerowa-
li przez chwilę po sali operacyjnej nad czymś się naradza-

jąc. Następnie niższy z nich, porucznik Roman Widera, usiadł na kanapce i zaczął robić notatki. Kapitan Jarkowski poszedł na piętro. Otworzył drzwi do gabinetu dyrektora Helskiego.

- Chciałbym z panem porozmawiać.

- Proszę bardzo. Niech pan siada, kapitanie. Kawa czy herbata?

- Dziękuję. Ani jedno, ani drugie.

- Więc chociaż papierosa - dyrektor podsunął „służbową” paczkę Waweli leżącą na biurku. - Czym mogę służyć?

- Obejrzelismy cały skarbiec. Bardzo dokładnie zbadaliśmy rygle pancernych drzwi kasy. Nie ma żadnych uszkodzeń ani żadnych śladów.

- Tak?

- Stąd prosty wniosek. Pieniądze wziął ten, kto ma klucze.

Dyrektor Helski roześmiał się sucho.

- A więc my trzej. Każdy z dyrektorów ma jeden klucz.

- Niekoniecznie trzej. Wystarczyło się umówić i dać klucze jednemu z panów. Do otwarcia zamku nie potrzeba trzech ludzi. Potrzeba jedynie trzech kluczy. To obojętne, w ilu one będą rękach.

- Pan w to wierzy, kapitanie, że okradliśmy własny

bank? W którym każdy z nas pracuje co najmniej 25 lat?

- Moja wiara nic do tego nie ma. Natomiast jest faktem, że nikt obcy nie mógł ukraść. Nie łudźmy się.

Ukradł jeden z pracowników lub szajka składająca się z pracowników banku. To nie ulega wątpliwości. Dlatego też w tej chwili podejrzanym jest dla mnie każdy pracownik banku. Również panowie dyrektorzy. Panowie są dodatkowo obciążeni, ponieważ jesteście jedynymi ludźmi, mającymi klucze do skarbcza. Chyba że istnieje jeszcze jeden komplet?

- Istnieje. Na wypadek, gdyby któryś z naszych kluczy zepsuł się lub zginął.

- Gdzie jest ten komplet?

- Zapasowe klucze są zdeponowane w Komendzie MO m.st. Warszawy w Pałacu Mostowskich.

ROZDZIAŁ I

- W Komendzie Milicji - powtórzył jak echo kapitan Piotr Jarkowski.

- Posiadamy dwa komplety kluczy do skarbcza. Jeden, jak już pan wie, rozdzielony jest między trzech wyższych urzędników banku, aby tylko wspólnie mogli otworzyć pancerne drzwi. Drugi komplet trzymaliśmy początkowo w Narodowym Banku Polskim. Później jednak kontrola NIK zwróciła nam uwagę na mogące wyniknąć z tego nie-

bezpieczeństwo - jeden człowiek mający klucz do sejfu
NBP ma również dostęp do naszych kluczy. Po namyśle
i dość długiej korespondencji, gdyż Komenda MO wcale
się nie kwapiła do przyjęcia tego rodzaju depozytu, złoży-
liśmy komplet kluczy w Pałacu Mostowskich z tym za-
strzeżeniem, że w razie potrzeby milicja przyjedzie z klu-
czami do banku i będzie obecna przy otwieraniu trezora.

- W ten sposób - zakończył dyrektor Helski - wy posą-
dzacie nas, a my możemy z równym skutkiem twierdzić,
że skarbiec został otwarty kompletem kluczy znajdują-
cych się w Pałacu Mostowskich.

Kapitan roześmiał się.

- Oczywiście sprawdzimy i tę ewentualność, ale jest ona
mało prawdopodobna. Ani milicjant, ani żaden cywil nie
mógł z zewnątrz wejść po godzinie drugiej po południu nie
tylko do skarbcza, ale nawet do gmachu banku. A gdy w pół
godziny później umieszczaliście wczoraj kufer w kasie
z obrotem dziennym, pieniądze leżały przecież na górnej
półce nienaruszone. Przystępstwa dokonano przeto pomię-
dzy godziną trzecią wczoraj po południu a ósmą rano dnia
dzisiejszego. Chciałbym obejrzeć te wszystkie klucze.

- W tej chwili poproszę tutaj dyrektora Jana Lisaka
i dyrektora Adama Jarosza. Oto mój klucz.

Kapitan wziął podany mu przedmiot i uważnie go obej-

rzał. Był to płaski klucz zrobiony z jakiegoś białego,
podobnego do srebra metalu. Wyglądał jak popularny „Ya-
le” od zatrzasku do drzwi, tylko znacznie dłuższy. Na jego
płaskim łebku nad okrągłą, niewielką dziurką oficer MO

odczytał napis „Henry Kane”, a pod spodem „London, England”. U nasady klucza z jednej strony wygrawerowany

był „1902”, z drugiej „6755”. Klucze, które kapitan następnie oglądał u pozostałych dwóch ich posiadaczy, były

identyczne. Miały tylko nieco inny układ ząbków. Ich numery brzmiały: „6754” i „6756”.

Oglądając wszystkie trzy klucze przez silnie powiększające szkło kapitan nie wykrył na nich najmniejszych śladów zadrapań czy szczerb. Oficera MO zastanowiła również ich waga. Były bardzo ciężkie.

- To chyba nie stal?

- Nie, kapitanie. To stop irydu z platyną. Bodaj najtwardszy ze znanych na świecie metali. Nasz bank został wybudowany w 1901 roku, a uruchomiony w rok później.

Wówczas ten skarbiec był ostatnim wyrazem techniki w tej dziedzinie. Budowali go Anglicy z firmy „Henry Kane”. Data na kluczu oznacza rok produkcji kasy, a numer jest kolejnym numerem produkcji każdego kompletu.

Stop jest tak twardy, że chociaż te klucze używane są bez przerwy od przeszło sześćdziesięciu lat, nie ma na nich najmniejszych znaków zużycia. Tymi kluczami można nawet szkło krajać.

- A te zdeponowane w Komendzie Milicji są takie same?

- Nie. W czasie Powstania Warszawskiego przepadł nam drugi komplet kluczy, więc dorobiliśmy zapasowy, lecz już ze stopu używanego normalnie do produkcji „Yale”. Właśnie ten „normalny” komplet został złożony w MO.

- Wiem, że fabryki kas pancernych robią zwykle trzy komplety kluczy. Gdzie jest ten trzeci komplet? Bo nawet wszystkie zasuwki i zatrzaski mają potrójne zestawy...

- Ma pan rację. Pierwotnie nasz skarbiec miał także trzy komplety. Przechodziły one różne koleje. Można by o tym całą książkę napisać. W czasie pierwszej wojny światowej nasz bank był ewakuowany aż do Samary, dziś Kujbyszew. Dwa komplety kluczy zostały w Warszawie, trzeci wędrował po różnych miastach Rosji i wrócił do Polski razem z archiwum bankowym dopiero w 1922 roku. W okresie międzywojennym jeden komplet, ten „robotniczy”, posiadali

nasi poprzednicy, drugi miał prezes banku Jacek Potulicki, a trzeci prezes rady nadzorczej Artur Śliwowski.

- Potulicki zginął w Lublinie?

- Widzę, że pan kapitan jest doskonale poinformowany o wielu sprawach. Istotnie, prezes Potulicki eskortując część skarbcza Banku Polskiego, papiery oraz pieniądze Banku Komunalnego, zginął w czasie nalotu w dniu 8 września 1939 roku na ulicy w Lublinie. Bomba trafiła w samochód, który wraz ze wszystkimi pasażerami dosłownie rozniosło na drobne kawałki. Ponieważ obok stała ciężarówka z beczkami benzyny, pożar strawił wszystko, co jeszcze mogło pozostać po eksplozji bomby. W ten sposób straciliśmy pierwszy komplet kluczy.

- Prezes Potulicki miał przy sobie te klucze? Jest pan tego pewien?

- Jak najzupełniej. Prezes był doświadczonym, wytrawnym bankowcem. Klucze zawsze nosił przy sobie. Trzymał je w kamizelce na specjalnym łańcuszku i nigdy się z nimi nie rozstawał. Doceniał ich znaczenie. To nie to, co teraz, gdy nasz bank jest przede wszystkim instytucją sprawdzającą prawidłowość różnych list, płacy i kontystą obrotów bezgotówkowych. Przed wojną, panie kapitanie, mieliśmy w naszym skarbcu kwoty sięgające nieraz paru

milionów dolarów. I to tych dobrych dolarów sprzed dewaluacji. Przekazanie kluczy prezesowi banku i prezesowi rady nadzorczej było dowodem wysokiego zaufania akcjonariuszy do władz instytucji.

- Mniejsza z tym - kapitan machnął ręką. - Nie chodzi nam o tych panów, tylko o klucze. Przyjmijmy, że jeden komplet zginął w Lublinie. Co się stało z drugim?

- Po śmierci prezesa Potulickiego jego stanowisko objął Artur Śliwowski. Muszę tu wyjaśnić, że pan Śliwowski prócz funkcji prezesa rady nadzorczej Banku Komunalnego piastował godność naczelnego dyrektora Banku Amerykańskiego, który mieścił się przed wojną przy ulicy Królewskiej, tuż obok Polskiej Agencji Telegraficznej. Bank ten, wbrew nazwie, związany był z kapitałami włoskimi i austriackimi. Spłonął we wrześniu 1939 roku,

a w czasie okupacji nie wznowił działalności. Prezes Śliwowski mieszkał przy ulicy Focha koło placu Teatralnego i w parę dni po wybuchu powstania został wraz z innymi mieszkańcami tej dzielnicy zamordowany przez hitlerowców w gmachu Teatru Wielkiego. Jego mieszkanie spłonęło. W ten sposób przepadł drugi komplet kluczy.

- A sam bank? Też się spalił?

- Nasz bank ocalał, spłonęło jedynie górne piętro. Pociiski zniszczyły też mocno salę operacyjną. Natomiast podziemie zostało zalane wodą, co zresztą uchroniło skarbiec i sejfy przed rabunkiem hitlerowskim. Szczęśliwym trafem wszyscy trzej posiadacze „roboczego” kompletu kluczy, a wśród nich był pan Jarosz, ja oraz zmarły później dyrektor Dzierżanowski, ocaleli z zawieruchy wojennej i ocalili swoje klucze. W lecie 1945 roku rozpoczęła się odbudowa banku. Wypompowano wodę z podziemi. Skarbiec zdał swój egzamin. Płyta pancerna jak zawsze odchyliła się lekko i cicho, a we wnętrzu nie było ani kropelki wody. Ocalały także wszystkie sejfy, chociaż do niektórych zakradła się wilgoć.

- Czy próbowaliście dostać z Londynu nowe klucze?

- Oczywiście. Początkowo nikt w kraju nie chciał się podjąć zrobienia duplikatów. Za pośrednictwem naszej

ambasady w Anglii usiłowaliśmy odnaleźć fabrykę, aby zamówić nowy komplet. Okazało się jednak, że firma nie istnieje już od przeszło dwudziestu lat, a tego rodzaju zamków obecnie się nie produkuje. W końcu po wielu nieudanych próbach fachowcy z Fabryki Maszyn Precyzyjnych wykonali zastępczy komplet. Uprzedzili jednak, że raczej należy używać dotychczasowych kluczy, a dorobione traktować jako rezerwę.

Przez parę chwil kapitan robił w milczeniu notatki w swoim brulionie. Następnie spojrzał pytająco na dyrektora Helskiego. Ten uśmiechnął się blado i rzekł:

- To naprawdę wszystko, co wiem o kluczach.
- Przyjmijmy, że tak było. Oczywiście sprawdzimy dokładnie te stare historie. Ale na tym sprawa kluczy jeszcze się nie wyczerpuje. Dostęp do skarbca chroniony jest, jak

zauważyłem, również przez dwie stalowe kraty. W nich także są zamki. Kto ma do nich klucze?

- Klucze do obu krat posiada główny kasjer, czyli dyrektor Jarosz. Przyznam się, że do tych kluczy nie przywiązywaliśmy większego znaczenia. W godzinach załatwiania klientów pierwsza krata zawsze jest otwarta. Zamyka się jedynie drugą, prowadzącą bezpośrednio do pomieszczenia przytykającego do trezora.

- Dlaczego?

- Pierwsza krata zamyka wejście na korytarzyk, wzdłuż którego ciągną się sejfy. W tych sejfach klienci nie trzymają wprawdzie jak dawniej złota i kosztowności, niemniej wiele spółdzielni rzemieślniczych, a nawet osób prywatnych, nie mających odpowiednich kas pancernych, przechowuje u nas ważne dokumenty. Każdy posiadacz sejfu ma prawo w godzinach pracy banku przyjść tutaj i dostać się do swojego schowka. Musielibyśmy więc stale otwierać i zamykać te drzwi.

- Klienci sami wchodzą do działu sejfów?

- Nie. Zawsze im towarzyszy przedstawiciel banku. Najczęściej pomocnik kasjera, czasem inny urzędnik. Niekiedy nawet woźny Franciszek lub jego zastępca Nawrocki. Klienci mają własne klucze do sejfów, drugi ich komplet

zapięczętowany spoczywa w skarbcu. Klient otwiera sejf w obecności naszego urzędnika i jeśli chce bez świadków obejrzeć swój depozyt, korzysta z jednej z trzech kabin stojących obok. Przez cały czas urzędnik banku znajduje się na korytarzu obok sejfów. W ten sposób klient nie może nawet podjąć próby otwarcia cudzego schowka. Poza tym o tyle jest to niemożliwe, że konstrukcja kluczy pozwala otworzyć jedynie własny schowek, do sąsiednich nie pasuje. To nie jak w skrzynkach pocztowych. Mimo to zachowujemy i w tym przypadku maksymalną ostrożność. Gdy w skarbcu umieszczamy kufer z obrotem dziennym banku, pan Jarosz wychodząc zamyka obydwie kraty. Jak pan widział, kapitanie, na kółku z irydowym płaskim kluczem kasjer miał jeszcze dwa inne. Właśnie od tych dwóch krat. Nikt więc nie może po zamknięciu banku wejść na-

wet na korytarzyk z sejfami, nie mówiąc już o zbliżeniu się do skarbcza.

- Nikt nie może wejść, a dziesięć milionów złotych zginęło!

- Tego nie mogę zrozumieć. Chyba cudownym sposobem!

- Mam nadzieję, że wyjaśnimy ten cud. Pieniądze same nie znikają ze skarbców bankowych. Klucze od krat muszą również mieć swoje duplikaty. Gdzie one są?

- Duplikaty kluczy wszystkich pomieszczeń bankowych znajdują się w archiwum. Wiszą na specjalnej tablicy, zamkniętej na kłódkę i zapieczętowanej. O ile wiem, ta tablica od lat nie była otwierana.

- A jak bank jest pilnowany w godzinach urzędowania i w nocy?

- Spostrzegł pan zapewne, kapitanie, że nasz bank ma parter i dwa piętra. To drugie bardzo niewielkie, właściwie jest poddaszem. Nie ma ono żadnego połączenia z bankiem. Klatka schodowa i brama na podwórze wewnętrzne domu znajdują się na zewnątrz pomieszczeń zajmowanych przez bank. Na tym drugim piętrze mieszka administrator gmachu, dozorca i woźny Franciszek. Po godzinie trzeciej, gdy kończy się urzędowanie, w banku nadal pozostaje woźny lub jego pomocnik oraz dwaj strażnicy.

Przychodzą wówczas sprzątaczkę i pod nadzorem woźnego

sprzątają cały lokal. O siódmej wieczorem zmieniają się strażnicy. O tej godzinie wszyscy poza nimi muszą opuścić bank, ponieważ administrator zamyka drzwi wejściowe. Strażnicy są więc zamknięci od zewnątrz. Jedyne ich kontakty ze światem to wewnętrzny telefon do mieszkania administratora. Strażnicy mają dwa zegary kontrolne. Jeden w sali operacyjnej, drugi na pierwszym piętrze. Obydwa muszą nakręcać jednocześnie co pół godziny. Żaden ze strażników nie może sobie pozwolić na spanie.

- Czy bank jest pilnowany z zewnątrz?

- Tak. Na zewnątrz cały czas chodzi dozorca nocny.

W podziemiu pali się światło i z ulicy doskonale widać korytarzyk z sejfami i drzwi skarbcza, gdyż podziemie ma duże, solidnie okratowane okna wystające metr ponad chodnikiem. Dozorca nocny także musi nakręcać zegar kon-

trolny. Nie wyobrażam sobie, żeby dozorca nocny nie mógł zobaczyć kogoś, kto zbliżyłby się do skarbca. Poza tym przy najmniejszej próbie otwarcia krat uruchamia się automatycznie system alarmowy.

- A rano?

- O godzinie siódmej rano administrator otwiera drzwi zewnętrzne. Wchodzi do banku i sprawdza, czy wszystko w porządku. Kontroluje także działanie sygnalizacji alarmowej. Wtedy następuje zmiana strażników. Ogółem mamy ich sześciu. Pracują na zasadzie 12 godzin dyżuru i 24 godzin wolnych. O siódmej rano przychodzą do pracy obaj woźni i sprzątaczkę kończą porządki.

- Z tego wnioskuję, że gdyby strażnicy działali w zmo-
wie i mieli klucze, mogliby bez trudu dostać się do kasy. Otworzenie obydwu krat, a następnie samego skarbca, wyjęcie pieniędzy i z powrotem zamknięcie wszystkiego zabrałoby im najwyżej pięć minut.

- Pan zapomina, kapitanie, że z ulicy widać by ich było jak na dłoni. A poza tym system alarmowy uruchomiłby syrenę już przy dotknięciu pierwszej kraty. Wreszcie skąd by wzięli klucze? I te od skarbca, i od krat?

- Wszystkie systemy alarmowe są łatwe do unierucho-
mienia. Tym bardziej od wewnątrz. Wystarczy wykryć dro-

gi przewodów i przeciąć jeden drut. Później, już po „zoperowaniu” kasy, tylko podłączyć druty na nowo. A co do kluczy? To stanowi zasadniczy problem. Kiedy go wyjaśnimy, dojdziemy i do sprawcy kradzieży. Dlatego strażników muszę uważać za numer drugi mojej listy podejrzanych.

Na pierwszym miejscu, jak już powiedziałem, mają zaszczyt znajdować się panowie - posiadacze kompletu kluczy. Jeżeli chodzi o dozorcę nocnego, to przez pięć minut potrzebnych na dostanie się do skarbca, mógł on przebywać albo w bramie domu, albo po drugiej stronie narożnika przed inną częścią gmachu banku. Jakiś wspólnik tej dwójki mógł go w tym czasie czymś zająć. W nocy ruch tu minimalny i ryzyko, że przypadkowy przechodzień spostrzeże człowieka manipulującego przy drzwiach skarbca, jest bardzo niewielkie.

- Nadal uważa pan nas za złodziei?
- Naczelną zasadą milicji przy badaniu przestępstw jest nie ufać nikomu i niczemu, a tylko oczywistym, niewzruszalnym faktom. Ale nie prowadźmy na ten temat dyskusji. To nie doprowadzi do niczego. Pragnąłbym natomiast obejrzeć ten wasz system alarmowy i tablicę z kompletem zapasowych kluczy.
- Służę panu - dyrektor Helski podniósł się z biurka i otwierając drzwi gabinetu przepuścił przed sobą oficera milicji. Zeszli na parter. W szatni dyrektor pokazał metalową skrzynkę wpuszczoną w ścianę, zamykaną na klucz.
- W tej skrzynce jest wyłącznik systemu alarmowego - wyjaśnił.
- Ciekawe - stwierdził kapitan i zwracając się do porucznika MO Romana Widery, który przyłączył się do schodzących z góry mężczyzn, dodał:
- Spróbuj otworzyć ten drobiazg.

Porucznik uważnie przyjrzał się zamkowi. Potem wyjął z kieszeni kółko z kilkoma umocowanymi przy nim stalowymi drutami o różnych kształtach i wygięciach. Spróbował najpierw jednym, lecz bez skutku. Gdy jednak włożył w zamek drugi wytrych, drzwiczki otworzyły się natychmiast.

- Doskonale zabezpieczenie systemu alarmowego - zau-

ważył sarkastycznie kapitan. - Pan sądzi, dyrektorze, że tylko milicja umie się posługiwać wytrychami? Zobaczmy dalej.

Dyrektor Helski nieco zmieszany zaprowadził obydwu przedstawicieli milicji do podziemia, gdzie otworzył drzwi z napisem „archiwum”. Wszyscy trzej znaleźli się w dużym pomieszczeniu wypełnionym regałami. Na nich znajdowały się różne książki i paczki z aktami w szarym papierze związane sznurkiem i opatrzone odpowiednim napisem.

Na ścianie, w pobliżu drzwi, wisiała oszklona płaska gablota. Wewnątrz na gwoździkach, opatrzonych numerami, wisiało kilkadziesiąt kluczy. Tablica zamknięta była na małą kłódeczkę i zaklejona paskiem papieru z pieczęcią banku.

Oficerowie milicji uważnie przyglądali się dłuższą chwilę zarówno opasce, jak kłódeczce.

- Mówił pan, dyrektorze, że ta tablica od lat nie była otwierana? A jednak resztki kleju widocznego na opasce i na drzewie są świeże, mają najwyżej parę dni. Sama kłódeczka nie robi zresztą wrażenia zamka, którego przez całe lata nikt nie dotykał. Przecież byłyby na niej ślady kurzu.

- To pomieszczenie, jak i inne, jest codziennie sprzątané - bronił się dyrektor Helski. - Nic dziwnego, że nie ma kurzu. Sprzątaczkę go wytarły.

- Ejże - roześmiał się porucznik Widera. - Niech pan patrzy, jak te wasze sprzątaczkę pracują.

To mówiąc pociągnął palcem po wierzchu jednej z książek stojących na najbliższym regale. Palec pokrył się grubą warstwą brudu.

- Na tym kurzu można nawet listy palcem pisać!

Tymczasem kapitan odpiął spod klapy munduru dużą agrafkę. Pokazał ją dyrektorowi Helskiemu:

- Oto zwykła agrafka. Nie jakiś tam wymyślny wytrych z kolekcji porucznika Widery. Proszę patrzeć.

Oficer włożył koniec agrafki w kłódkę tuż przy skobelku. Lekko poruszył agrafką i zapięcie kłódeczki odskoczyło z cichym trzaskiem. Kapitan otworzył na oścież oszkłone drzwi gabloty.

- Wewnątrz również nie ma śladu kurzu. Przypuszczam, że klucze od krat to te duże, które wiszą na samym dole?

Ani słowa, doskonale mieliście zabezpieczony skarbiec.

Wystarczył wytrych i zwykła agrafka, aby droga do pieniędzy dla każdego stanęła otworem. Dziwię się, że dopiero teraz was okradli. Powinni to zrobić grubo wcześniej.

Dyrektor Helski spuścił głowę i milczał. Wreszcie wykrztusił:

- Pan nam udowodnił, że to, czym się chlubiśmy - stuprocentowym bezpieczeństwem skarbcza - nie istnieje.

Natychmiast wydam odpowiednie zarządzenia. Ale co z tego, panie kapitanie, że złodziej mógł wyłączyć instalację alarmową, a nawet z pomocą wziętych z tej gabloty kluczy otworzyć obydwie kraty? W jaki sposób otworzył sam skarbiec? Są tylko dwa komplety kluczy. Jeden w posia-

daniu naszej trójki, drugi w Komendzie Milicji. Niedługo sam uwierzę, że jestem złodziejem i okradłem bank, w którym jestem dyrektorem! Tamtych zamków nie otwory pan ani szpilką, ani wytrychem.

- Tak - potwierdził porucznik. - Oglądałem kasę, a znam się trochę na tym. Ładne parę lat mam do czynienia z różnymi kasiarzami i ich robotą. Przeszkoliłem się przy tym nieźle. Tamte trzy zamki są zaopatrzone w kilka różnych systemów zapadkowych i blokad. Tylko klucz posiadający idealnie dopasowane zębki zdoła odblokować zamek i usunąć zapadki. Jeżeli choć jeden zamek nie został zwolniony, to środkowe koło otwierające drzwi pancerne nie da się obrócić.

- Dla mnie również nie ulega wątpliwości, że skarbiec otworzono oryginalnym kompletem kluczy. O której godzinie urzędnicy skończyli wczoraj pracę?

- Jak zwykle o trzeciej. Pół godziny przedtem zamknęliśmy skarbiec. Prócz nas trzech był pomocnik kasjera i woźny Franciszek. Kilka minut po trzeciej wyszedłem z banku do domu. Sprzątaczkę rozpoczynały już swoją robotę, w sali operacyjnej nikogo już nie widziałem. Nie przypuszczam, aby ktoś pozostał na pierwszym piętrze. Prezes wyszedł razem z radcą prawnym około drugiej. Po-

szli do Ministerstwa Finansów. Personalnego widziałem, gdy wychodził z banku przede mną.

- Nie mamy co tu robić na dole. Wracajmy na pierwsze piętro. Czy jest jakiś wolny pokój, gdzie można byłoby przesłuchać niektóre osoby? Proszę również sprowadzić strażników, którzy wczoraj mieli służbę. Zarówno tych z dziennej, jak i z nocnej zmiany.

- Natychmiast po nich poślę. Przypuszczam, że w moim gabinecie będzie panom najwygodniej. Przeniosę się tymczasem do pokoju radcy prawnego, on i tak najwyżej dwie - trzy godziny przebywa w Banku.

- Dziękujemy i w takim razie prosimy o przysłanie nam woźnego Franciszka.

Starszy woźny już w progu gabinetu obrzucił milicjantów wyraźnie niechętnym spojrzeniem. Swoje personalia

podał krótko i zwięźle. Na pytanie, co wie o kradzierzy odrzekł, że nic.

- Nic? - zdziwił się kapitan. - Przecież byliście na dole, jak otwierano skarbiec.

- Ja tam nie byłem. Nawrocki był. Niech pan jego zapyta.

- Z nim porozmawiamy w odpowiednim czasie. Na razie chcemy dowiedzieć się paru rzeczy od was. To rzeczywiście nie wiecie, że bank okradli? Że zabrali z zamkniętego skarbca dziesięć milionów złotych? Nikt nic o tym w banku nie mówił?

- Ja tam nie słucham, co inni gadają. Mam swoją robotę.

- Jak myślicie, kto to mógł zrobić? Przecież nikt obcy?

- Od tego jest milicja, żeby znalazła złodzieja.

- Znajdziemy. O to bądźcie spokojni. Prędzej czy później pójdzie za kratki. A tym później, im więcej ludzi będzie nam przeszkadzało w dochodzeniu, tak jak pan w tej chwili.

- Ja tam nikomu nie przeszkadzam. To panowie wtrącać się w nie swoje sprawy.

- Dlaczego nie swoje? Gdy kogoś okradną, to po to jest milicja, żeby szukała sprawcy.

- Jak kogoś okradną, to tak. Ale nie w banku.

- A co to jest bank? Jakiś wyjątek? Tutaj można kraść?

- Bank to jest bank — powiedział uparcie pan Franciszek. - Już tam świętej pamięci prezes Potulicki na pewno by milicji nie wołał o głupie dziesięć milionów. Tylko za jego czasów to banków nie okradali. Nie to co teraz, kiedy nikt nie chce pracować, a mieć pieniądze na lekki chleb.

Za pana prezesa Potulickiego to był...

- Prezes Potulicki nie żyje - przerwał kapitan. - A jego następcą wezwał milicję, która musi się z wami zmierzyć. Powiedzcie wreszcie, jak było wczoraj po zamknięciu skarbcza. Pomagaliście zanieść kuferek z utargiem dziennym?

- Co miało być? Panowie dyrektorzy otworzyli drzwi, pan kasjer wciągnął kufer do środka, a potem drzwi zostały zamknięte.

- A pieniądze były jeszcze wtedy na półce?

- Były - oświadczył kategorycznie Franciszek.
- Jesteście tego pewni?
- Przyglądałem się im i nawet myślałem, że przed wojną nikt by takiego śmiecia w kasie pancерnej nie zamykał.

Za prezesa Potulickiego to był bank. Wtedy w skarbcu mieliśmy...

- Wiemy, wiemy - kapitan uważał za stosowne przewrócić wynurzenia starego woźnego. - Mieliście po kilka milionów dolarów. Ale nam chodzi o wczoraj, a nie o tamte czasy. Czy pan Helski lub któryś z dyrektorów schodził wczoraj do podziemia już po zamknięciu skarbcza lub dzisiaj przed jego otwarciem?

- A czego mieliby tam szukać? Nie schodzili. Żaden.

- O której urzędnicy ukończyli pracę?

- Najpierw wyszedł pan prezes, czyli po dzisiejszemu „naczelný dyrektor”. Razem z panem mecenasem. Wsiadli w samochód i pojechali na Świętokrzyską.

- Po co? Przecież to parę kroków.

- Nie wypada, żeby prezes banku na piechotę chodził do Ministerstwa. Pan prezes Po...

- O prezesie Potulickim wszystko już wiemy. Czy urzędnicy wyszli o trzeciej?

- Jak zawsze. Maszynistki tak się śpieszyły, że już dzie-

sięć minut przed tym każda trzymała w ręku lusterko
i mazała sobie usta. Minutę po trzeciej już ich nie było.

- Co pan mówi? Tak się śpieszyły?

- Pstro ma to w głowie, roboty nie szanują. Cały dzień czeka, żeby tylko wyjść z banku. Młodzi z innych działów też nielepsi. Przez cały dzień telefony do pańienek i bieganie z wydziału do wydziału albo na papierosa. Nawrocki od nich nielepsy, a przecież jego ojciec całe życie pracował w tym banku. Twardą miał rękę, świeć Panie nad jego duszą. Nieraz po karku dostałem, jak klamki nie błyszcząły należycie. A dzisiaj? Kto z nich dba, żeby klamki „Sidolem” przeczyścić, a później miękką ściereczką do błysku? Ile to razy Nawrockiemu mówiłem. I krzychałem, i prosiłem. Ale czy młodzi mają jakieś poczucie obowiązku? To jest klamka? - tu stary woźny ruchem pełnym po-

gardy wskazał drzwi do gabinetu opatrzonemi silną rzeźbioną mosiężną klamką.

- Naturalnie - zgodził się kapitan. - Prezes Potulicki nigdy by na to nie pozwolił.

- Pewnie, że by nie pozwolił! Ale teraz... Czy to pan prezes Chudziński zwróci kiedy uwagę, że posadzka nie błyszczy, a klamki i zamknięcia okien nie przetarte do glansu?

- To urzędnicy wyszli o trzeciej. A pan dyrektor Helski później.

- Pan dyrektor Helski zawsze przychodzi pierwszy, a wychodzi ostatni. Tak już od 1932... nie, od 1933 roku.

Jeszcze nigdy się nie spóźnił i wcześniej nie wyszedł. Tak jak powinno być w banku.

- A pan kiedy wyszedł?

- Ja? Przed czwartą, bo jechałem na Bielany w odwiedziny do córki i wnuczka.

- A co się działo w banku, kiedy pan wychodził?

- Co się miało dziać? Sprzątaczkami zmywały. Stasiek, niby Nawrocki, im pomagał, ale co to za pomoc.

- A strażnicy?

- Siedzieli w szatni i grali w warcaby. Oni już tak siedem lat grają. Bez przerwy przez cały dyżur.

- A rano?

- Rano przyszedłem przed siódmą. Jeszcze drzwi były zamknięte. Zaraz potem przyszedł pan administrator i otworzył bank. Bo trzeba panu wiedzieć, że jak administrator zamknie drzwi, to ani strażnicy nie mogą wyjść, ani nikt nie wejdzie do środka. Pan administrator otworzył rozsuwaną kratę. Pomogłem mu rozchylić ją na boki, bo ciężko chodzi. Akurat wtedy nadeszli strażnicy z dziennej zmiany. Pan administrator otworzył następnie drzwi wejściowe, wszyscy weszliśmy do środka i razem obeszliliśmy cały bank. Jak codziennie. Wszystko było w porządku, sygnalizacja działała. Zamki w porządku. Pieczęcie na drzwiach i na biurkach nienaruszone. Wtedy pan administrator zwolnił nocną zmianę straży do domu. Zaraz potem przyszły sprzątaczkę. Ten huncwot Nawrocki spóźnił się jak zwykle. Znowu tramwaj źle mu jechał! Za kwa-

drans ósma otworzyłem drzwi, żeby pan dyrektor Helski nie czekał.

- Pan dyrektor Helski poszedł prosto na górę?

- Najpierw przeszedł po sali operacyjnej, zajrzał do księgowości, a dopiero potem poszedł do siebie. Panowie urzędnicy zaczęli się już zbierać, więc obaj ze Staśkiem mieliśmy dużo roboty.

- A strażnicy? Gdzie byli?

- Siedzieli w szatni. Ale żaden nie ruszył się, żeby nam pomóc. Jednego zaraz wyprawiłem na górę. Drugi siedział cały czas ze mną, aż przyszedł Nawrocki i powiedział, że w skarbcu zamiast dziesięciu milionów leży na półce dwadzieścia złotych. Od razu sobie pomyślałem, co by na to powiedział prezes Potulicki.

- Już mówiliście, że nie wzywałby milicji.

- Pewnie, że by nie wzywał. Ludzie w banku to jest jedna wielka rodzina, trzymająca się razem w dobrem i złem.

A do rodziny policji się nie woła. Takie rzeczy załatwia się między sobą.

- Kogo posądzacie? Kto mógł wziąć te pieniądze?

- Nikogo nie posądzam. Nikt nie mógł wziąć.

- Wierzycie w cuda i w duchy?

- Wierzę we wszystko, w co Kościół Święty wierzyć ka-

że, w świętych obcowanie i ciała zmartwychwstanie -

z uporem powiedział Franciszek.

- Ludzie z milicji w duchy nie wierzą. Dlatego jesteśmy przekonani, że te pieniądze wziął któryś z pracowników waszego banku. Ktoś z tej waszej wielkiej i szlachetnej rodziny.

- Synowie marnotrawni wszędzie się zdarzają.

- Już my tego synka znajdziemy, choćby się pod ziemią skrył!

- Życzę panom powodzenia - z ironią odpowiedział

Franciszek.

Widząc, że na razie niczego więcej nie wyciągnie z uparciucha, kapitan odprawił go do pracy. Franciszek wyszedł z dumnie podniesioną głową i wielce ze siebie zadowolony.

Przy drzwiach ukłonił się. Ruch ten był tak układowy, że nie można było mu nic zarzucić, chociaż tym ukłonem

stary woźny podkreślał wyraźne lekceważenie i wrogość do obydwu oficerów.

- Co powiesz o tym filucie? - spytał kapitan porucznika.

- Niewątpliwie dużo wie i gdyby zechciał, mógłby nam pomóc.

- W tym sęk, że nie chce. A szkoda. Zna bank jak własną kieszeń i doskonale orientuje się w jego sprawach. Wiadać, że jest sprytny i umie myśleć. Założyłbym się o największe pieniądze, że ten pan Franciszek na pewno ma wyrobione zdanie o kradzieży i mógłby trafnie wskazać, jeżeli nie domniemanego sprawcę, to w każdym razie kilku podejrzanych, wśród których jest złodziej. Ale nie chce tego zrobić. Przynajmniej na razie.

- I na razie, i nigdy. Bądź spokojny. Nie będziemy mieli w nim przyjaciela. Chyba żeby pan prezes Potulicki zmartwychwstał i kazał mu... Już sam fakt, że nazywamy się milicją, a nie policją, wyklucza porozumienie i sojusz.

- Trudno. Nie będziemy płakać. Wezwiemy teraz Nawrockiego.

Młody człowiek potwierdził przebieg wypadków przy otwieraniu skarbca. Poza tym jego zeznania były zgodne z tym, co powiedział woźny Franciszek. Urzędnicy wyszli z banku zaraz po godzinie trzeciej. Starszy woźny mniej

więcej w pół godziny po nich. Zostały sprzątaczkę, on, Nawrocki, i strażnicy. Nikt z tej piątki nie schodził do podziemia. Jeżeli nawet posługaczki sprzątają w archiwum, co im się zdarza zresztą bardzo rzadko, robią to w dzień, w czasie pracy banku, gdyż w archiwum nikt nie urzęduje. W korytarzyku i małym pokoiku przed skarbcem sprząta tylko pan Franciszek, również w godzinach urzędowania banku.

- A jak myślicie, kto mógł wziąć te pieniądze? - spytał porucznik.

- Bo ja wiem? Nikt tego nie mógł zrobić. Klucze mają panowie dyrektorzy. Jak zobaczyłem te puste półki, to aż się nogi pode mną ugięły. Tylko pan dyrektor Helski nie stracił głowy i zaraz pobiegł na górę po pana prezesa. Również strażnicy, a oficerowie MO przesłuchali całą szóstkę, nie wnieśli niczego nowego do sprawy. Dyżuru-

lący w nocy zeznali, że do rana panował w banku kompletny spokój. Nikt nie wchodził, nikt nie wychodził, bo bank był zamknięty. Około jedenastej w nocy dzwonił ze swojego mieszkania administrator, pytając, czy wszystko w porządku.

- Czy administrator zawsze telefonuje o tej porze?
- Czasem wcześniej, czasem później, to zależy od tego, o której wraca do domu i kiedy kładzie się spać. Ale telefonuje co noc. Nieraz kilka razy. Sprawdza, czy żaden z nas nie śpi. Tak samo kontroluje dozorcę nocnego, który wartuje na zewnątrz banku. On też ma telefon w bramie domu koło zegara kontrolnego.

Strażnicy z dziennej zmiany dowiedzieli się o kradzieży od Nawrockiego, który przybiegł z tą nowiną do szatni. Zraz potem przyjechała milicja.

Zeznania sprzątaczek i administratora potwierdzały opowiadania strażników i woźnych. Nie było więc nawet sensu przesłuchiwać reszty pracowników banku. Wyszli oni zaledwie w pół godziny po zamknięciu skarbca i to przemawiało za ich niewinnością, bo w czasie pracy w banku nikt nie mógł niepostrzeżenie zejść na dół.

i otworzyć drzwi trezora. Tym bardziej że, jak to zauważyli oficerowie milicji, obie kraty otwierały się z dość gło-

śnym szczękiem. Ten dźwięk usłyszeli na pewno pracujący w boksie kasowym: główny kasjer i jego pomocnik. Zejście do podziemia znajduje się bowiem bezpośrednio przy ich miejscu pracy i w zasięgu wzroku obydwu kasjerów. Znali oni również doskonale dźwięk otwieranej kraty i natychmiast by go odróżnili od innych hałasów.

- No cóż - westchnął kapitan. - Dochodzi trzecia. Dzisiaj nie mamy tu nic więcej do roboty.

Oficerowie podziękowali Helskiemu za użyczenie im gabinetu. Nie można powiedzieć, żeby dyrektor Helski udawał zmartwionego widokiem milicji opuszczającej jego bank lub żeby był przejęty zniknięciem z kasy tak wielkiej sumy - 10 milionów złotych. W każdym razie żadnego z tych uczuć nie było widać na jego gładko wygolonej, zawodowo uśmiechniętej twarzy.

W szatni strażnik rozmawiał właśnie przez telefon. Woźnego Franciszka nie było, tylko Nawrocki podał milicjantom ich płaszcze. Pomagając kapitanowi ubrać się, młody woźny szepnął mu do ucha:

- Chciałbym zobaczyć się z panem kapitanem. Gdzieś, żeby nas nikt nie widział. Bardzo ważne.

Piotr Jarkowski kiwnął głową na znak, że zrozumiał i zwracając się do porucznika powiedział głośno:

- Romek, chciałbym jeszcze dzisiaj porozmawiać z tobą

o tej kradzieży. Może spotkamy się w takiej malutkiej kawiarence przy Tamce między Solcem a Dobrą?

Roman Widera spojrział na swojego zwierzchnika i zarazem przyjaciela, jak na wariata. Mało mu tej cholерnej sprawy i chce o niej gadać po południu, marnując wolny czas? Już otworzył usta, aby powiedzieć, co o tym sądzi, ale powstrzymało go lekkie mrugnięcie oka kapitana.

- Więc powtarzam. Piąta godzina. Tamka przy Dobrej.

Obydwaj mężczyźni powiedzieli strażnikowi i szatnemu „do widzenia”. Młodszy woźny odpowiedział im tym samym słowem, lecz mocno zaakcentowanym. Strażnik nie zauważył tego akcentu. Ciągłe rozmawiał przez telefon ze swoją dziewczyną, bezskutecznie namawiając ją na spotkanie.

ROZDZIAŁ III

Punktualnie o piątej po południu kapitan Piotr Jarowski wszedł do baru kawowego „Syrenka” na Tamce.

Było tu prawie pusto. Tylko na wysokich stołeczkach przy barze siedziało kilku młodych ludzi. Jakaś parka okupowała stolik w głębi lokalu.

Kapitan zamówił kawę i wyciągnął z kieszeni popularną popołudniówkę. Nie było w niej jeszcze żadnej wzmianki o kradzieży w Powszechnym Banku Rzemiosła. Dopiero w dniu jutrzejszym Polska Agencja Prasowa miała wydać krótki komunikat informujący o próbie kradzieży pie-

niędzy i o tym, że „milicja prowadzi energiczne śledztwo” -

na razie bez ujawniania wysokości skradzionej sumy.

Chodziło o to, aby w pierwszej, najtrudniejszej i najbardziej odpowiedzialnej fazie śledztwa nie robić wokół tej sprawy niepotrzebnej sensacji.

W parę minut później w otwartych drzwiach kawiarni stanął Stanisław Nawrocki. Rozejrzał się dokoła. Początkowo nie poznał kapitana, który zmienił mundur na jasny, cywilny garnitur. Dopiero na znak dany mu przez oficera Nawrocki zorientował się, że pan zaczytany w gazecie jest tym, z którym przed trzema godzinami umawiał się na spotkanie. Podeszedł do stolika i zajął miejsce naprzeciwko Jarkowskiego.

- Bardzo dziękuję, że pan kapitan zgodził się przyjść.

Mam pewne dość ważne wiadomości, które chciałbym przekazać milicji.

- Przecież przesłuchiwałem pana. Po co ta cała konspiracja?

- W banku nie mogłem mówić, bo zaraz dowiedziałby się pan Franciszek, kto sypnął, a od niego dyrekcja. Mnie na tej posadzie zależy. Pensja co prawda niewielka, ale są duże możliwości zarobku. Prawie codziennie setkę się zbierze. To klient czegoś zapomni i trzeba przywieźć mu z biura papiery, często znowu jakaś firma podnosi na wypłatę większą sumę i prosi, żeby pojechać z kasjerem ja-

ko jego ochrona. Za podanie palta też wpadnie parę gro-
szy... Sam pan rozumie, kapitanie.

- Że pan ma różne „boczki” dobrze rozumiem, ale nadal
nie mogę zrozumieć pańskich obaw. Nie posądza pan chy-
ba dyrekcji, że brała udział w kradzieży?

- Broń Boże! I niech mnie pan kapitan w ten sposób
nie rozumie. Na przesłuchaniu powiedziałem szczerą
prawdę, że nie wiem, kto był sprawcą. Tylko że... że wczoro-
raj nie wszystko działało się tak w banku, jak to zeznał naj-
pierw pan Franciszek, a później reszta. Pan Franciszek
wyraźnie nam zapowiedział, że jeżeli ktoś parę z gęby pu-
ści, gorzko tego pożałuje. Musiałem milczeć, ale nie chcę
milicji oszukiwać.

- A co się tam wczoraj działo? - Kapitan był coraz bar-
dziej zaciekawiony zwierzeniami młodego człowieka.

- O godzinie trzeciej nie wszyscy urzędnicy wyszli z banku. Pracownicy księgowości od dłuższego czasu zostają w swoim pokoju, tuż przy sali operacyjnej. Pan kapitan zauważył te pięć schodów prowadzących w górę tuż za kasą, obok zejścia do podziemi? Tam znajdują się dwa spore pokoje, w których pracuje główny księgowy ze swoimi pomocnikami. Teraz sporządzali bilans i nie zgadzał im się o 3 złote i 70 groszy. Od dziesięciu chyba dni sprawdzają i szukają błędu.

- Wczoraj też zostali?

- Tak. Pan Napiórkowski i pan Jaworek nawet nie wyszli z banku. Natomiast główny księgowy pan Jan Bilski, pani Rzeszewska i panowie Ligman oraz Kiecki wyszli tylko do stołówki Filharmonii, gdzie zawsze jedzą obiady, i około pół do czwartej wrócili do banku. Dobrze pamiętam godzinę, bo pan Franciszek wcześniej wyszedł, a ja musiałem siedzieć w szatni.

- Co było potem?

- Gdy wrócili z obiadu, zamknąłem drzwi wejściowe banku na klucz. Strażnicy zostali w szatni, a ja zacząłem pomagać sprzątaczkom. Za kwadrans piąta wybiegł z pokoju księgowości pan Ligman. To jeden z najmłodszych urzędników banku. Zobaczył mnie w sali operacyjnej i za-

wołał: „Stasiu, znaleźliśmy nareszcie ten cholerny błąd”.

Z radości złapał mnie w pól i zakręcił jak w tańcu, potem

dał 150 złotych i powiedział: „Podskocz, Stasiu, do Delika-

tesów i kup pół litra wódki. Najlepiej „Jałowcówki” i butelkę wina, i jakąś zagrychę. Trzeba oblać taką okazję. Przez

te drańskie trzy złote parę nocy nie spałem”.

- Ciekawe. Często pan tak biega do „Delikatesów”.

- Czasem się zdarza. Ale zwykle w dzień. Jak czyjeś

imieniny, to posyłano mnie po butelkę wina i po ciastka.

Czasem księgowość, a oni najczęściej zostają w banku po

godzinach urzędowania, „oblewała” bilansówkę. Nigdy

jednak nie było pijaństwa, niech pan kapitan nie myśli.

Wczoraj też tylko pół litra i trochę wina. Co to znaczy na

sześć osób?

- I co dalej?

Poszedłem więc do „Delikatesów” na Nowy Świat. „Jalowcówki” nie było, wziąłem więc „Starowin” i butelkę czerwonego jugosłowiańskiego wina. Do tego kupiłem jedną bułkę, pudełeczko korków, 40 deka szynki i słoik ogórków. To wszystko przyniosłem do banku. Pan Ligman zaraz wziął wódkę i zaniósł do lodówki.

- Lodówka jest w podziemiu?

- Tak. W tym pomieszczeniu koło wejścia do sejfów.

Stoją w niej zawsze butelki z wodą sodową. Każdy tam może pójść po butelkę, a ja pilnuję, żeby w lodówce był odpowiedni zapas. Wodę sodową dostarczają nam codziennie. Zawsze bierzemy parę skrzynek.

- To w czasie upałów urzędnicy ciągle schodzą do podziemia?

- No nie! Na to dyrekcja nigdy by się nie zgodziła. Jeden idzie i przynosi dla całego działu. Albo posyłają mnie lub pana Franciszka.

- I co z tym wczorajszym popołudniem?

- Pani Rzeszewska razem ze mną robiła kanapki. Wódka tymczasem mroziła się na dole. Później zaniósłem jedzenie do pokoju księgowości. Wszyscy byli w doskonałych humorach. W banku to bardzo ważne, aby się bilans zgodził co do grosza. Wypili wódkę i wino, nie mogę powie-

dzieć, mnie też poczęstowali. Potem jeszcze trochę popracowali i tak około pół do siódmej poszli do domu. Umyłem szklanki, bo u nas nie ma kieliszków, wyniosłem butelki i sprzątnąłem pokój. Kiedy przyszedł pan administrator i nocna zmiana strażników, nie było śladu oblewania.

- A czy ktokolwiek poza panem Ligmanem schodził do podziemia?

Nawrocki zamyślił się.

- Schodzili. Najpierw pan Kiecki poszedł sprawdzić, czy wódka już zimna. Później, gdy zrobiliśmy kanapki, pani Rzeszewska przyniosła parę butelek wody. Pan Bilski mówił, że wódka jest jeszcze za ciepła i poszedł po kostki lodu. Po wypiciu wódki i wina również inni schodzili na dół, bo widziałem na schodach i pana Jaworka, i pana Napiórkowskiego.

- Długo byli na dole?

- Panie kapitanie, ja nie liczyłem czasu, skąd miałem wiedzieć, że to się przyda? Widziałem, że schodzili. Dzisiaj rano znalazłem koło lodówki parę pustych butelek. Wiadocześnie niektórzy z panów nie brali wody sodowej na górę, tylko pili na miejscu.

- Czy wychodzący z banku mieli przy sobie jakieś paczki?

- Prawie każdy z naszych urzędników nosi teczkę, więc nie zwróciłem na to specjalnej uwagi. Na pewno jednak panowie z księgowości wychodzili z banku z teczkami w ręku. Czy były wypchane? Nie zauważyłem, Ale dziesięć milionów złotych w pięćsetkach, to niedużo. Teczki nie wypycha. To były przecież nowe banknoty i nie mogły zająć zbyt wiele miejsca. Można nawet w kieszeniach wynieść.

- No... Nie bardzo. A skąd pan wie, że to były nowe pięćsetki?

Nawrocki uśmiechnął się lekko.

- Chciałbym mieć tyle pięćsetek, ile razy ja te pieniądze oglądałem. Prawie codziennie wnoszę i wynoszę ze skarbcu kufer z obrotem dziennym banku, widzę więc, co jest w środku pancерnej kasy. Tam było dokładnie 299 paczek. W każdej paczce po sto banknotów pięćsetzłotowych. Resztę - pięćdziesiąt tysięcy - stanowiły paczki setek, pięćdziesiąt-

tek i dwudziestek. Spora kupka, ale nawet w kieszeniach i pod marynarką można ją ukryć. Zresztą po co miał wynosić pod marynarką? Wystarczyło schować choćby w szufladzie własnego biurka, a na drugi dzień zabrać. Gdybym miał te pieniądze, umiałbym je tak wynieść z banku, że nikt by nie zauważył. Przecież milicja nikogo nie rewidowała, ani nie szukała dziesięciu milionów w samym gmachu.

- To byłaby niepotrzebna strata czasu. Pieniądze na pewno zostały wyniesione z banku jeszcze przed naszym przybyciem... Dziękuję panu za te zeznania. Mogą być one bardzo ważne dla sprawy. Ale dlaczego pan Franciszek kazał wszystkim milczeć, jak pan sądzi? Czyżby to on maczał palce w tej kradzieży?

- Pan Franciszek wyszedł z banku pół do czwartej. Przedtem cały czas był razem ze mną i z jednym ze straź-

ników w szatni. Nie on jest sprawcą, ale może coś wie lub chce kogoś osłonić? Ale... Pan kapitan obieca mi, że nikt nie dowie się o naszej rozmowie?

- Dobrze. Urządzimy to tak, aby żadne podejrzenie na pana nie padło.

- Mam jeszcze jedną prośbę. Chyba będzie wyznaczona nagroda za ujęcie złodzieja. Ta ekspedientka, która przyczyniła się do zatrzymania sprawców kradzieży z Narodowego Banku Polskiego w Wołowie, otrzymała sto tysięcy złotych. Jakby co do czego, pan kapitan powie za mną słówko, gdzie potrzeba? Może moje zeznania naprowadzą na ślad? Bardzo chciałbym dostać nagrodę, chociaż połowę tego, co dostała ekspedientka. Zaraz kupię sobie skuter.

- Na razie nagrody nie wyznaczono. Jeżeli będzie, może pan być spokojny, że przyznana zostanie sprawiedliwie temu lub tym, których zeznania przyczynią się do ujawnienia sprawcy kradzieży. Życzę panu jak najszybszego kupna tego skutera.

- Serdecznie dziękuję. Postaram się zasłużyć na nagrodę. Cały dzień kręcę się po banku, dużo widzę i słyszę. Jeżeli dowiem się czegoś nowego, natychmiast pana kapitana zawiadomię. Tylko jak to zrobić bez zwracania uwagi.

- Dam panu numery moich telefonów, w Komendzie

i w domu. Zadzwoń pan i umówimy się, chociażby w tej kawiarence. Tutaj na pewno nikt nas nie zauważy. Czy to wszystko, co miał mi pan do powiedzenia?

Nawrocki zawahał się. Na jego twarzy widać było zmieszanie. Wreszcie powiedział:

- Nie wiem, czy powinienem to mówić. Pan dyrektor Helski był dla mnie zawsze bardzo dobry i nie wierzę, żeby to on wyjął z kasy pieniądze, ale...

- W takiej poważnej sprawie kradzieży państwowych pieniędzy nie może pan się kierować sympatiami czy nawet strachem przed zwierzchnikiem. Musi pan mówić całą prawdę. Słucham. Co z dyrektorem Helskim?

- Ja tego nie widziałem, bo sprzątałem wtedy pokoje na górze, ale strażnicy rozmawiali ze sobą później na ten temat.

- Niechże pan wykrztusi.

Pan dyrektor Helski zawsze pierwszy, przed wszystkimi urzędnikami, zjawia się w banku. Rozbiera się w szatni i zanim pójdzie do swojego gabinetu na pierwsze piętro, obchodzi cały bank, sprawdzając, czy wszystko w porządku. A ma oko! Każdą niedokładność od razu spostrzeże. Sprzątaczkę bardziej się go boją niż administratora. Dzisiaj pan dyrektor Helski przyszedł wcześniej niż zwykle. Strażnicy mówili, że obszedł całą salę operacyjną i zaraz zszedł do podziemia. Długo stamtąd nie wracał. Ten wy-

soki strażnik, wie pan który, kapitanie, powiedział nawet, że dyrektor był w podziemiu przeszło sześć minut. Widział to na dużym zegarze wiszącym w sali operacyjnej. Pan Franciszek słyszał tę rozmowę i skrzyczał obydwu strażników, kazał im milczeć i nie mówić głupstw. Bo pan Franciszek to zaufany dyrektora, więcej znaczy w banku niż niejeden wyższy urzędnik. Z dyrektorem pracuje prawie trzydzieści lat. Ale pan kapitan mnie nie zdradzi?

- Ojej, niech się pan nie boi, przecież przyrzekłem.

- To ja już pójdę. Niech pan kapitan nie wychodzi razem ze mną, bo jeszcze kto zobaczy. Główny kasjer, pan dyrektor Jarosz, mieszka niedaleko, w spółdzielni przy Dobrej 2. Ja też w pobliżu, na Browarnej. Stąd wiem, bo nieraz spotykałem pana dyrektora spacerującego z psem. Stanisław Nawrocki pożegnał się z oficerem milicji. Kapitan przez chwilę pił swoją kawę, rozmyślając nad słowami młodego człowieka. Jego zeznania były niewątpliwie bardzo ważne. W zasadniczy sposób zmieniały liczbę podejrzanych o dokonanie kradzieży. Opuszczając po południu gmach banku obydwaj oficerowie milicji doszli do zgodnego przekonania, że złodziej rekrutuje się spośród strażników, posługaczek i woźnych. Kapitan raczej bluffował w rozmowie z dyrektorem Helskim, mówiąc, że na liście podejrzanych jest i on, i pozostali posiadacze trzech

płaskich kluczy do skarbca. Piotr Jarkowski chciał w ten sposób zastraszyć starego bankowca i skłonić go do szczerych zeznań. Zdawał sobie bowiem doskonale sprawę, że praca oficera dochodzeniowego na terenie banku będzie ciężka. Ci ludzie z jednej strony w pewnym stopniu lekce-

ważyli sobie kradzież, z drugiej, powodowani solidarnością zawodową i ambicją, że bank ma nieskazitelną opinię i musi ją nadal zachować, uważali milicję za uciążliwego intruza. Ten wrogi nastrój dyrektor Helski i inni wyżsi urzędnicy maskowali zawodowo grzecznym uśmiechem, jedynie stary woźny Franciszek nie uważał nawet za stosowne ukrywać swoich uczuć i jawnie przeciwstawiał się „wtykaniu przez milicję nosa tam, gdzie jej nie proszono”.

Teraz sytuacja zmieniła się radykalnie. Helski z nieprzychylnie nastrojonego, lecz nieskazitelnego urzędnika, stawał się nagle głównym podejrzanym. Sześć minut pobytu w podziemiu mogło starczyć aż nadto, żeby otworzyć skarbonkę i opróżnić go z gotówki.

- Musimy jutro zrobić próbę ze stoperem - postanowił kapitan.

Poza dyrektorem Helskim do grona podejrzanych docho- dził jeszcze cały wydział księgowości. Nawet ten błąd w bi- lansie mógł być zręcznie spreparowany przez złodzieja.

W ten sposób uzyskiwał on możliwość pozostania w banku po godzinach urzędowania. Zorganizowanie libacji na konto od- należania błędu to też taktyczne posunięcie przestępcy.

Wszyscy schodzili do podziemia. Mrozili wódkę, pili wodę.

Znakomita okazja, aby sprawca bez zwracania na siebie

uwagi ludzi podnieconych alkoholem spokojnie dobrał się do kasy pancерnej i opróżnił ją z cennej zawartości. I jeszcze spokojniej schował całą lub część sumy w swoim biurku.

Kapitan musiał przyznać w duchu, że uwaga Nawrockiego nierobienia rewizji była słusznym zarzutem pewnego zaniedbania milicji. Trzeba było wziąć z komendy większą liczbę ludzi i nie oglądając się na biadolenia dyrekcji zamknąć bank i zrewidować go od suterenu aż po strych. Ale teraz już za późno. Pieniądże na pewno wyciekły z gmachu.

W niewesołym nastroju kapitan opuszczał miłą „Syrenkę”. Postanowił, że jutro z rana da „taką szkołę” bankowcom, że go długo będą pamiętali. Odechce im się kręcić

i ukrywać prawdę. Dyrektor Helski i ten stary woźny, winni czy niewinni, gorzko pożałują, jeżeli raz jeszcze złapie ich na matactwie i przeszkadzaniu.

Nic dziwnego, że nazajutrz kapitan Piotr Jarkowski wraz z porucznikiem Romanem Widerą w bojowym nastroju wkraczali do gmachu Powszechnego Banku Rzemiosła.

- Panowie znowu do nas? - powitał ich ironicznym uśmiechem pan Franciszek.

- A znowu. Tak stęskniliśmy się za panem, że przyszliśmy dzisiaj na dłuższą pogawędkę. Pan zapewne także chce wiele nam powiedzieć, prawda?

Woźny Franciszek nasrożył się.

- Nie mam nic do powiedzenia - odburknął. - Co wie-

działem, to powiedziałem wczoraj. Podpisałem protokół.

- Wiem, wiem o tym. Nawet bardzo się cieszę, że protokół został oficjalnie sporządzony i podpisany. Dla prokuratora może być on ciekawym dokumentem fałszywych zeznań. Pan wie, że prokuratorzy to dziwni ludzie. Nie lubią takich figli. Ale o tym później pogadamy na górze. My nie traciliśmy czasu panie Franciszku. Coś niecoś wiemy i o panu, i o innych tak wczoraj nierozmownych ludziach...

Czy pan dyrektor Helski jest u siebie w gabinecie?

- Pan dyrektor ma teraz odprawę kierowników wydziałów.

Kapitan z przyjemnością spostrzegł, że jego słowa zrobiły duże wrażenie na starym woźnym.

- Nic nie szkodzi. Zaczekamy.

Obydwaj oficerowie przeszli przez salę operacyjną i skierowali się schodami na pierwsze piętro. Idąc na górę porucznik Widera wskazał kapitanowi szatnię. Widać ją było doskonale, gdyż szerokie podwójne drzwi prowadzące na salę operacyjną były całkowicie otwarte. Franciszek pochylił się właśnie nad telefonem stojącym na kontuarze.

- Założyłbym się, że dzwoni do dyrektora Helskiego, aby uprzedzić go o naszym przybyciu.

Prawdopodobnie tak było, bo gdy milicjanci znaleźli się na szerokiej galerijce biegnącej wzdłuż całego pierwszego piętra nad salą, drzwi gabinetu dyrektora otworzyły się

i wyszedł z nich Helski. Uprzejmie i bez zdziwienia powitał oficerów, prosząc, aby nieco poczekali.

- Skończymy najdalej za dziesięć minut i wtedy będę do panów dyspozycji.

Gdy kapitan i porucznik znaleźli się już w gabinecie dyrektora, ten podsunął swoim gościom pudełko z papierosami i rzekł:

- Jak tam śledztwo?

- Mamy pierwsze wyniki - odpowiedział kapitan. Otworzył skórzaną teczkę i wyjął z niej arkusz papieru gęsto zapisany drobnym pismem. Położył go na stole zaginając nieco górną część.

- To są zeznania miejscowego dzielnicowego - wyjaśnił.

- Niech pan posłucha, dyrektorze. Przeczytam panu pewne fragmenty.

„... Przed godziną piątą dokonując obchodu swojego rejonu szedłem ulicą Nowy Świat i wszedłem do sklepu „Delikatesy” po nieparzystej stronie ulicy. Widziałem tam znanego mi woźnego z „Powszechnego Banku Rzemiosła”, jak kupował wódkę i wino. Woźny był w mundurze...

W godzinę później przechodziłem przez plac koło banku. Zauważyłem w jasno oświetlonym podziemiu jakiegoś młodego człowieka, ale nie w tej części, gdzie znajduje się skarbiec. Woźnego, który kupował wódkę, widziałem wtedy w szatni banku przy wejściu. Drugi raz przechodziłem koło banku przed godziną siódmą. Ściślej nie mogę określić czasu, bo nie patrzyłem na zegarek. Zauważyłem, że

z gmachu banku wychodziło kilku mężczyzn i jedna ko-

bieta. Mieli przy sobie teczki..."

- Co pan powie na te zeznania?

Dyrektor Helski zachował całkowity spokój.

- Widocznie niektórzy urzędnicy zostali, aby pracować w godzinach nadliczbowych. Zdarza się to przecież nie tylko w bankach. Robota musi być wykonana na czas.

- Zgoda, lecz w tej samej teczce mam podpisane zeznania strażników, Nawrockiego i Zaleskiego, stwierdzające, że wszyscy urzędnicy opuścili gmach banku zaraz po trzeciej.

Dyrektor wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy wczoraj został ktoś po godzinach urzędowania. Mówiłem panom, że ja wyszedłem zaraz po trzeciej. Ten fakt mogą potwierdzić liczni świadkowie. Nie rozumiem, dlaczego woźni i strażnicy nie powiedzieli pa-

nom, że nie wszyscy wyszli razem ze mną. Może o tym zapomnieli?

- Jak również o fakcie kupowania wódki w „Delikatesach”?

Kapitanie, chyba każdy po godzinach pracy może wejść do „Delikatesów” i kupić każdy towar tam sprzedawany.

- Chodzi mi właśnie o to, czy po godzinach pracy? O ile pamiętam, codziennie jeden z woźnych ma obowiązek pozostania w banku aż do siódmej, aby przypilnować sprzątnięcia. Wczoraj ten dyżur przypadł właśnie Nawrockiemu. Czy kupował więc wódkę dla siebie do domu, czy też pito ją tutaj, w banku?

- Skąd ja to mogę wiedzieć? Naturalnie nie pochwalałbym tego, ale najlepiej zapytać o to obydwu woźnych. Zaraz zawołam Franciszka.

Helski podniósł słuchawkę i polecił telefonistce:

- Proszę przysłać do mnie Franciszka.

Za chwilę starszy woźny wkroczył do gabinetu. Ignorując obecność oficerów ukłonił się służbiście dyrektorowi i czekał przy drzwiach w postawie „na baczność”.

- Niech pan posłucha - powiedział kapitan do Franciszka. - Przeczytam panu zeznania miejscowego dzielnicowego. - A potem rzekł: - To, co widział dzielnicowy, jest

zupełnie sprzeczne z tym, co pan wczoraj zeznał. Dlaczego usiłował pan wprowadzić milicję w błąd i złożył fałszywe zeznania? Pan wie, czym to grozi?

W czasie odczytywania zeznań dzielnicowego Franciszek nieco pobladł i coś mruknął pod nosem. Mimo to porucznik Widera dosłyszał: - „Przeklęty pies. Już wywęszył!”

Natomiast głośno powiedział:

- Ja o niczym nie wiem, panie kapitanie. Co miałem do powiedzenia, zeznałem wczoraj.

- Więc kto kłamie. Dzielnicowy czy wy?

Stary woźny milczał.

- Co to znaczy, Franciszku? - zabrał głos dyrektor Hel-ski. - Dlaczego ukryliście przed nami, że wczoraj urzędnicy pracowali po godzinach? Co z tą wódką? To Nawrocki ją kupował? No, mówcie!

- Jak pan dyrektor chce, to powiem. Zostali po pracy w banku panowie z księgowości. Skończyli bilans i później trochę go oblewali. Ale tym panom - tu woźny oczyma wskazał oficerów milicji - nic do tego. Pracowali, skończyli, trochę wypili i poszli do domu. Nic złego się nie działo. Nawet za pana prezesa Potulickiego nieraz panowie wypili po pracy po kieliszku. Pan dyrektor sam wie, co to znaczy skończyć bilans.

- Nic złego się nie działo, tylko zginęło dziesięć milionów.

- Ja tam nic nie wiem. Nie było mnie wtedy w banku.

- Kiedy was nie było w banku?

- Jak zginęły te pieniądze.

- A skąd wiecie, w jakim czasie zginęły te pieniądze?

Franciszek otworzył usta, ale nic nie odpowiedział.

Głośno przełknął ślinę. Na jego czole, pod siwą czupryną, zaczęły występować drobniutkie kropelki potu. Nerwowo ścisnął palce rąk.

- Powiedzcie nam jeszcze - ciągnął przesłuchanie kapitan - dlaczego wszyscy strażnicy i woźny Nawrocki również nie mogli sobie przypomnieć, że księgowość pracowała dłużej, a następnie pito wódkę?

- Nie mówili, bo ja im zabroniłem.

- Dlaczego? - zdziwił się dyrektor. .

- Po co obcy mają się do nas wtrącać? Pan prezes Potulicki nigdy by ich nie wzywał. Potrzebni jak... I tak nie znajdują.

- To nie wasza sprawa, Franciszku - surowo skarcił go dyrektor. - Macie pilnować swojego. Kiedy milicja pyta, to ma powody. Trzeba zeznawać prawdę. Idźcie teraz do swojej roboty i przyslijcie Nawrockiego i strażników. Tylko ich już nie pouczajcie, jak mają mówić. I żeby mi się to drugi raz nie powtórzyło.

Franciszek z wyrzutem spojrział na dyrektora, ukłonił mu się nisko i w milczeniu wyszedł.

- Niech panowie darują starowinie. Przeszło czterdzieści lat tutaj pracuje. Już dawno mógł iść na emeryturę, lecz nie umiałby żyć bez banku. Mamy z nim nieraz różne kłopoty, ale przywiązany jest do tego gmachu i do swojej

pracy jak najwierniejszy pies. Myślał, że dobrze robi, obawiał się rzucić chociaż cień podejrzeń na swoją świętość bank. Na pewno nie miał złych intencji.

- Nie miał złych intencji, ale poważnie zaszkodził śledztwu. W ogóle muszę przyznać, że na terenie banku panuje nieco dziwna atmosfera. Większość z was nie kryje nawet swojej wrogości, reszta, choćby na przykład pan sam, maskuje ją dobrym wychowaniem. Wygląda na to, że wszyscy trzymają stronę złodzieja.

Dyrektor Helski zachnął się.

- Daję słowo, że pan kapitan się myli. Trzeba znać atmosferę takiej instytucji jak bank. To zupełnie specyficzna atmosfera. Bank stanowi jedną dużą rodzinę. O naszym banku mogę śmiało powiedzieć: szczęśliwą rodzinę. I nagle w tej kochającej się rodzinie dzieje się coś, co nie mieści się w pojęciach moralności, prawa i etyki. Czy ojciec zawiadamia milicję, gdy okradnie go któreś z dzieci? Sam szuka sprawcy i sam wymierza mu karę, starając się ukryć przed ludźmi tę hańbę. Można nas porównać do tego ojca i dzieci. Bolejemy nad tym, że wśród nas znalazł się taki nędznik, lecz nie chcemy rozgłaszać tej sprawy. Zawiadomiliśmy milicję, bo było to naszym obowiązkiem, ale nie wszyscy umieją się z tym pogodzić. Szczególnie

starzy pracownicy. Musi pan im to wybaczyć.

- Tę teorię już wczoraj dokładnie wyłożył mi Franci-
szek. Była może ona dobra w warunkach prywatnych ak-
cjonariuszy i prywatnych kapitałów leżących w skarbcu.
Obecnie jednak bank jest instytucją służącą państwu
i społeczeństwu. Obraca funduszami państwowymi. Obo-
wiązkiem panów jako pracowników państwowych jest
okazanie pomocy w dochodzeniu. Tę pomoc uważamy za
bardzo ważną.

- Zapewniam panów - poważnie powiedział dyrektor
Helski - że incydenty, jakie wczoraj i dzisiaj miały miejsce,
już się więcej nie powtórzą.

Przesłuchanie woźnego Stanisława Nawrockiego
i strażników obyło się więc bez żadnych niespodzianek.
Tym razem zgodnie zeznali, że księgowość pracowała

w banku aż do godziny siódmej i że przy okazji zakończenia bilansu urzędnicy zorganizowali małą bibkę. Potwierdził to Jan Bilski - główny księgowy. Także Karol Ligman przyznał, że to on mógł być owym młodym człowiekiem, którego dzielnicowy widział w suterenie banku. Natomiast zaprzeczył kategorycznie, jakoby wziął pieniądze ze skarbcu lub w jakikolwiek sposób pomagał złodziejowi. Do podziemia schodził dwa lub trzy razy. Mroził wódkę i pił wodę sodową znajdującą się w lodówce. Pozostali urzędnicy wydziału księgowości potwierdzili zeznania Ligmana i przyznali, że oni również schodzili na dół.

Ale który z nich był złodziejem?

Na to pytanie żaden z oficerów milicji nie znalazł odpowiedzi.

Po zakończeniu przesłuchań kapitan zwrócił się ponownie do dyrektora Helskiego.

- Mam nadzieję, że obecnie w skarbcu nie trzymacie już gotówki.

- Oczywiście, że nie. Na szczęście w pobliżu nas, na rogu Traugutta i Czackiego, Bank Handlowy rozporządza dużym skarbcem i tam nosimy teraz całodzienny „utarg”.

Tam trzymamy także „rezerwę bankową”. Mam nadzieję, że drugi raz nam nie zginie. W naszym skarbcu zostawili-

śmy jedynie weksle i dokumenty, które dla złodzieja nie

przedstawiają żadnej wartości.

- Co to jest „rezerwa bankowa”?

- Na podstawie praktyki każdy bank może z dużą ścisło-

ścią obliczyć swoje przyszłe dzienne obroty. Nasze obroty go-

tówkowe nie przekraczają piętnastu milionów złotych dzien-

nie. Przy czym mniej więcej połowę tej sumy stanowią wpła-

ty, drugą wypłaty. Obroty bezgotówkowe są kilkakrotnie

większe. Mając w kasie około pięciu milionów „żywej gotów-

ki” nasz bank spokojnie pracuje przez cały dzień. Właśnie te pieniądze, fundusz obrotowy banku, znajduje się w kufrze,

który codziennie rano był wyjmowany, a po zamknięciu ka-

sy odstawiany do skarbcza. W dniu wypłat, to jest przed

pierwszym, dziesiątym, piętnastym i dwudziestym piątym

każdego miesiąca wypłaty banku są znacznie większe. Ale

możemy w przybliżeniu przewidzieć ich wysokość

i przygotowujemy się na te dni podnosząc odpowiednie kwo-

ty z naszego rachunku żyrowego w Narodowym Banku Pol-

skim. Pieniądze te zresztą w następnych dniach wracają

znowu do nas w takiej czy innej postaci, aby z kolei trafić do

NBP. Natomiast nie jesteśmy w stanie przewidzieć nagłych

wypadków. Czasem właściciel konta czekowego niespodzie-

wanie potrzebuje większej gotówki. Wtedy zwykły fundusz

obrotowy mógłby nie wystarczyć i bank nie mógłby wypłacić

czeku. Dlatego też każdy bank posiada jeszcze tak zwaną

„rezerwę bankową”, którą trzyma w gotówce w swoim skarbcu na wszelki wypadek. Wszelkie inne wypłaty, przekraczające wysokość funduszu obrotowego, są codziennie odprowadzane na rachunek żyrowy w Narodowym Banku Polskim. Rezerwa bankowa zawsze leży w skarbcu.

- A gdyby klient przedstawił czek większy niż rezerwa bankowa?

- To jest mało prawdopodobne. Trzeba chyba jakiegoś specjalnego runu na banki. Ale w takich razach natychmiast podejmujemy potrzebne nam kwoty z rachunku żyrowego w NBP. Klient o niczym nawet by nie wiedział. Najwyżej poczekałby dziesięć minut dłużej na realizację czeku.

- Panie dyrektorze, chcielibyśmy zrobić małe doświadczenie. Sprawdzić ze stoperem, ile czasu zabiera głównemu kasjerowi otwarcie obydwu stalowych krat, następnie otwarcie wszystkich trzech zamków drzwi skarbcza, uchYLENIE tych drzwi, wyjęcie z górnej półki paczek pozorujących skradzione banknoty i zamknięcie wszystkiego łącznie z powrotnym wejściem na górę. Tym razem panowie oddadzą swoje klucze Janowi Lisakowi.

- Bardzo proszę - zgodził się Helski. - Chodźmy na dół.

Doświadczenie powtórzono trzykrotnie. Za każdym razem dyrektor Lisak otwierał i zamykał skarbiec w czasie krótszym niż trzy minuty. Następnie tej samej sztuki

próbował porucznik Widera. Poszło mu znacznie gorzej, gdyż uporał się z zamkami dopiero w 4 minuty 47 sekund.

Kapitan Jarkowski był jeszcze mniej zręczny. Manipulował kluczami aż 5 minut i 19 sekund.

Po zakończeniu doświadczeń porucznik podzielił się z kapitanem swoim spostrzeżeniem:

- Chociaż miałeś te klucze po raz pierwszy w ręku i nie wiedziałeś, który do którego zamka pasuje, udało ci się otworzyć i zamknąć skarbiec w czasie krótszym niż 6 minut. A Helski, jak wiemy, przebywał w podziemiu przeszło 6 minut. Wprawdzie nigdy sam nie otwierał skarbcza, lecz doskonale wie, jaki klucz pasuje do odpowiedniego zamka. Zrobiłby to na pewno szybciej niż ja. Trzymam zakład, że mniej niż w cztery minuty.

- Nie zapominaj, Romku, że otwieranie skarbcza w dzień, tuż przed ósmą, gdy do banku i różnych instytucji zdążają tłumy urzędników, byłoby ogromnym ryzykiem. Przecież obok banku znajduje się wielki gmach ministerstwa i ktoś mógłby zobaczyć Helskiego operującego przy kasie lub wynoszącego paczki z banknotami.

- Ryzyko było znacznie mniejsze, niż przypuszczasz.

Przecież Nawrocki zeznał wyraźnie, że tego dnia dyrektor przyszedł o wiele wcześniej. Miał więc do otwarcia banku co najmniej kwadrans i orientował się, że urzędnicy zja-

wią się dopiero przed samą ósmą. Przypadkowi przechodnie? Zwróciliby oni uwagę na człowieka stojącego przed skarbcem w nocy lub nawet po południu. Ale rano? Ręczę ci, że ten widok nikomu nie skojarzyłby się ze złodziejem. Każdy przypuszczałby, że to kasjer przygotowuje pieniądze przed otwarciem banku. Nikomu nie jest znany panujący w banku reżim przy otwieraniu skarbcza. Nawet my - milicja - dowiedzieliśmy się o tym z ust Helskiego. Gdybym ja przechodził przed ósmą koło tego gmachu i widział kogoś wynoszącego z kasy banknoty, również bym nie zareagował.

- Może masz rację - kapitan był częściowo przekonany dowodzeniem przyjaciela. - Chodźmy jeszcze raz do Helskiego. Spróbujemy go przycisnąć.

- Panie dyrektorze - zaczął kapitan, gdy razem z porucznikiem znaleźli się w znanym im gabinecie - mamy poważną do pana sprawę.

- Słucham uważnie.

- Dysponujemy dowodami, że wczoraj, przed rozpoczęciem urzędowania, zszedł pan do podziemia i przebywał tam przeszło 6 minut. Nasze doświadczenia wskazują, że jest to dostateczny czas dla otworzenia skarbca i wyjęcia zeń pieniędzy. Czy może pan temu zaprzeczyć?

- Poważny zarzut. Zresztą już wczoraj mówił pan, że jestem podejrzany. Przyznaję, byłem w podziemiu. Nie patrzyłem na stoper, jak to widocznie zrobił wasz tajemniczy informator, lecz nie przeczę, że mój pobyt mógł trwać sześć minut. Jaki stąd wniosek? Że jestem złodziejem?

Czy dyrektorowi banku nie wolno chodzić po gmachu i przebywać w niektórych pomieszczeniach tak długo, jak to uzna za stosowne?

- Wolno, lecz w tej sprawie jest zbyt wiele zbiegów okoliczności i dlatego musimy prosić o wytłumaczenie nam, co pan tam robił.

- Przedwczoraj były imieniny Julii i Heleny. Imiona popularne, toteż odwiedziliśmy z żoną aż trzy solenizantki. U ostatniej zabawiliśmy grubo po północy. Wypiło się też sporo. Do banku przyszedłem niewyspany, z lekkim rau-szem. Nie chcąc, aby ktoś to spostrzegł, zszedłem na dół napić się wody. Przy schodzeniu na dobitek złego pękło mi sznurowadło. Wypiłem bodaj dwie butelki wody, zawiąza-

łem o"buwie. Nic dziwnego, że trwało to dość długo. Na żądanie panów mogę podać adresy znajomych, a godzinę mojego powrotu do domu ustali chyba dozorca, który otwierał nam bramę.

Kapitan odruchowo spojrzął pod biurko na nogi dyrektora. Obydwa buty były prawie nowe z jednakowymi, nowymi sznurowadłami. Helski widząc to spojrzenie dodał:
- Miałem wtedy inne obuwie. Zresztą kupiłem sznurowadła i zmieniłem w obydwu butach. Jestem pedantem, jakimi zazwyczaj bywają bankowcy. Ale skoro padły na mnie tak poważne podejrzenia, może mi pan, kapitanie, wytłumaczy, w jaki sposób mogłem jednym kluczem otworzyć wszystkie trzy zamki skarbca?

- Tego jeszcze nie wiem, ale będę wiedział - poważnie odpowiedział kapitan.

ROZDZIAŁ IV

Pułkownik w milczeniu wysłuchał raportu swoich podkomendnych w sprawie kradzieży dziesięciu milionów złotych ze skarbca Powszechnego Banku Rzemiosła. Gdy kapitan Piotr Jarkowski skończył meldunek, jego zwierzchnik jeszcze chwilę zastanawiał się, a potem zauważył:

- Nie ulega wątpliwości, że złodzieja należy szukać wśród pracowników banku. Przypuszczam, że działał sam. Najwyżej miał współnika na zewnątrz. Zgadzam się z ustaleniami śledztwa, że skarbiec otworzono po wyjściu głównej partii urzędników, a przed otwarciem banku dnia następnego. A więc między trzecią a właściwie pół do czwartej po południu jednego dnia, a godziną ósmą rano nazajutrz. Jeżeli dane dochodzeniowe są ścisłe i nie ulegną zmianie, sprawca kradzieży kryje się wśród sześciu strażników. Dwóch ze zmiany dziennej pracujących do siódmej wieczór...

- To Władysław Sokolski i Zdzisław Zaczewski - wtrącił porucznik Widera.

- Dalej idą dwaj strażnicy ze zmiany nocnej. Oni mieli najwięcej sposobności, aby dokonać kradzieży. Jednakże pod warunkiem, że „pracowali” wspólnie. Dwie osoby zamknięte w gmachu na pewno przebywają razem i pójdzie

jednej z nich do podziemi nawet na kilka minut nie może ująć uwagi drugiej.

- Służbę nocną pełnili Antoni Cęgała i Ludwik Babiński - uzupełnił porucznik.

- Wreszcie teoretyczną możliwość popełnienia kradzieży mieli także strażnicy, którzy zluźowali nocną zmianę.

W ciągu godziny, od siódmej do ósmej byli oni w banku razem z woźnymi, posługaczkami i później z dyrektorem Helskim.

- Tych strażników możemy nie brać pod uwagę, gdyż wszyscy przesłuchiwani zgodnie zeznali, że oni nawet nie wchodzili na salę operacyjną, a cały czas siedzieli w szatni. Tam też zastał ich dyrektor Helski, który jako pierwszy z urzędników przyszedł do banku.

- Mamy więc czterech podejrzanych strażników - ciągnął dalej pułkownik - i dwóch woźnych.

- Tylko jednego - zauważył porucznik. - Franciszek Załeski wyszedł z banku razem z urzędnikami przed pół do czwartej. Rozpoczął on wprawdzie pracę następnego dnia o siódmej, lecz przebywał albo w szatni, albo na sali operacyjnej. Jak zwykle pilnował sprzątnia i poganiał posługaczki oraz swojego pomocnika Stanisława Nawrockiego.

- Dobrze. Skreślmy go również. Pozostają sprzątaczkę - pułkownik spojrzał pytająco na porucznika.

- Halina Kudelska i Irena Czaplík - wyjaśnił Widera - wdowy po dawnych pracownikach banku. Kudelska po woźnym, który zginął w powstaniu, Czaplík po strażniku. Obydwie od dawna pracują w banku i cieszą się jak najlepszą opinią.

- Tu żadnej opinii nie można brać pod uwagę. Przy kwocie dziesięciu milionów złotych nie zaufałym nawet bratu. Podobno każdą ludzką uczciwość można zmierzyć odpowiednią sumą. Dziesięć milionów mogło być dla obu posługaczek tą granicą, za którą normy etyki i moralności przestają działać. Czy posługaczki przyznały się, że schodziły na dół?

- Tak. Twierdzą, że zaczęły sprzątanie właśnie od podziemia, od jego części otwartej. Resztę sprząta osobiście woźny Franciszek w godzinach urzędowania banku pod kontrolą jednego z trzech posiadaczy klucza od skarbcza. Posługaczki dowodzą, że w podziemiu były razem i sprzątanie zabrało im około 20 minut.

- To już siedmioro podejrzanych. Do tego dochodzi cała szóstka pracowników wydziału księgowości. Mamy więc razem trzynastu, jeżeli urzędnicy bankowi czegoś przed nami nie ukryli. Można powiedzieć: feralna trzynastka.

- Bardzo utrudnia śledztwo zdecydowanie wrogie nastawienie wszystkich pracowników banku z wyjątkiem

Stanisława Nawrockiego.

- Nawrocki też nielepsz - roześmiał się porucznik Wiedera. - Sypie, bo chodzi mu o nagrodę. Zorientował się, że na tym interesie można zarobić, i śpieszy się z informacja-

mi, aby ktoś go nie ubiegł lub żebyśmy sami się o tym nie dowiedzieli.

- Pobudki jego działania są mi obojętne - zauważył pułkownik. - Nawet podobała mi się szczerść tego młodzieńca nie kryjącego się, że chodzi mu o nagrodę. Wolę to, niż gdyby wysłuchiwać jego deklaracji, iż składa swoje zeznania z patriotyzmu i z miłości do milicji. Oddał nam dużą przysługę i na przyszłość również może być pożyteczny. Przy okazji niech go kapitan zawiadomi, że nagroda go nie minie. Ministerstwo Finansów na pewno ją wyznaczy. Jeżeli przestępstwo popełnił ktoś z księgowości, Nawrockiemu będzie się należała premia, bo był pierwszym, który zwrócił naszą uwagę na tych ludzi. Sądzę jednak, że poza Nawrockim musimy mieć inne, lepsze źródło informacji i postarać się o umieszczenie w banku swojego człowieka.

- Najlepiej w kasie lub w księgowości - uzupełnił kapitan.

- Właśnie o tym myślałem. Mam nadzieję, że uda mi się załatwić tę sprawę bez wzbudzania podejrzeń.

- Przepraszam, ale pan pułkownik omylił się mówiąc o „feralnej trzynastce”. Mamy nie trzynastu, lecz czternastu podejrzanych. Pan pułkownik zapomniał o dyrektorze Zygmuncie Helskim. On jest obciążony najpoważniej.

- Macie rację, kapitanie. Zapomniałem. Ale czy Helski

jest winien? W każdym razie nie wierzę w zмовę trzech dyrektorów. Wydaje mi się, że sedno zagadnienia leży w kluczach. Trzeba w tej chwili szukać nie podejrzanych, ale kluczy. Zabezpieczenia banku przed kradzieżą były nie tyle prymitywne, ile wprost dziecinne. Te sygnały alarmowe, które każdy, nawet początkujący włamywacz umiałby wyłączyć! Ta szafka z kluczami otwierana szpilką lub agrafką! To wszystko prawda. Ale skarbiec jest solidny. Mógł być otworzony tylko właściwym kompletem kluczy. Ten komplet gdzieś musi być. Ma swoją historię. Wędrował między ludźmi, aż trafił na złodzieja. Trzeba ustalić, skąd pochodzą te klucze, i poznać ich wędrówkę. Na końcu łańcucha będzie przestępca.

- Są tylko dwa komplety - upierał się kapitan. - Jeden u dyrektorów, drugi u nas w Pałacu Mostowskich.

- Nie wiemy, czy tylko dwa komplety. To w banku powiedziano wam o dwóch kompletach i o tym, że pozostałe zaginęły w czasie wojny. Ale czy naprawdę tak było?

- To można sprawdzić - zgodził się porucznik.

- W tym kierunku powinno iść dalsze śledztwo. Zajmiecie się teraz badaniem historii kluczy. Poza tym będziecie utrzymywali kontakt z Nawrockim i naszym człowiekiem, którego wprowadzimy do banku. Zarządę, aby wszyscy podejrzani byli pod stałą obserwacją. Może posiadacz 10 000 000 złotych, chociaż w to wątpię, nie wytrzyma i zdradzi się z posiadania tak dużej gotówki. Jakieś zakupy, zabawy... Czy udało się ustalić numery, a przynajmniej serie tych banknotów?

- Nie. Rezerwa bankowa była często wymieniana i uzupełniana. Specjalnej ewidencji numerów bank nie prowadził.

- To nawet lepiej. Złodziej nie będzie się obawiał puszczania w obieg tych pieniędzy. Za trzy dni proszę na następną odprawę i szczegółowy raport. Gdybyście znaleźli coś ciekawego, to oczywiście meldować natychmiast.

Nazajutrz po odprawie kapitan Piotr Jarkowski otrzymał dane z wydziału ewidencji ludności. Stwierdziły one, że Joanna Potulicka, wdowa po Jacku Potulickim, „byłym urzędniku bankowym” mieszka na Żoliborzu przy ulicy

Dygasińskiego, w domu własnym. Oficer odszukał na planie Warszawy małą uliczkę, wsiadł w autobus „132” i za pół godziny stał przed jedną z willi przy ulicy Dygasińskiego. Budynek nosił wyraźne ślady dawnej świetności. Teraz jednak była to odrapana, ze śladami pocisków i prowizorycznej naprawy zaniedbana willa. Od ulicy oddzielał ją mały ogródek. Zdziczałe róże rozrosły się bujnie. Popękane płyty chodnika prowadziły do drzwi. Furtka i część metalowego ogrodzenia przepadły widocznie w dniach wojennej burzy, która szalała nie tylko na Żoliborzu, ale nad całym krajem. Jedynie na drzwiach wejściowych połyskiwała szerniała i zaśniedziała tabliczka: Jacek Potulicki - prezes Banku Komunalnego.

Kapitan zadzwonił. W głębi domu rozległy się kroki.

Drzwi uchylły się i stanęła w nich stara, lecz wysoka i pro-

sto trzymająca się kobieta. Była w czarnej sukni, na którą narzuciła również czarny, koronkowy hiszpański szal.

Czasy świetności tego zapewne niegdyś pięknego i cennego okrycia minęły równie dawno jak czasy świetności tego domu. Dzisiaj szal miał więcej dziur niezręcznie szepionych nitką niż hiszpańskich koronek.

- Pan do kogo? - zapytała.

- Chciałbym mówić z panią Joanną Potulicką.

- To ja. Proszę, niech pan wejdzie dalej.

Kapitan znalazł się w niewielkim hallu. Stąd poproszono go do dużego, jasnego pokoju. Musiał to być dawniej salon, a może gabinet prezesa Potulickiego. Świadczyło o tym parę mebli, które po odnowieniu lub wyremontowaniu mogły bez wstydu dla swojego pochodzenia trafić do Desy. Reszta stanowiła nieprawdopodobną wprost graциarnię. Dawno nie odnawiany sufit nosił ślady zacieków. Także ściany od lat nie widziały pędzla. Im wyżej, tym ich dawna jasnoniebieska barwa przechodziła w coraz bardziej zdecydowaną czerń. Poza tym w pokoju było czysto. W głębi stało szerokie mahoniowe łóżko.

- Rozgląda się pan ciekawie po pokoju. Oto jak teraz mieszka Joanna Potulicka - roześmiała się gorzko starsza kobieta. - Proszę, niech pan siada. Nie, nie na tym fotelu.

Tu, na krześle. Tamten nie ma jednej nogi. Czym mogę służyć? Przepraszam, nie dosłyszałam nazwiska.

- Piotr Jarkowski - przedstawił się kapitan.

- Jarkowski? Z których Jarkowskich? Z Jarkowic w Sandomierskiem czy z Krzywej Woli z Białostockiego?

- Z tych z Milicji Obywatelskiej - uśmiechnął się kapitan.

- No, no. Nie wiedziałam, że do milicji przyjmują ludzi z takimi nazwiskami. Co on tam znowu zwojował?

- Chciałbym z szanowną panią pomówić o prezesie Potulickim.

- Co tu mówić. Był, żył, nie ma go - filozoficznie odpowiedziała starsza dama. - A po jego śmierci wszystko poszło w ruinę. Inaczej tu wyglądało za życia męża. A teraz? Kto ma to utrzymać w porządku? Ten safandula mój syn? Albo jego żona flądra? A może to obiecujące dziecię, kochany wnu-

czek, którego prędzej czy później zamkniecie w kryminale.

Oby chociaż tam nabrał rozumu. Wszystko marnieje, wszy-

stko chyli się do ruiny. Póki ja żyję, jeszcze trwa, ale jak oczy zamknę, do reszty zmarnują, rozdrapią na kawałki.

Kapitan słuchał w milczeniu. Z praktyki wiedział, że starszym ludziom o impetycznym charakterze trzeba pozwolić się wygadać.

- Gdy Jacek żył, była tu kucharka, pokojówka i szofer zajmujący się ogrodem. Teraz od trzech lat nie mogę się doprosić o podcięcie róż. Stale tylko słyszę „mamo, jestem zmęczony pracą, czego mama jeszcze chce?” Syn Jacka Potulickiego z Potulic, prezesa banku, zwykłym gryzipiórkiem w magistracie, a synowa pracowniczką baru mlecznego!

- Czasy się zmieniły, łaskawa pani.

- Nie czasy, a ludzie. Gdyby mąż żył, na pewno zajmowałby i dzisiaj wysokie stanowisko, bo był zdolny i energiczny. Takich to nawet komuniści szanują. Mój Boże!

Wszystko tak nagle się skończyło. Gdy wybuchła wojna, mieliśmy maszerować na Berlin! Wszyscy tak mówili.

A przecież bywali u nas i sam Wołodia Jaroszewicz, i pułkownik Umiastowski, i inni oficerowie i generałowie. A tu piątego dnia przyjeżdża Jacek w południe samochodem i mówi, że wpadł tylko się przebrać, bo wyjeżdża do Ru-

munii ze złotem i z papierami banku. Mundur włożył, nawet nie chciał nic jeść, mówił, że nie ma czasu. Pocałował mnie, wsiadł do samochodu i już go nie było.

Starsza pani otarła łzy.

- Przepraszam panią, że wracam do tych tragicznych wspomnień. Pani powiedziała, że mąż wyjeżdżając przebrał się w mundur?

- Tak. Był oficerem rezerwy, majorem. Jak dziś pamiętam, miał tego dnia brązowy garnitur, który przywiózł z Londynu.

- Garnitur był z kamizelką. Przy kamizelce pan Potulicki miał łańcuszek-dewizkę i na niej trzy klucze.

- Skąd pan wie? Czy pan znał Jacka? Nie, to niemożliwe. Pan jest za młody, aby pamiętać tamte czasy. Ale rzeczywiście tak było.

Czy pan prezes zabrał ze sobą te dewizkę z kluczami?

- Nie. Dewizkę później sprzedałam. Po powstaniu gdy mnie hitlerowcy wyrzucili stąd do Podkowy Leśnej.

- A klucze?

- Nie wiem.- Klucze nie były mi potrzebne. Pewnie gdzieś leżały w domu. Później nigdy już ich nie widziałam

- Trzy płaskie, długie klucze z białego metalu.

- Może. Nie pamiętam. Mąż zostawił najrozmaitsze klucze. Kto tam wtedy miał czas myśleć o kluczach? Ważniejsze rzeczy były do ratowania. A dlaczego tak się dopytujesz o te klucze?

- Czy już przede mną ktoś o nie pytał?

- Tak. Z banku. Dawniej, gdy mąż żył; co roku z okazji jego imienin urządzaliśmy przyjęcie dla pracowników banku. Teraz nikt prawie nie pamięta o starszej kobiecie Tylko w Nowy Rok Poczciwy Helski wpadnie z Życzeniami Rzadko kiedy zajrzy do mnie któryś z dawnych urzędników. Jedynie kochany Franciszek pamięta o staruszce.

I sam przychodzi, gdy czegoś potrzebuję, to wystarczy do niego zatelefonować. Co prawda teraz nie mamy telefonu

Czy to byle urzędnickowi magistratu potrzebny telefon?

Albo takiej, co w barze nalewa mleko gościom? Niedaleko jest automat i stamtąd zwykle dzwonię do Franciszka

Wczoraj był u mnie ten pocziwina. Obiecał te nieszczęsne róże podciąć w przyszłym tygodniu.

- Franciszek pytał o klucze?

- Tak. Trochę kluczył jak zając. Najpierw wspominał męża, a dopiero później zapytał, „czy pan prezes zabrał ze sobą klucze, które zawsze nosił na złotym łańcuszku” Po-
wiedziałam, że nie i że łańcuszek sprzedałam. To on z ko-
lei zaczął się dopytywać, czy te klucze są w domu i czy ich
komuś nie dawałam. Kiedy dowiedział się, że ich nie
ma i nie wiem, co się z nimi stało, Posmutniał i powie-
dział: „szkoda, pani prezesowo, bo tego mi tylko brakuje
żebym wszystko wiedział”... A panu do czego te klucze po-
trzebne?

- Milicja prowadzi dochodzenie w pewnej sprawie Wie-
my, że sprawca posługiwał się podobnymi kluczami. Dla-

tego wszędzie ich szukamy. Czy Franciszek nic pani nie wspominał o banku?

- Nie interesuję się bankiem. Co to dziś za bank? Zwyczajny urząd.

- To byłoby chyba wszystko, czego chciałem się dowiedzieć od szanownej pani - kapitan podniósł się z krzesła.

- Uspokoił mnie pan. Już się obawiałam, że coś nowego z najmłodszą latoroślą.

- O kim pani mówi?

- Nie wie pan? O Czešku. Sądziłam, że znowu coś zbroił i milicja po niego przysłała. Nawet dziecka nie umieli wychować.

Kapitan uklonił się starszej pani, szarmancko pocałował podaną mu rękę i za chwilę znalazł się na ulicy.

Dwie wiadomości były ciekawe. Pierwsza, że klucze zostały w Warszawie. Potulicki zginął w Lublinie, klucze aż do powstania, jak twierdzi jego żona, znajdowały się na Żoliborzu. Co się z nimi później stało? Może leżą w jakimś zakamarku zrujnowanego domu? Może posiadał je złodziej? Ale jakim sposobem? Czy nie za pośrednictwem młodego Potulickiego, który, sądząc z odezwań starszej damy, miał już kontakty ze światem przestępczym i konflikty z milicją. Kapitan postanowił dowiedzieć się czegoś

więcej o młodym człowieku.

Najbardziej jednak sensacyjną nowiną było, że stary woźny Franciszek również poszukuje kluczy. Czyżby coś wiedział lub kogoś podejrzewał? A może stara się kogoś kryć i celowo utrudnia pracę milicji tak, jak świadomie ukrył, że wydział księgowości pracował w godzinach nadliczbowych w dniu kradzieży?

Na żadne z tych pytań oficer milicji nie umiał dać odpowiedzi. Niemniej trafił na nowy trop. Czy doprowadzi on do wyjaśnienia tajemnicy zaginięcia 10 000 000 złotych z zamkniętego i pilnie strzeżonego skarbca bankowego?

Tymczasem porucznik Roman Widera uganiał się za innym kompletem kluczy. Nie pozostało nawet najmniejszego śladu po domu przy ulicy Focha dzisiaj zmienionej na ulicę Moliere. Nie pozostało również żadnego znaku ze

słynnej restauracji Langnera, mieszczącej się tutaj na parterze, i po Arturze Śliwowskim oraz innych mieszkańcach starej warszawskiej kamienicy. W tym miejscu stał niewykończony biurowiec z czerwonej cegły, z podcieniami w stylu niesławnej pamięci MDM. Nie było tu nawet nikogo, kogo można było zapytać o losy ludzi, mieszkających niegdyś w tej okolicy, a również wydział ewidencji ludności nie miał żadnych danych o osobie Artura Śliwowskiego - posiadacza trzeciego kompletu kluczy.

Porucznik był uparty. Nie dawał za wygraną. Pojechał do dyrekcji telefonów. Tam otrzymał do wglądu stare przedwojenne książki telefoniczne. Po długim wertowaniu udało mu się znaleźć kilka nazwisk ludzi, którzy mieszkali i mieli telefony przy ulicy Focha i przy sąsiedniej, Trębackiej. Ze spisem tych nazwisk Widera ponownie odwiedził wydział ewidencji ludności. Teraz poszło mu lepiej, gdyż udało mu się ustalić, że żyje i mieszka w Warszawie wdowa po właścicielu wielkiego antykwariatu, dawniej mieszczącego się na rogu Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia, w domu, gdzie dzisiaj znajduje się Prokuratura Generalna. Sam właściciel antykwariatu mieszkał w budynku sąsiadującym z mieszkaniem Śliwowskiego. Po uzyskaniu aktualnego adresu wdowy porucznik udał się na ulicę Sewerynow.

Miła, starsza pani nie skąpiła informacji. Pamiętała i znała Artura Śliwowskiego i jego całą rodzinę. Gdy wybuchło powstanie siedzieli razem trzy dni w piwnicy. Czwartego dnia do domu wpadli esesmani. Kazali wszystkim wyjść na podwórze. Ustawili osobno mężczyzn, osobno kobiety z dziećmi. Mężczyzn, między innymi jej męża oraz Artura Śliwowskiego razem z dwoma synami, pogнали naprzeciwko do na pół spalonego gmachu Teatru Wielkiego. Kobietom i dzieciom kazano iść przed czołgami atakującymi barykadę powstańców przy Miodowej na Starym Mieście. Mężczyzn zamordowano w Teatrze Wielkim. Ciało oblano benzyną i spalono. Śliwowska zginęła na Starówce. Rozmówczyni porucznika nic natomiast nie wiedziała o kluczach. Hitlerowcy podpalili domy jeszcze przed wypędzeniem ludzi.

- Ten komplet na pewno przepadł - Widera przekonywał kapitana opowiadając mu o swoich poszukiwaniach.

- I mnie tak się zdaje - zgodził się Piotr Jarkowski - że na tych kluczach możemy postawić krzyżyk. Jeżeli nie stopiły się w ogniu, to później powędrowały gdzieś na hałdę z gruzami, kiedy usuwano rumowiska i przygotowywano teren pod budowę nowego domu. Nie ma nawet jednej szansy na milion, aby ten komplet mógł trafić do rąk złodzieja. I absolutnie żadnej, żeby można było wysledzić je-

go drogę, jeżeli nawet istnieje.

- W takim razie zajmiemy się młodym Potulickim i ciekawskim panem Franciszkiem.

- Franciszka na razie zostawiłbym w spokoju. Oczywiście będziemy pilnie śledzili jego następne pociągnięcia, bo od niego samego niczego się nie dowiemy. A szkoda, wygląda bowiem na to, że gdyby staruszek chciał, mógłby nam wiele pomóc.

- W tym sęk, że nie chce. A nastraszyć się nie da. Może jedynie Helski lub Potulicka zdołaliby uparciucha przekonać do współpracy z milicją. Oni jednak również nie palą się do okazywania nam swojej życzliwości. Nie ma co liczyć na to całe towarzystwo.

- Toteż liczę tylko na siebie - rzekł kapitan - oraz na cenną pomoc pana porucznika Romana Widery. A prośbę o tę pomoc, wybierz się jeszcze do Fabryki Maszyn Precyzyjnych. Może odszukasz kogoś, kto pracował przy dorabianiu kluczy.

- Czy to posunie sprawę naprzód?

- Nigdy nic nie wiadomo. W tak tajemniczej historii niczego nie można zaniedbać.

- W takim razie pójdę - zgodził się bez entuzjazmu porucznik - chociaż znowu stracę dzień bez większego pożytku.

W Fabryce Maszyn Precyzyjnych początkowo nie mogli

w ogóle zrozumieć, o co chodzi. Nic dziwnego. Od owego czasu skromna niegdyś fabryczka przekształciła się w wielki zakład przemysłowy, nie mówiąc już o tym, że w ciągu tych lat zmieniło się siedmiu naczelnych dyrektorów i bodaj cała kopa innych członków dyrekcji. Uparty

porucznik dotarł w końcu do kogoś, kto sobie przypomniał, że kiedyś fabryka dorabiała do jakiegoś banku klucze od skarbca. Dalej poszło już dużo łatwiej. Majstrowie i wykwalifikowani robotnicy zmieniali się widać rzadziej niż dyrektorzy. Winderze udało się odszukać starego ślusarza, który pracował nad dopasowaniem kluczy. Pamiętał on doskonale to dziwne zamówienie.

- Nie chwaląc się - mówił ów majster - ale nie wiem, czy w całej Warszawie znajdzie się ze dwóch takich, którzy podjęliby się dorobić te klucze. Zalały mi sadła za skórę. Samo wytoczenie kształtnika nie było łatwe, a tyle tam tych cholernych ząbków! Każdy inny. Inna wielkość, inny kształt. Nie mieliśmy jeszcze wtedy takich precyzyjnych przyrządów pomiarowych, żeby dokładnie wymierzyć każdy szczegół. Zamki były precyzyjne, dobry fachowiec je robił. Jak zrobiłem pierwszy klucz, to na oko był jak kropla wody podobny do oryginalnego, a wcale do zamka nie pasował. Żaden złodziej takiego zamka nie otworzy.

- Tak pan myśli?

- Pewny jestem! Ile ja się napracowałem! Ile razy robiłem odciski na wosku! Ile kluczy trzeba było wyrzucić, zanim pierwszy wszedł do zamka. Najpierw robiłem je tutaj w fabryce, później, kiedy niemal przy każdym ruchu pilni-

ka trzeba było pasować klucz w zamku, przeniosłem się do banku. W kuchni, przy sali ze szklanym dachem, założono mały warsztat. Przeszło dwa miesiące bawiłem się z takim głupstwem. Ale rozgryzłem te cholerne zamki. Wie pan, na czym polegała cała sztuka?

- No, ciekaw jestem.

- Wcale nie na wysokości ząbków. Zapadki w zamku są okrągłe. To takie małe kuleczki różnej wielkości. Jeśli więc chodzi o wysokość, to mają one pewną, zresztą niewielką tolerancję. Natomiast grubość, grubość, panie, decydowała.

- Co pan powie? To naprawdę interesujące. Nigdy się z czymś takim nie zetknąłem.

- Pan jest młody. Można nawet powiedzieć, że przy mnie smarkacz. Ale ja, stary fachowiec, też nigdy przedtem ani potem takiego zamka nie widziałem. A przecież przed wojną, zanim tu przyszedłem, pracowałem ładnych parę lat u Jardella i niejedną kasę pancerną nie tylko się widziało, ale nawet własnymi rękoma robiło. I tylko dlatego zgodziłem się na tę robotę. Później nieraz żałowałem. Dzisiaj takich zamków nie robią. Teraz to różne magnesy, elektronika i inne nowe zabawki. Tam to była robota. Każdą część trzeba było robić oddzielnie, z dokładnością do jednej tysięcznej milimetra. Zanim do tego doszedłem, dobrze sobie łba nałamałem.

- Ale pan doszedł!

- Jeszcze by też! Warszawski ślusarz jestem. Warsza-
wiaki wszystko potrafią. Nawet na londyńskie cuhalty
sposób znajdują.

- A dobrze chociaż zapłacili?

- Nie narzekam. Nie było wtedy tych norm i planów.

Dyrektor powiedział: - zróbcie te klucze, więc zrobiłem.

Nie mogę powiedzieć, panowie od siebie też przyzwicie
dołożyli. Widzieli przecież, że się męczę i nie siedzę z zało-
żonymi rękami.

- To aż dwa miesiące robił pan te klucze?

- Nie żartuję. Dwa miesiące siedziałem w samym
banku, a przedtem trzy tygodnie dorabiałem „ślepe
klucze". Kiedy jednak zobaczyłem, że z tej pracy na od-
ległość nic nie wychodzi, przeniosłem się z wykańcza-
niem do banku. Pamiętam, był tam taki morus chłop,
woźny. Chyba Franciszek mu na imię? Tak. Franciszek
Zaleski.

- On jeszcze pracuje.

- Co pan powie? Chwacko się trzyma. Już wtedy nie
był młody. Nie mógł się nadziwić mojej robocie.

- Pewnie. To ciekawa praca.

- Jaka tam ciekawa. Klucz w imadło, raz pociągnąć pil-
nikiem, suwakiem wymierzyć i znowu biegnij na dół do

zamka. Tak bez końca przez dwa miesiące. Ten Franci-
szek nie mógł się doczekać kluczy, a pierwszy robiłem
przez pięć tygodni. Dwa następne wykonałem już w trzy
tygodnie, a drugi komplet zajął mi tylko pięć dni.

- Pięć dni?! Drugi komplet tak szybko?

- Pięć dni. Kiedy rozgryzłem tajemnicę zamków i kuleczek, od razu poszło szybko. Bez zaglądnania wiedziałem, co jest w środku. No i ręka nabrała wyczucia. Jak wkładałem klucz do zamka, to czułem palcami, czy kuleczka podnosi się czy nie i na którym ząbku.

- A drugi komplet też otwierał skarbiec?

- A jakże inaczej? Oba działały nie gorzej niż te oryginalne klucze angielskie. Dwa komplety oddałem panu dyrektorowi.

- Helskiemu?

- Nie. Ten dyrektor już nie żyje. Coś w dwa lata później umarł. Dzierżanowski się nazywał. Jeden komplet zrobiłem z mosiądzu podobnego do złota. Na drugi zabrakło tego metalu i był jaśniejszy, bardziej podobny do angielskich kluczy. A co? Znowu trzeba dorobić?

Porucznik złożył wizytę w fabryce w cywilnym ubraniu.

Wylegitymował się tylko „personalnemu”, który pomagał mu w odnalezieniu starych pracowników. Nie wtajemniczył ślusarza, że jest oficerem milicji, tylko podał się za pracownika banku. Teraz więc uspokoił starego majstra, że kluczy nie potrzeba na razie dobierać. Swoją wizytę wytłumaczył mu inwentaryzacją.

- To nawet w bankach robią remanent? - zdziwił się

ślusarz.

- Właśnie - potwierdził Widera - i chcieliśmy ponumerować te komplety, żeby nam się nie myliły.

- Używajcie zawsze oryginalnych - radził fachowiec.

- Są lepsze i bardziej twarde. A jeśli nie oryginalnych, to tych moich jaśniejszych. W tych jaśniejszych jest więcej cyny i cynku, a to dodaje twardości mosiądzowi. Żółte są ładniejsze, ale bardziej miękkie. Niech lepiej wiszą na kołku.

Dowiedziawszy się o wynikach wizyty w fabryce kaptan aż się za głowę złapał. Sprawa coraz bardziej się komplikowała. Początkowo pewne było, że istnieją jedynie dwa komplety. Teraz okazało się, że jest ich co najmniej cztery.

Ale gdzie szukać tych kluczy?

ROZDZIAŁ V

- Powszechny Bank Rzemiosła - telefonistka z centrali wypowiadała te słowa z regularnością automatu, głosem podobnym do warszawskiej „zegarynki”.

- W tej chwili łączę pana ministra z panem prezesem - dodała już głosem żywego człowieka. Włożyła zielony kabel w jedno z gniazdek i poinformowała sekretarkę naczelnego dyrektora, Mariana Chudzińskiego, że dzwoni jeden z wiceministrów z Ministerstwa Finansów i chciałby

mówić z „prezesem”. Sekretarka natychmiast przełączyła na aparat stojący na stoliczku przy biurku Chudzińskiego. Naczelnny dyrektor usłyszał w słuchawce głos podsekretarza stanu w resorcie, do którego należał nadzór nad bankami.

- Kolego dyrektorze, mam do was wielką prośbę - powiedział wiceminister po powitaniach.

- Co tylko będę mógł...

- Chodzi o głupstwo. Mam przyjaciela jeszcze z czasów okupacji. Starszy, schorowany człowiek. Konspiracja, więzienie w gestapo, obozy. Sami rozumiecie. Pracował przez wiele lat w księgowości w jednym z przedsiębiorstw w Olsztynie. Później chorował. Długo się leczył. Następnie całe lata przebywał na kuracji w sanatoriach. Trochę ZBOWID, a trochę myśmy mu pomagali. Wreszcie jakoś się pozbierał i jest względnie zdrowy, ale do Olsztyna lekarz zabronił mu wracać, bo zbyt ostry klimat i za wilgotny.

W Warszawie ma rodzinę, jest dobrym fachowcem i znajdziemy jakąś odpowiednią dla niego pracę. Na razie jednak chciałbym, abyście przyjęli go na parę miesięcy do swojego banku. Trochę przypomni sobie, trochę pozna księgowość bankową. Najwyżej trzy miesiące, a później go zabiorę, zgoda?

- Ciężko będzie, bo nie mam wolnego etatu.

- Załatwcie jakoś, dyrektorze. Ta sprawa specjalnie leży mi na sercu. Zresztą nie pożałujecie. Robotę zna i gdyby nie choroba, nie on by szukał posady, tylko o niego byłyby się różne przedsiębiorstwa. Trzymam zakład, że po

dwóch, trzech tygodniach nie będziecie chcieli go oddać.

Załatwione?

- Czego ja bym dla ministra nie zrobił! Prawdę mówiąc w księgowości pomoc nawet się przyda. Tylko z tym planem etatów... W razie czego ministerstwo będzie nas broniło, jeżeli przekroczymy fundusz osobowy.

- Możecie być pewni.

- Więc dobrze. Niech jutro rano zgłosi się do pracy. Przyjdzie do mnie, a ja uprzedzę „personalnego” i kierownika księgowości. Ale tylko na trzy miesiące. Dłużej nie da rady.

- Może nawet krócej. Bardzo wam dziękuję.

W rezultacie tej rozmowy nazajutrz punktualnie o 8 rano starszy siwy pan, ubrany w dość zniszczony granatowy garnitur, z wpiętym w klapę znaczkiem ZBOWIDu i całym pęczkiem miniaturek różnych odznaczeń, podpierający się laską o gumowej skuwce wszedł do gmachu banku.

- Pan do kogo? Bank otwieramy dopiero o dziewiątej - zatrzymał nieznanego woźny Franciszek.

- Ja do pana prezesa - wyjaśnił potulnie przybyły. -

Pan prezes kazał mi się zgłosić o ósmej. Mam być przyjęty do pracy w księgowości.

- Nic o tym nie słyszałem - głos pana Franciszka zabrzmiał łagodniej. Widocznie grzeczna, pełna uszanowania

postawa starszego pana spodobała się woźnemu. Również fakt, że naczelnego dyrektora tytułował „prezesem”, musiał go przychylniej usposobić do nieznanego. - Pana prezesa jeszcze nie ma, ale tylko patrzeć, jak nadejdzie.

- To ja tu poczekam, jeśli pan pozwoli.

- Gabinet pana prezesa jest na górze. Pójdzie pan przez salę operacyjną schodami na pierwsze piętro. Tam są wygodne fotele i tam pan poczeka.

- Dziękuję panu - nieznanomy skierował się w stronę schodów.

Gdy w parę minut później naczelnny dyrektor przyjechał do banku, stary woźny poinformował, że na pierwszym piętrze czeka jakiś petent, który ma pracować w księgowości.

- Nawet przyzwoicie wygląda. Robi solidne wrażenie - dodał poufale pan Franciszek.

Marian Chudziński skierował nowego pracownika do „personalnego”. Ten już wiedział o interesancie i polecił mu wypełnić „kwestionariusz osobowy” oraz napisać życiorys. Władysław Górecki, gdyż tak się nazywał starszy pan, wyciągnął z kieszeni kartkę zapisaną równym, czytelnym pismem.

- Mam już gotowy życiorys, panie dyrektorze.

- Nie jestem dyrektorem - roześmiał się „personalny” - tylko zwykłym referentem, takim samym jak pan. Chodźmy, zaprowadzę pana do wydziału księgowości i poznam z kierownikiem Janem Bilskim.

Nowy pracownik przypadł do gustu głównemu księgowemu. Był cichy, spokojny i z pierwszych jego słów można było poznać, że jest doskonałym fachowcem. Jedyne w specyfice bankowej orientował się nieco słabiej. Nie stanowiło to jednak problemu, gdyż nauczenie się tego było kwestią kilku dni.

Również koledzy z wydziału nie mieli powodów do narzekania. Pan Górecki elegancko skłonił się przed jedyną w tym wydziale kobietą, Krystyną Rzeszewską, i umiał znaleźć odpowiedni komplement. W stosunku do innych kolegów był grzeczny i podkreślił, że z pewnością wiele się nauczy od tak doskonałych fachowców. A któż nie lubi po-

chwał, nawet gdy otrzymuje je na kredyt? Ligman, jako najmłodszy w tym wydziale, podjął się oprowadzić nowego kolegę po całym gmachu i poznać z resztą pracowników banku. W czasie tej wędrówki starszy pan zwierzył się swojemu przewodnikowi, że będzie musiał „wkupić się” do wydziału i wypytywał, czy lepiej zaprosić kolegów jutro po pracy gdzieś do lokalu, czy też na miejscu urządzić skromny poczęstunek.

Ligman protestował „niech pan kolega nie wykosztowuje się bez potrzeby”, ale jednocześnie zauważył, że lepiej taką rzecz zorganizować w pobliskiej restauracji „Stolica”. Broń Boże w banku. Niedawno z okazji zakończenia bilansu wydział urządził małą bibkę w swoim pokoju i skutki okazały się jak najgorsze.

- Dlaczego? - grzecznie zdziwił się Górecki.

- Nie tylko że prezes wszystkich nas ochrzanił i nawet zagroził, że jeżeli jeszcze raz to się powtórzy, to „wyciągnie konsekwencje służbowe”, ale jeszcze zostaliśmy złodziejami. Milicja maglowała nas przez parę godzin. Nie wiedziałem, czy wrócę do domu, czy pojedę na Mokotów.

- Co pan mówi? O jeden czy dwa kieliszki wódki prezes milicję wzywał?

- Nie! Tylko akurat na drugi dzień okazało się, że z zamkniętego na trzy spusty skarbcza zginęło 10 000 000 złotych. Co za cholerny pech! Nie mogło to się zdarzyć kiedy indziej?

Później, gdy już po powrocie do pokoju księgowości rozmowa znowu zeszała na temat tajemniczej kradzieży pieniędzy, pan Górecki wyraził pogląd, że na pewno milicja niczego nie wykryje i szkoda było ją wzywać. Przyzwolici ludzie mogą mieć masę nieprzyjemności, a złodziej zostanie bezkarny. Swoje słowa poparł przykładem, że jego żonie w 1954 roku skradziono z szafy w mieszkaniu futro i milicja również nie znalazła włamywacza, za to wielokrotnie przesłuchiowano całą rodzinę.

Nowy pracownik księgowości był człowiekiem energicznym. Chociaż więc koledzy protestowali (ale nie za mocno), postawił na swoim i na drugi dzień wydział księgowo-

ści jak jeden mąż powędrował po pracy do sąsiedniego lokalu, gdzie czekał już zamówiony stolik, a nawet mały bukietik kwiatów dla pani Rzeszewskiej. W lokalu starszy pan zupełnie się odmienił. Z cichego, skromnego urzędnika przemienił się natychmiast w pełnego humoru wesołego gospodarza. Wznosił ochoczo zdrowie „swojego kochanego szefa” i „przemiłych kolegów”, pił „ten pierwszy zdrowie dam” i tak rozruszał całe towarzystwo, iż początkowo

niewiele sztywny główny księgowy musiał w końcu przyznać, że nowy nabytek banku jest „wcale, wcale”. Pozostali pracownicy wydziału byli po prostu oczarowani nowym kolegą, tak że gdy towarzystwo w wesołym nastroju opuszczało restaurację, wszyscy byli już z nim na „ty”.

Bilski zaproponował, aby rachunek podzielić między wszystkich panów, bo „nie ma sensu, żeby nasz nowy kolega, który nawet jeszcze grosza z banku nie odebrał, miał tyle płacić”. Jednakże Górecki gwałtownie zaprotestował. Zresztą kelner oświadczył, że wszystko zostało dawno uregulowane.

Jedną tylko osobą kręciła nosem na to przyjęcie. Był nim główny księgowy pewnego urzędu mieszczącego się przy ulicy Nowotki w wielkim, starym pałacu. Krzywił się, ponieważ musiał zaksięgować dość dziwny rachunek i sumą obciążyć konto: „koszta dochodzenia w sprawie kradzieży w „Powszechnym Banku Rzemiosła””. Wyrażał też

zdziwienie, że major Górecki, który przecież sam jest ekspertem MO w dziedzinie buchalterii, nie zastanowił się nad ewentualnymi kłopotami księgowości Komendy MO.

Może ona mieć sporo kłopotu z uwzględnieniem tak dziwnej pozycji wydatków, jak przyjęcie w restauracji dla siedmiu osób. Przecież zakwestionuje tę pozycję pierwszy lepszy kontroler NIK, a potem tłumacz się i pisz wyjaśnienia.

Zadzwoił w tej sprawie do pułkownika i podzielił się z nim swoimi wątpliwościami.

- Przyślijcie mi w takim razie ten rachunek do akceptacji. Sprawa jest specjalna i w przyszłości może wymagać innych metod śledztwa od zazwyczaj stosowanych. Major Górecki wie, co robi.

Uspokojony księgowy podpisał rachunek „do wypłaty”.

Jeżeli pułkownik tak sobie życzy, to on nie będzie protestował. Jemu wszystko jedno, skoro ma parafę zwierzchnika.

Tymczasem kapitan Piotr Jarkowski skrzętnie zbierał wiadomości o czternastu podejrzanych o kradzież. Nie było nic specjalnie ciekawego. Każdy z tych ludzi miał swoje codzienne zmartwienia i kłopoty, również finansowe. Nie mniejsze i nie większe niż inni. Każdemu z tej czternastki dziesięć milionów złotych nie tylko mogło się przydać, ale radykalnie zmienić do końca życia warunki egzystencji.

Niektórzy z nich mieli różne „haczyki w życiorysie”, za co

doznali rozmaitych przykrości w minionym okresie. Jedno nie ulegało wszakże żadnej wątpliwości - dotychczasowa nieskazitelna ich uczciwość.

Słowem nic, żadnego śladu, żadnej poszlaki.

Zgodnie z rozkazem pułkownika cała czternastka była dyskretnie, lecz nieustannie śledzona. Każdy krok tych ludzi znajdował odzwierciedlenie w, meldunku, jaki na drugi dzień rano znajdował się na biurku Jarkowskiego lub jego pomocnika, porucznika Romana Widery. Te meldunki nie przynosiły nic interesującego. Ktoś poszedł do kina, ktoś z dziećmi nad Wisłę. Młody człowiek umówił się ze swoją dziewczyną. Pani Rzeszewska wróciła z wywiadówki bardzo zdenerwowana i później długo robiła wyrzuty najstarszej córce. Ot, zwykłe życie zwykłych ludzi. A przecież wśród nich znajdował się złodziej, który ukradł dziesięć milionów.

Porucznik Widera dotarł też do kluczy od skarbca banku, kompletu, który znajdował się w depozycie Komendy MO. Stary ślusarz mówił prawdę. Komplet był wykonany z bardzo jasnego mosiądzu. Podobny był w kolorze do oryginału, lecz dużo lżejszy. A więc gdzieś znajduje się komplet ciemniejszy, sprawiający wrażenie - zgodnie z twierdzeniem majstra - „jak gdyby był zrobiony ze złota”.

Obydwaj oficerowie postanowili raz jeszcze złożyć wizytę w banku i ponownie porozmawiać z dyrektorem Helskim. Porucznik Widera był nawet zdania, że należy zaoptować się w nakaz aresztowania Helskiego, ale kapitanowi udało się uspokoić swojego krewkiego przyjaciela

i przekonać, że bez „żelaznych dowodów” prokurator nie da sankcji na aresztowanie znanego ekonomisty - dyrektora banku.

- Jeżeli naprawdę jest winien, to i tak nam nie ucieknie. Na razie mamy jednak jedynie poszlaki i Helski najzupełniej zdaje sobie z tego sprawę. Najlepszy dowód, że nie zląkł się zbyt moich pogróżek w czasie ostatniej z nami rozmowy.

- Dlatego dobrze by mu zrobiło posiedzenie parę dni w piwnicy - porucznik Widera był zwolennikiem ostrych metod prowadzenia śledztwa.

- Parę dni by posiedział, potem prokurator by go zwolnił, a pan porucznik Widera musiałby tłumaczyć się już nie przed naszym „starym”, lecz w Komendzie Głównej MO. Tam dopiero by pochwalili!

- Rób jak chcesz, ale mnie ten Helski coraz mniej się podoba. Taki gładki i śliski jak węgorz. No, chodźmy do niego.

- Panowie do mnie? Proszę - dyrektor Helski nie okazał najmniejszego zdziwienia na widok oficerów milicji wkraczających do jego gabinetu. - Czym mogę służyć?

- Ostatni raz rozstaliśmy się w niezbyt wielkiej zgodzie - rzekł kapitan.

- Panowie twierdzą, że to ja wyjąłem z kasy pieniądze, a ja kategorycznie temu przeczę. Na tym punkcie nigdy nie dojdziemy do zgody.

- Może jednak nasze stanowiska znacznie się zbliżą - odpowiedział kapitan - gdy przypomnę, że naszą ostatnią rozmowę zakończył pan pytaniem: „jak mogłem jednym kluczem otworzyć wszystkie trzy zamki?” Pamięta pan?

- Możliwe, że coś takiego powiedziałem. Czyżby kapitan wyjaśnił tę sprawę? To byłoby nader ciekawe.

- Wyjaśniłem. Złodziej nie potrzebował otwierać wszystkich trzech rygli jednym kluczem. To jest zresztą niewykonalne. Miał po prostu trzy klucze. Nawet wiem, jak one wyglądają. Całe są jakby ze złota. To już po raz drugi bank wprowadza milicję w błąd. Po raz pierwszy próbował to zrobić woźny Franciszek ukrywając, że księgowość praco-

wała, a raczej popijała w banku w godzinach popołudniowych. Po raz drugi zrobił to dyrektor Helski twierdząc, że po wojnie dorabiano tylko jeden komplet kluczy. Ale nas, milicjantów, nie tak łatwo okłamać. Mamy zwyczaj sprawdzania tego, co nam mówią.

Porucznik Widera siedział z boku i nie odzywał się ani słowem, lecz bacznie obserwował twarz dyrektora. Teraz z satysfakcją zauważył, że strzał kapitana był celny. Helski wyraźnie pobleadł i na jego obliczu odmalował się wyraz zmieszania.

- Czy pan przyszedł mnie aresztować - zapytał Helski.

- Jeszcze nie - brutalnie odpowiedział kapitan - ale być może niedługo... Na razie chciałbym się dowiedzieć, dlaczego pan zataił przed nami istnienie drugiego kompletu kluczy dorabianych po wojnie. Kto posiada ten komplet?

- Zdaję sobie sprawę z tego, że panowie podejrzewają mnie o posiadanie tych kluczy. Ale to nieprawda. Nie mówiłem o „złotym” komplecie, bo po prostu o nim zapomniałem. Wiedziałem, że ten komplet nie istnieje, więc podświadomie powiedziałem, że dorobione zostały tylko klucze obecnie zdeponowane w Pałacu Mostowskich.
- Co się stało z tym kompletem?
- Nie wiemy. Wiemy natomiast, że jeden z tych kluczy został złamany w czasie otwierania skarbca. Było nawet nieco kłopotu z wyjęciem go z zamka.
- Proszę nam opowiedzieć dokładnie całą historię, bo ze słów pana niewiele w tej chwili rozumiemy.
- Muszę się cofnąć dość daleko w przeszłość. Jak panowie wiedzą, zapasowe klucze dorobione zostały w 1946 roku. Wtedy istniał jeszcze Bank Komunalny. Po prezesie Arturze Śliwowskim kierował bankiem Edmund Woliński. Właśnie on, zgodnie z tradycją Banku Komunalnego, otrzymał „złoty” komplet kluczy, których nigdy nie używał. Po jednej z licznych wówczas reform naszej bankowości, prezes Woliński ustąpił z zajmowanego stanowiska. Przejściowo jego funkcje przejął obecnie już nieżyjący Dzierżanowski. Jednocześnie w banku utworzono wydział personalny. Dyrektorem tego wydziału mianowano Kazi-

mierza Cokoła. Był to okres 1951-1955. Pan Cokół rozpoczął swoje rządy od gromadzenia najrozmaitszych ankiet personalnych i urządzania swojego gabinetu. Mieścił się on w pokoju zajęтым teraz przez wydział prawny. Cokół dowiedział się o istnieniu kompletu kluczy i zażądał go dla osobistego użytku. Dyrektor Dzierżanowski, starszy schorowany człowiek, nie zdobył się na gest protestu przeciwko panu Cokołowi, który wkrótce zaczął się szarogęścić w banku. Wielu doskonałych fachowców musiało wtedy opuścić te mury. Na miejsce dawnych pracowników pan Cokół przyjmował swoich ludzi. Tylko na jednym postawił dyrektor Dzierżanowski, Cokołowi nie wolno było chodzić samemu do skarbcza. Bardzo się o to złościł, ale zawsze musiał brać ze sobą głównego kasjera. Natomiast skarbiec otwierał sam, swoim kompletem. Pewnego dnia wsadził niewłaściwy klucz do zamka i próbując na siłę otworzyć drzwi, złamał miękki klucz. Nawrockiemu, który był wtedy u nas gońcem, na szczęście udało się jakoś wyciągnąć złamaną część.

- Co było dalej?

- Pan dyrektor Cokół rządził bankiem gdzieś do połowy 1955 roku. W końcu odszedł do Wrocławia. Podobno został tam dyrektorem przedsiębiorstwa dokonującego rozbiórki spalonych domów i usuwającego gruzy z miasta.

Nam udało się ponownie skompletować dobry zespół fachowców. Po panu Cokole pozostała na pamiątkę jedynie lodówka stojąca obecnie w suterenie. Wówczas wraz z ogromnym biurkiem, które również trafiło do tamtej rupieciarni, zajmowała honorowe miejsce w gabinecie dyrektora personalnego.

- A co z kluczami?

- Po złamaniu klucza Cokół już nie chował ankiet personalnych i innych ściśle poufnych opinii służbowych w skarbcu. Na ten cel kazał kupić szafę żelazną, którą również ustawił w swoim gabinecie. Z tej szafy korzysta dzisiaj wydział prawny. Pozostałych kluczy dyrektor Cokół nie zwrócił. Gdy odszedł z banku, wszyscy byli tak uradowani, że nikt go o te klucze nie spytał, zresztą Cokół zostawił wiele spraw niezakończonych. Między innymi bardzo długo trwało jego rozliczanie się z różnych spraw finansowych. Pamiętam, że pisaliśmy do Wrocławia, domagając się zwrotu kluczy i otrzymaliśmy odpowiedź, że pan Cokół niepotrzebne mu klucze dawno wyrzucił i nie wie, co się z nimi stało. Dyrektor Helski zadzwonił na sekretarkę. Gdy przyszła, polecił jej odszukać w archiwum dziennik korespondencji z 1955 roku oraz numery pism wysłanych do Cokoła do Wrocławia i jego odpowiedzi. Za dziesięć minut cała korespondencja znalazła się w ręku kapitana. Z treści listu

nadesłanego z Wrocławia, a pisanego przez sekretarkę dyrektora Cokoła, wynikało, że dyrektor polecił jej odpisać, aby mu nie zawracano głowy kluczami, które dawno wyrzucił.

Kapitan zwrócił papiery dyrektorowi Helskiemu. Ten kazał sekretarce wynotować numery, a teczkę odnieść

z powrotem do archiwum. Do oficerów milicji natomiast powiedział:

- Sami panowie widzą, że w tych warunkach nie skłamałem mówiąc o istnieniu jedynie dwóch kompletów. Po prostu tego trzeciego nie brałem pod uwagę, gdyż wiedziałem, że go nie ma.

- Zakładając, że wszystko, co Cokół napisał, jest prawdą i rzeczywiście zgubił lub wyrzucił klucze i nie wie, co się z nimi stało - odpowiedział kapitan. - Sprawa tego kompletu nie jest jeszcze rozwiązana. Najczęściej tak bywa, że gdy jeden człowiek coś zgubi, to drugi znajdzie. Nie mamy więc żadnej pewności, że klucze nie zostały znalezione i nie posłużyły do otwarcia skarbca.

- Przecież tłumaczyłem panom, że jeden klucz był złamany. Ślusarz nas ostrzegął przed używaniem tego kompletu, gdyż metal, z którego zostały zrobione, jest zbyt miękki. Przyjmując nieprawdopodobną moim zdaniem wersję, że po ośmiu latach ktoś te klucze znalazł i był nim akurat pracownik banku, to i tak nie mógł nimi otworzyć skarbca. Ja również nie mogłbym tego uczynić, chociaż panowie to mi przypisują - tu dyrektor Helski uśmiechnął się ironicznie i skłonił oficerom - bo trzeci klucz był złamany. Ten fakt mogą potwierdzić liczni pracownicy

banku. Między innymi Nawrocki, który wydlubował złamaną część z zamka. Posiadaczowi dwóch kluczy na nic by się zdały.

- Pod warunkiem - wtrącił porucznik - że nie posiada brakującego, trzeciego klucza.

- Jak to? - zdziwił się dyrektor.

- Bardzo proste. Trzech panów ma po jednym kluczu od skarbcza. Jeżeli któryś z was znalazł dwa klucze ze „złotego” kompletu, to mogą być dwie możliwości. Albo znajdzie się w posiadaniu dwóch identycznych, albo szansa jak jeden do trzech, że będzie rozporządzał pełnym kompletem. Dwoma złotymi uzupełnionymi trzecim, własnym, ze stopu platynowo-irydowego.

- Ciekawa teoria, choć przyznam się, mało prawdopodobna - rzekł Helski.

- Możemy się dowiedzieć, który klucz został złamany, i wtedy ustalimy, który z panów dyrektorów w razie znalezienia pozostałych rozporządzałby kompletem zdolnym do otworzenia skarbcza. Czy pamięta pan, w jakim zamku utkwił odłamek?

Dyrektor Helski wzruszył ramionami.

- Nie interesowało mnie to tak dalece.

- A może Nawrocki zapamiętał to zdarzenie?

Wezwany do dyrektora Stanisław Nawrocki stanął

w drzwiach.

- Czy pamiętacie - zapytał go kapitan - jak to dyrektor

Cokół złamał klucz w drzwiach skarbca? Udało się wam wyjąć z zamka resztę odłamka.

- Tak jest. Doskonale pamiętam, panie kapitanie. Byłem wtedy gościem. Miałem 17 lat. Udało mi się wydłubać ten kawałek, bo jedna z pań urzędniczek dała mi cienkie nożyczki do manikiuru. Po tej operacji były do wyrzucenia. Podważyłem złamany klucz nożyczkami i powoli wydłubałem cieniutkim drucikiem. A miałem przy tym stracha, żeby się głębiej nie wsunął! Wtedy byłby koniec.

- A dlaczego klucz się złamał?

- Pan dyrektor Cokół włożył w górny otwór zamka właściwy klucz, ale nie docisnął go do końca. Pan dyrektor Cokół, za przeproszeniem panów, był niski i gruby. Wkładając klucz w górny otwór musiał stawać na palcach. Nie wyczuwał więc oporu zamka, nie wepchnął klucza do końca i na siłę chciał przekręcić. Wtedy klucz się złamał.

- Na pewno w górnym zamku?

- Na pewno, panie kapitanie! Pamiętam doskonale, że kiedy wyjmowałem odłamek, to przyniosłem sobie taboret, ale nie było mi wygodnie na nim stać, więc przyciągnąłem stół. Do środkowego czy do dolnego zamka nie potrzebowałbym takiego rusztowania.

Kapitan podziękował woźnemu za informację, a gdy

Nawrocki wyszedł, zwrócił się do Helskiego.

- Który z panów dyrektorów ma klucz od górnego zamka?

Dyrektor Helski sięgnął do kieszeni.

- To jest ten klucz - powiedział lekko drżącym głosem.

ROZDZIAŁ VI

- A ja bym go zamknął - powiedział porucznik Roman

Widera,

Tego dnia odprawa u pułkownika odbywała się po południu, aby mógł w niej uczestniczyć również nowy urzędnik wydziału księgowości Powszechnego Banku Rzemiosła, Władysław Górecki, skądinąd znany jako major, główny ekspert od spraw księgowości w Komendzie Wojewódzkiej MO w Olsztynie. Pułkownik pytająco spojrzał na Widerę, a ten ciągnął dalej.

- Mamy dostateczną ilość poszlak, aby prokurator mógł sporządzić akt oskarżenia. Jedno pasuje do drugiego. Jak trybiki w precyzyjnym zegarku. Nie ma co dłużej czekać.

- Nie jestem tego taki pewien - mruknął major Górecki.

- Dlaczego? W dniu kradzieży dyrektor Helski przyszedł do banku grubo przed jego otwarciem, natychmiast zszedł do podziemi i. jak to zeznali obydwaj strażnicy, bawił tam przeszło 6 minut. Miał więc dostatecznie dużo czasu, aby otworzyć dwie kraty i trzy zamki skarbca. Zdążył jeszcze spokojnie odnieść klucze na miejsce na tablicę wiszącą w archiwum i schować w jakimś zakamarku wyjęte z kasy pieniądze. Później już bez trudu wyniósł je

z banku. Helski bronił się cały czas twierdzeniem, że mając jeden klucz nie mógłby otworzyć drzwi skarbcza. Obecnie ten argument odpada. Wiemy, że dwa klucze pozostałe z kompletu dyrektora Cokoła doskonale uzupełniały ten posiadany przez Helskiego. Na co dłużej czekać?

- A wy kapitanie, co o tym myślicie?

Kapitan Piotr Jarkowski przecząco pokręcił głową.

- Mnie się wydaje - powiedział - że sprawa nie jest tak pewna, jak to przedstawia porucznik. Nie ulega wątpliwości, że spośród wszystkich podejrzanych dyrektor Zygmunt Helski jest najbardziej obciążony poszlakami. Ale opieramy się jedynie na hipotezie, że znalazł względnie dysponuje kluczami Cokoła. Ta hipoteza niczym nie jest poparta. Tym bardziej ryzykowne jest jej przyjęcie z chwilą ustalenia, że oryginalny komplet posiadany przez byłego prezesa banku Jacka Potulickiego nie uległ zniszczeniu w Lublinie, tylko cały czas był w Warszawie w domu Potulickich. Nie wiadomo, co się z tym kompletem dzieje obecnie. Może tymi kluczami posłużył się złodziej? Sądzę, że gdybyśmy aresztowali Helskiego, a prokurator zaryzykowałby proces poszlakowy, to właśnie tym argumentem obrona obaliłaby akt oskarżenia. Nie mówiąc już o tym, że adwokat Helskiego szermowałby na pewno tezą: „skoro dyrektor jest złodziejem, to gdzie są pieniądze”.

- Moim zdaniem kapitan ma rację - przytaknął pułkownik. - Nie możemy ryzykować niesłusznego lub przedwczesnego aresztowania człowieka, którego sąd najprawdopodobniej uniewinni. Niemniej należy dawać baczenie na każdy krok dyrektora. Trzeba również odszukać Cokoła i dowiedzieć się od niego, jak to naprawdę było z tymi kluczami.

- Dałem notkę w tej sprawie do KWMO we Wrocławiu.

Idąc na odprawę do pułkownika zajrzałem do hali dalekopisów. Wprost z teleskryptora zabrałem odpowiedź. Komenda Wojewódzka MO we Wrocławiu wyjaśnia, że Kazimierz Cokół, jeden z dyrektorów Miejskiego Przedsiębiorstwa Rozbiórkowego, został w 1956 roku aresztowany pod zarzutem dokonania milionowych nadużyć. Rozbierano domy nadające się do odbudowy i cegłę sprzedawano „na lewo” prywatnym przedsiębiorcom budowlanym z prowincji. W procesie, który odbył się rok później, główny oskarżony Mondszajn skazany został na 15 lat więzienia, zaś nasz Cokół zarobił osiem lat. Ostatni znany Komendzie adres - więzienie karne w Rawiczu.

- Osiem lat - zauważył Górecki - a od aresztowania minęło już siedem, prawdopodobnie Cokół jest na wolności.

Zazwyczaj więźniów zwalniali po odbyciu trzech czwartych kary „za dobre sprawowanie”.

- Zamówiłem na jutro rano telefon do Rawicza. Ustali-

my, czy Cokół jeszcze siedzi. Jeżeli już wyszedł, więzienie będzie miało jego aktualny adres.

- Dobrze. I niech porucznik Widera do niego jedzie.

Przypuszczam, że były personalnik będzie miał teraz lep-

szą pamięć i powie nam, co naprawdę zrobił z kluczami.

Jutro, poruczniku, ruszajcie w drogę.

- Rozkaz, panie pułkowniku.

- A co nam powie pan major? Jakie spostrzeżenia

z pierwszych dni pracy w banku?

- Na ogół pozytywne. Na pierwszy rzut oka ludzie robią dobre wrażenie. Prawie wszyscy są długoletnimi pracownikami banku. Mają wybitnie wyrobioną solidarność zawodową. Jeden drugiego kryje w każdym drobiazgu. Są jak gdyby dużą, zżyłą rodziną. Porucznik Widera skrzywił się.

- O tej wielkiej rodzinie mówiono nam w banku. Jeden przez drugiego starał się nas okłamać.

Major Górecki uśmiechnął się.

- Niemniej w tej definicji jest dużo racji. Poza tym dobrzy fachowcy. Bank pracuje bardzo sprawnie, nawet nad podziw, biorąc pod uwagę stosunkowo szczupły personel i dość przestarzałe metody pracy. Zwłaszcza w księgowości, gdzie ciągle jeszcze używa się liczydeł i ręcznych maszyn do liczenia.

- A koledzy z księgowości? Nic pan nie zauważył?

- Cóż można powiedzieć? Główny księgowy, wybitna siła, pracuje w banku ponad dwadzieścia lat. Rzeszewska uchodzi w wydziale i w ogóle chyba w całym banku za naj-

zamożniejszą osobę. Mąż w jakiejś centrali handlu zagranicznego. Tadeusz Ligman jest najmłodszym urzędnikiem. Trochę nygus, lubi się wyręczać w robocie kim innym. Obecnie z upodobaniem spycha na mnie najgorszą robotę. O innych trudno mi jeszcze coś powiedzieć. Nie było okazji, aby ich lepiej poznać.

- Nie podejrzewają waszej podwójnej roli?

- Chyba nie. Uchodzę przecież za protegowanego wiceministra. W każdym razie koledzy z wydziału nie podejrzewają mnie na pewno. Tylko ten młody woźny. Zapomniałem jego nazwiska...

- Nawrocki?

- Właśnie Nawrocki. Wczoraj podając mi płaszcz, powiedział, że widywał mnie często na Nowotki koło Pałacu Mostowskich. Zrobiłem szczerze zdziwioną minę i odpowie-

działem zgodnie zresztą z prawdą, że to jakaś pomyłka, gdyż mieszkam w Olsztynie. Głupi smarkacz zaczął mnie egzaminować ze znajomości miasta Olsztyna różnymi podchwytliwymi pytankami. Ale chyba zdałem ten egzamin.

Swoją drogą pan pułkownik miał dobry pomysł, że sprowadzono mnie tutaj, a nie wyznaczono kogoś miejscowego.

- Warszawiaka zawsze ktoś by rozpoznał - zauważył kapitan.

- Mam dwie uwagi - mówił dalej major. - Przede wszystkim poznałem dokładnie gmach banku. Przy sali operacyjnej znajduje się dość spore pomieszczenie kuchenne.

Tam Franciszek gotuje herbatę i jest tam także mały warsztat ślusarski. Drobne uszkodzenia maszyn naprawia się na miejscu. Przychodzi wezwany konserwator i nie zabiera maszyny do swojego warsztatu, tylko reperuje na miejscu. Gdy złamie się klucz, dorabiają na miejscu woźni.

Z kuchni prowadzi zapasowe wyjście z banku.

- Dokąd? - zdziwił się kapitan. - Mówiono nam, że bank ma tylko jedne drzwi zewnętrzne, wychodzące na narożnik dwóch ulic.

- Drzwi z kuchni prowadzą na małe podwórko wewnętrzne. Jest to na jakieś sześć metrów szeroki, a na dwadzieścia metrów długi skrawek ziemi między bankiem

a przyległą do niego dużą kamienicą. Na podwórze prowadzi brama zawsze zamknięta.

- Czy to ta obok wejścia na klatkę schodową na drugie piętro, gdzie mieszka administrator?

- Właśnie ta. Drzwi z kuchni na podwórze obite są grubą blachą i zamknięte na dwie zasuwy oraz żelazną sztabę. Wszyscy w banku twierdzą, że tych drzwi nie otwiera się przez całe lata. Pomiędzy kocimi łbami, którymi jest wybrukowane podwórze, rosną chwasty, a w kącie pod ścianą stoi duży drewniany śmietnik obity blachą, zupełnie pusty i od lat nie używany. Sprzątaczkę wynoszą śmieci z banku do pojemników stojących na placu. Z podwórzowego śmietnika nie korzystają, bo, jak zaznaczyłem, drzwi z kuchni na podwórze są zamknięte. W związku z tym zrobiłem ciekawe odkrycie. Dzisiaj przywieźli do banku nowe

meble. Na miejsce starych, rozlatujących się stołów urzędniczy otrzymują zgrabne, nowoczesne biurka. Samochód przywiózł biurka i aby nie przeszkadzać w godzinach pracy banku wyładowano meble na podwórzu. Podjąłem się naturalnie wybrać biurka dla naszego wydziału. Drzwi od kuchni na podwórko zostały z tej okazji otwarte. Zwiedziłem więc to podwórze nie znajdując na nim nic ciekawego, natomiast stwierdziłem, że jak na nieotwierane latami drzwi, to chodzą one lekko. Klucze w zasuwach obracają się bez oporu. Co ciekawsze, na zawiasach i na zamkach znalazłem zupełnie świeży smar. Najdalej przed dwoma tygodniami ktoś je solidnie naoliwił.

- To ważne odkrycie. Ale po co oliwił drzwi?

- Może chciano dokonać włamania siłą i złodzieje, mając oczywiście współników w banku, mieli tą drogą dostać się w nocy do kuchni, a stamtąd dalej. Zaskoczenie nocnych strażników, niczego się nie spodziewających, nie byłoby żadną sztuką.

- Po co mieli włamywać się do banku, skoro rozporządzali kompletem kluczy?

- To proste - przerwał porucznik. - Złodziej sądził, że nie znajdzie okazji dotarcia do skarbca bez zwracania niczyjej uwagi. Toteż przygotował sobie drogę ewentualnego

wejścia do banku w nocy, sterroryzowania strażników

i otworzenia trezora. Dlatego naoliwił drzwi. Ponieważ jednak trafiła mu się lepsza okazja wyjęcia pieniędzy z kasy, zrezygnował z pierwotnego planu.

- Przypuszczam, że rozumowanie porucznika jest słuszne - zgodził się pułkownik. - Kto ma klucze od drzwi kuchennych? Tych na podwórzu?

- Kluczami do drzwi zewnętrznych oraz kluczami do bramy dysponuje administrator. Ale ich duplikaty wiszą na tablicy w archiwum. Trzeba jednak pamiętać, że z zewnątrz nie można tych drzwi otworzyć, jeżeli przedtem nie zdejmie się sztaby barykadującej drzwi od wewnątrz.

- Trzymam zakład, że gdyby ktoś zjął sztabę, to przez dłuższy czas nikt by tego nie spostrzegł. Wieczorem administrator obchodzi wraz ze strażnikami cały gmach ban-

ku, ale jeżeli nawet zajrzą do kuchni, jedynie rzucą okiem, a zamków nie sprawdzają.

- Mam też następną uwagę. Dotyczy ona starego woźnego, Franciszka Zaleskiego. Ten człowiek sprawia wrażenie, że coś wie lub w każdym razie ma jakąś teorię w sprawie kradzieży w banku.

- Z czego pan to wnosi, majorze?

- Wybierając biurka kręciłem się po podwórzu. Meble ustawiono jedne na drugich, tak że ktoś wchodząc na podwórze nie mógł mnie w pierwszej chwili zauważyć.

W pewnym momencie dostrzegłem, że drzwi od kuchni otwierają się i wychodzi z nich Franciszek. Rozejrzał się dokoła i nie widząc nikogo zaczął oglądać zamki i zawiasy. Potem przeszedł się po podwórzu, jak gdyby czegoś szukając, zajrzał nawet do śmietnika. Słowem, zrobił wszystko to samo, co było moim zadaniem. A przecież Zaleski nie jest funkcjonariuszem milicji i nie prowadzi śledztwa. Mało tego. Bardzo dokładnie oglądał bramę wejściową. Gdy wyszedłem zza biurek, stary woźny był tak zmieszany, że nie mógł słowa powiedzieć. Dopiero po chwili zaczął opowiadać, że wyszedł na papierosa i oglądał, czy na podwórzu nie można posadzić jakiejś zieleni, aby było ładniej i urzędnicy mogli w lecie wychodzić tu na

papierosa. Bo podczas pracy w banku palić nie wolno.

Między innymi właśnie ta kuchnia służy pracownikom za palarnię. Wyrrywają się tam na parę minut, żeby pośpiesznie wypalić papierosa.

- To znaczy, że korzysta z niej każdy palący?

- Właściwie wolno palić tylko urzędnikom pracującym na górze lub w księgowości. Ci wszyscy, którzy obsługują klientów przy okienkach na sali operacyjnej palą papierosy w kuchni lub toalecie. Osobnej palarni bank nie posiada.

- My wiemy, że Zaleski czegoś szuka - stwierdził kapitan. - U starej Potulickiej był przede mną i również rozpytywał o klucze.

- Węszy też po całym banku. Wczoraj mieliśmy „dekadówkę”. Księgowość musi to robić w godzinach pozabiurowych. Wydział pracował aż do siódmej. Zauważyłem, że

Franciszek nieustannie kręcił się w podziemiu, w archiwum i w tej rupieciarni, gdzie stoi lodówka. Słyszałem, jak jeden z pracowników wydziału prawnego opowiadał, że stary woźny ciągle myszkuje w ich pokoju. Wczoraj raptem zachciało mu się robić porządek w dużej żelaznej szafie na akta. A że wszyscy młodszy urzędnicy trochę boją się starego, dopiero gdy radca prawny przyszedł po południu, przegnał go od tej szafy.

- Niewątpliwie stary coś Wie lub coś knuje - zgodził się pułkownik. - Dobrze byłoby zdobyć jego zaufanie. Może pan major spróbuje?

- Ciężko będzie. Nie mam do niego żadnej drogi.

- Może zainteresować go nagrodą?

- To nie chwyci. Nie cieszymy się sympatią pana Franciszka. Lepiej zostawić go pozornie w spokoju, za to pilnie uważać, co robi. Może w ten sposób uda nam się ustalić, dokąd zmierzają zamysły starego woźnego.

W rezultacie narady u pułkownika na drugi dzień wieczorem porucznik Widera jechał na Dolny Śląsk. Tam bowiem, jak zawiadomiło więzienie karne w Rawiczu, zamieszkał po odbyciu kary Kazimierz Cokół. Tymczasem kapitan otrzymał ciekawy raport. Oto jeden z podejrzanych o kradzież, Tadeusz Ligman, spotkał się w dniu, w którym odbywała się

narada u pułkownika, z pewnym młodym człowiekiem. Śledzący obydwu młodzieńców wywiadowca ustalił, że nieźle się oni zabawiali w kilku warszawskich knajpach. Rachunki płacili na zmianę. Zresztą to spotkanie rozpoczęło się od tego, że Ligman wręczył jakąś kwotę swojemu przyjacielowi.

Ile było tych pieniędzy - wywiadowca nie mógł ustalić.

W każdym razie widział kilka pięćsetek. Młodzi ludzie rozstali się późnym wieczorem. Ligman poszedł w stronę swojego mieszkania na ulicę Wilczą. Jego kompan wsiadł do taksówki. Wywiadowca zapisał numer samochodu i nazajutrz ustalił, że młodzieniec pojechał na Żoliborz, na ulicę Dygańskiego i wysiadł przed domem zamieszkałym przez Potulickich. Ponieważ wywiadowca słyszał, jak Ligman zwracał się do przyjaciela „Cześku”, tożsamość nieznanego została stwierdzona ponad wszelką wątpliwość.

Wobec tego kapitan Jarkowski postanowił porozmawiać ze Stanisławem Nawrockim. Umówił się z woźnym w kawiarence na Tamce. Nie zdążył jeszcze zamówić kawy, gdy zjawił się młody człowiek. Na pytanie kapitana odpowiedział, że w banku nie zauważył niczego podejrzanego, o czym mógłby donieść milicji. Chyba tylko to, że ostatnio dyrektor Helski jest zupełnie bez humoru.

- Dzisiaj spóźnił się do banku przeszło dziesięć minut. Pan Franciszek powiada, że dyrektorowi nigdy to się

nie zdarzyło. Telefonistka opowiadała, że dyrektor zama-
wiał pilną rozmowę z Wrocławiem i po niej był jeszcze
bardziej zły.

- Z kim rozmawiał? Z jakimś przedsiębiorstwem bu-
dowlanym?

- Nie wiem. Telefonistka nie mówiła. Chociaż nie...

Wspominała, że najpierw łączyła z mieszkaniem prywat-
nym, a później przełączała na szpital. Pewnie z jakimś
doktorem. Podobno pan dyrektor pytał o kogoś ze swoich
znajomych.

- Aha. Rozumiem - mruknął kapitan.

- Gdyby pan kapitan chciał, to wybadam telefonistkę.

Jestem z nią w dobrej komitywie. Ona na pewno wszyst-
ko podsłuchała. . Dyrektor Helski nigdy nie dzwoni na
międzymiastową, musiało ją to zaciekawić.

- Nie. Nie trzeba. Domyślam się, w jakiej sprawie pan
Helski dzwonił. Ściągnąłem pana tutaj, aby się czegoś do-
wiedzieć o Potulickich. Czy pan zna Czesława Potulickiego?

- Znam całą rodzinę. Dyrekcja banku stara się im po-
magać. Nieraz chodziłem z panem Franciszkiem na ulicę
Dygasińskiego, aby uporządkować ogród lub coś napra-
wić. Pan Czesław pracował kilka miesięcy w banku, ale
rzucił robotę. Mówił, że za dużo pracy, a za mała pensja.
Na miejsce pana Czesława przyszedł jego przyjaciel czy

nawet daleki krewny, pan Ligman. A teraz pan Potulicki często zagląda do banku. Najczęściej do pana Ligmana, z którym nadal się przyjaźni. Zdarzyło się, że odwiedzał panią Rzeszewską i pana Helskiego.

- Nie wie pan, po co?

- Bo ja wiem? Pewnie pożyczyć pieniądze. Bo pan Czesław zawsze jest bez pieniędzy. Ile razy brał ode mnie po 10 lub 20 złotych...

- Oddawał?

- Kiedy mu jakaś większa gotówka wpadnie w ręce; to przychodzi do banku, wyciąga setkę i dając ją mówi, że spłaca długi i zostawia a conto przyszłych pożyczek. A czy ciotce oddawał i czy brał od dyrektora, tego ja nie wiem.

- Ciotce?

- Pani Rzeszewska jest przecież ciotką Czesława. To siostra jego matki.

- Tej, która pracuje w barze mlecznym?

- Pani Potulicka jest rzeczywiście kierowniczką baru mlecznego na Starynkiewicza.

- A kiedy Potulicki był ostatnio w banku?

- Ostatnio był wczoraj. Umawiali się z Ligmanem na wieczór. A przedtem wpadł na parę minut do banku w przeddzień tej kradzieży. Ale tylko w szatni coś poszeptali i Czesław wręczył Ligmanowi małe pacuneczki. Zaraz potem wyszedł. Pan Tadeusz włożył paczkę do kieszeni i wrócił do swojego pokoju.

- Czy to było w dniu, w którym pan kupował wódkę?

- Nie, dzień przedtem.

Poza interesującą wiadomością o powiązaniach rodzinnych i przyjaźni pracowników wydziału księgowości, Rzeszewskiej i Ligmana, kapitan niczego więcej nie dowiedział się od sympatycznego woźnego. Ten z kolei usiłował wydobyc od oficera milicji, jak postępuje dochodzenie i czy została wyznaczona nagroda oraz czy z tej nagrody coś jemu przypadnie. Chociażby tyle, aby starczyło na skuter lub motocykl - powszechne w Polsce marzenie każdego chyba młodego człowieka. Kapitan uspokoił woźnego, że nie zapomni o pomocy, jaką oddaje śledztwu. Nawrocki zapewnił swojego rozmówcę, że zawsze służy mu swoją osobą. Po jego wyjściu kapitan znowu zapisał swoje spostrzeżenia w notesie. Notatek ciągle przybywało, a sprawa coraz bardziej się wikłała.

Porucznik Widera powrócił do Warszawy po dniu nieobecności. Bez trudu bowiem odszukał dawnego dyrektora personalnego w miasteczku pod Wałbrzychem.

Eks-dygnitarz zajmował obecnie dużo skromniejsze stanowisko pomocnika magazyniera w Centrali Opałowej.

Z dawnej buty i pewności siebie również niewiele panu Cokołowi pozostało. Na widok oficera milicji bardzo się przestraszył. Obawiał się, jak później sam przyznał, że gość przybywa w sprawie tych wątpliwych rozliczeń z sum pobranych w banku. Dowiedziawszy się, że cho-

dzi jedynie o klucze, Cokół odetchnął z wyraźną ulgą.

Owszem, pamięta, że złamał jeden klucz. Pozostałe dwa jako już niepotrzebne cisnął na dno którejs z szuflad swojego wielkiego biurka. Wkrótce potem przeniósł się do Wrocławia.

Gdy dwaj oficerowie milicji znowu weszli do gabinetu dyrektora Helskiego, ten miał taką minę, że aż porucznik, który od początku nie sympatyzował z dyrektorem, szepnął do kapitana:

- Widzisz, jakiego ma pietra? Myśli, że przyszliśmy go przyskrzynić.

- Odwiedzamy pana dyrektora - wyjaśnił kapitan - bo chcieliśmy zrobić małą rewizję.

- Tylko w tym gabinecie czy również u mnie w domu?

- Jesteśmy pewni, że ani tu, ani tam niczego nie znajdziemy - odpowiedział porucznik. - Chcemy natomiast, jeżeli pan pozwoli, zajrzeć do rupieciarni na dole i do archiwum.

- Moja zgoda lub mój protest nie zmieni panów zamiaru. Proszę, rewidujcie, co chcecie, z wyjątkiem sali operacyjnej w czasie godzin pracy banku.

- Prosimy, aby pan dyrektor i woźny Franciszek nam towarzyszyli.

Cała czwórka zesłała do podziemia, odprowadzana cie-

kawymi spojrzeniami urzędników pracujących przy okienkach bankowych w sali operacyjnej.

- Panie Franciszku - zapytał kapitan - gdzie jest biuro dawnego dyrektora personalnego Cokoła?

- Stoi w samym końcu salki. Na nim znajduje się kilka różnych połamanych stołów i krzeseł. Dojść tam nie można, bo wszędzie zastawione różnymi gratami.

- Po ustąpieniu dyrektora Cokoła natychmiast wyrzuciliśmy ten gigantyczny grat tutaj - objaśniał dyrektor Helski. - Nikt go później nie dotykał. Chcieliśmy to biuro przehandlować ministerstwu albo innemu bankowi, ale nikt się nie połakomił... Rowerem po blacie można jeździć. Cokół wyszabrował go podobno z głównej kwatery Goeringa na Mazurach. Może wezwać paru ludzi, aby usunęli te graty, które zagradzają drogę?

- Nie, spróbujemy sami dotrzeć do tego biureczka bez niczyjej pomocy - porucznik Widera ruszył w głąb piwnicznej sali.

- Niech pan uważa, tam straszny kurz - uprzedzał Franciszek.

- Czasem kurz może być bardzo ciekawy. Obejrzymy i kurz.

Kapitan pośpieszył za porucznikiem. Obaj przedstawiciele banku również zaczęli się przeciskać między stojącymi tutaj szafami, regałami, półkami i stołami. Ale wkrótce dalsza droga okazała się niepodobieństwem.

- W ten sposób nie dostaniemy się - zauważył kapitan.

- Część gratów trzeba usunąć. Roman, bierz tę szafę, a teraz te krzeselka.

Z pomocą Franciszka, który dzielnie przykładał się do usuwania przeszkód, w końcu znaleźli się w rogu sporej salki, gdzie stało biurko gigantycznych rozmiarów. Nie było nawet specjalnie zniszczone. Jedyne gruba warstwa kurzu spoczywała na jego mahoniowym blacie. Oficerowie obejrzelik dokładnie mebel z trzech stron. Czwarta przylegała do ściany. Właśnie z tamtej strony znajdowały się szuflady. Trzeba było znowu oczyszczać plac przed biurkiem, aby odsunąć je od ściany. Gdy uporano się z tym, kapitan zaczął kolejno otwierać liczne szuflady.

Górne szuflady były puste, lecz im niżej, tym więcej zawierały różnych niepotrzebnych szpargałów. Całe stosy druków niesławnej pamięci „ankiety personalnej”, jakieś

formularze zaświadczeń i tym podobna makulatura. Oficerowie przeglądali to wszystko dość starannie. Każdą szufladę wyciągano z biurka, stawiano na jego blacie i przekładano papierek po papierku. Potem szuflada wracała na swoje miejsce, by ustąpić następnej.

Przy wyjmowaniu jednej z dolnych szuflad coś zabręczało. Za chwilę porucznik spomiędzy papierów wyjął związane sznurowadłem trzy żółte klucze. Jeden z nich był ułamany.

- Poznaje pan? - zapytał dyrektora.

- Mój Boże! Przecież to klucze do skarbca bankowego.

Te, które miał dyrektor Cokół. Skąd panowie wiedzieli, że tam są?

- Milicja wie wiele rzeczy - odpowiedział porucznik. -

Wie nawet więcej od pana Franciszka, prawda?

- Co ja tam wiem - stary woźny wzruszył ramionami. -

No, ale że panowie znaleźli te klucze... Myślałem...

- W szafie nic nie było - dodał porucznik.

- Panowie wiedzą? - w głosie starego woźnego brzmiała nuta pewnego podziwu i szacunku.

- Wiemy dużo i sądzę, że lepiej byłoby, aby pan Franciszek z nami nie wojował, a zawarł zgodę. Prędzej może doszlibyśmy do celu.

- Ja tam z nikim nie wojuję i nigdzie nie idę.

- A to szkoda - kapitan zakończył tę dziwną dla dyrektora rozmowę z jego woźnym.

Oficerowie wrócili do gabinetu Helskiego.

- Panowie przyszli mnie aresztować - dyrektor ponowił pytanie sprzed paru dni.

- Tak się pan śpieszy do więzienia? - roześmiał się porucznik. - Nie ma do czego. Po dzisiejszej rewizji przynajmniej w tej chwili zatrzymanie panu nie grozi.

- Czemu?

- Te klucze - kapitan wyjął z kieszeni „złoty” komplet - świadczą za panem. Gdyby pan ich używał do otworzenia skarbca, nie zdołałby pan położyć na miejsce do szuflady biurka. Nas trzech solidnie się napracowało, zanim dotarliśmy do tego przekłętą grata. Przed wyjściem na ulicę

będziemy chyba z pół godziny czyścili nasze mundury. Ten kurz stanowi o pańskim alibi. Gdyby pan nawet dostał się do biurka, to po drodze starłby pan połowę tego pyłu.

- Nareszcie panowie uznali, że nie okradłem własnego banku - w głosie Helskiego wyczuwało się wyraźną ulgę.

- Przynajmniej nie tymi kluczami - odpowiedział kapitan. - Ale uprzedzam, że jest pan nadal jednym z podejrzanych. I to z poważniejszych podejrzanych.

- Lepsze to niż ta niepewność, czy w każdej chwili nie każecie mi iść ze sobą.

- Proszę nam jeszcze pokazać swoje klucze.

- Służę - Helski podał kapitanowi srebrzysty klucz do skarbca.

Oficer milicji długo go oglądał. Porównywał dokładnie z dwoma, które trzymał w drugim ręku, po czym zwrócił irydowy klucz dyrektorowi, a pozostałe dwa schował do kieszeni.

- Przyślemy panom protokół o odnalezieniu w biurku, w składzie starych mebli, kluczy do skarbca. Klucze weźmiemy ze sobą. Do widzenia, dyrektorze.

ROZDZIAŁ VII

- Potuliccy? Ci z ulicy Dygasińskiego? - dzielnicowy nie sięgnął nawet do skorowidza. - Znam doskonale. Przeszło

siedem lat jestem w tym rejonie Żoliborza. Administratorów i właściciele domów zna się doskonale. Mało to spraw codziennie z nimi załatwiam? W zimie głównie sprzątanie śniegu i usuwanie lodu z wylotu kanałów. W lecie zamiatanie ulic i sprzątanie chodników. Oni również przychodzą do mnie z różnymi sprawami. Tym bardziej Potulickich muszę znać.

- Dlaczego?

- Marek Potulicki bardzo przyzwoity człowiek. Cichy, pracowity, solidny. Jego żona też. Chociaż dawniej była wielką panią, teraz nie wstydzi się żadnej pracy. Jest kierowniczką baru mlecznego, a jak potrzeba, potrafi wziąć wiadro i chodnik przed domem szorować. Za to stara to prawdziwa cholera.

- Niemożliwe!

- Przecież ona synowej żyć nie daje. Synowi stale dziurę w brzuchu wierci, że niedorajda i safandula, że nie zarabia tyle pieniędzy, ile ona by chciała. Ze wszystkimi sąsiadami na całej ulicy Dygasińskiego toczy wojnę. Co drugi dzień do mnie przybiega. „Niech pan - powiada - panie dzielnicowy, zamknij tę babę". Albo każe mi co innego robić. Teraz ma bzika na punkcie róż. Przed domem rosły dawniej sztamowe róże, obecnie zdziczały i rozrosły się w wielkie krzaki i na chodnik wylazły. Starsza pani Potu-

licka przychodzi więc do mnie i wydaje polecenie, żebym interweniował w Miejskiej Radzie Narodowej o przysłanie ogrodnika i podcięcie tych róż. Panie kapitanie, co my z nią mamy! Gdyby takich więcej mieszkało w moim rewirze, to chyba z milicji bym wystąpił.

- A najmłodsze pokolenie Potulickich? - kapitana Piotra Jarkowskiego przede wszystkim, interesował Czesław Potulicki.

- Jest ich troje. Najstarszy Czesław. Leń i początkujący chuligan. Prędzej czy później skończy w kryminale. Tylko by z kolegami po knajpach i kawiarniach się włóczył. Szkoły nie skończył. Pracować nie chce. Co mu robotę znajdą, po paru tygodniach rzuca, że za mało płacą.

- A skąd w ogóle on ma pieniądze?

- Jak to skąd? Od starej! Ta, chociaż narzeka i nazywa go bandytą, przecież każdy grosz pakuje we wnuka. To ona tak go rozpuściła. Odkąd się tylko urodził, babka go wychowywała. „Kochanemu Czesiowi” wszystko było wolno. Ojciec i matka słowa nie śmieli powiedzieć. Tym bardziej, że wtedy pani Potulicka miała jeszcze grubszy grosz.

- Tak pan myśli? Jakoś tego nie widać. Willa zrujnowana, w pokojach nieprawdopodobna graciarnia i zaniedbanie.

- Gdy pan Potulicki zginął, żona nie została bez pieniędzy. Miała piękną biżuterię i chociaż nie liczyłem tych

złotych i papierowych dolarów, to wiem, że niejednemu do końca życia by starczyło. Całą okupację żyli, jak gdy-

by nie było wojny. Kucharka i pokojówka. W czasie powstania, nie powiem, zmarniało u nich dużo, ale i tak mieli szczęście. Willa została tylko częściowo uszkodzona, a złote ruble i dolary też ocalały. Pani Potulicka niczego jednak nie dała reperować. „Jak nasi wrócą z Londynu i ten cały komunizm się zawali, to dostaniemy większe odszkodowanie, jeżeli willa będzie w takim samym stanie jak po wojnie.” Nawet do mnie to mówiła. Kiedy raz zacząłem się śmiać, tak się starucha rozgniewała, że mało co nie wzięła się do bicia. Nie pozwalała pracować ani synowi, ani córce. „Nie będziecie - mówiła - wspierać komunistów.” W domu pokojówki wprawdzie już nie było, ale kucharka została.

- Aż do tej pory?

- No nie... W końcu zabrakło pieniędzy. Kochany Czesławek coraz lepiej dobierał się do skarbonki babki. Samochód mu kupiła. Jeździł rok, potem sprzedał, a pieniądze puścił w parę miesięcy. Potem kucharkę oddalono, a państwo Potuliccy poszli do pracy. Stara ma tam jeszcze coś niecoś z biżuterii. Kilka dni temu pytała mnie: „Słuchajcie, panie dzielnicowy, nie wiecie, kto by chciał kupić pierścionek z brylantem?”

- Ciekawe. Ostatnio Czesław ma sporo pieniędzy.

- Wiem o tym. Znowu zaczynają się zabawy i powroty taksówką w nocy. Dwa dni temu skarżyli się sąsiedzi z Dygasińskiego, że Czesio wszczął głośną awanturę z kierowcą i wszystkich pobudził. Poza tym stara Potulicka ma bogatych krewnych w Anglii i w Szwajcarii. Często dostaje paczki, czasem przekazy na PKO. Panie kapitanie, ona jeszcze obydwóch nas by kupiła i reszty wydała. Pan wie, że złożyła wniosek na paszport zagraniczny?

- Nic o tym nie słyszałem.

- Tak jest. Sam oglądałem papiery. Dostała zaproszenie od siostry ze Szwajcarii na trzy lata. Pewnie już stamtąd nie wróci. Pytali mnie o opinię.

- Co pan odpowiedział?

- Dałem taką opinię, aby jak najszybciej otrzymała ten paszport i wyjechała. Pół Żoliborza razem ze mną odpocznie, a przede wszystkim jej syn i jego żona. Po wyjeździe starej od razu poprawi się ich sytuacja materialna.

- Dlaczego? Przecież mówiliście, że ona ma pieniądze.

- Ma, ale twardo trzyma w garści. Im nie popuści. Teraz ani grosza nie daje na dom, bo pogniewała się z synową i od pięciu lat z nią nie rozmawia. Tylko Czesio umie od babki wszystko wyciągnąć. Sądzę jednak, że jeżeli stara ma jakieś ruble czy dolary, to przed wyjazdem do

Szwajcarii zostawi je synowi. Zła ona chyba tak całkiem nie jest, tylko kłótniwa i chciałaby rządzić.

- To się często zdarza starszym osobom.

- Takiej teściowej najgorszemu wrogowi bym nie życzył.

Parę dni temu był u mnie pan Marek Potulicki i pytał, co trzeba robić w sprawie remontu willi.

- Będą remontować?

- Potulicki mówił, że po wyjeździe matki przebuduje całą willę. Dawniej było tam siedem pokoi z kuchnią i garażem oraz pomieszczeniami gospodarskimi w suterenie.

Cztery pokoje od ogrodu są całkowicie zrujnowane przez bombę. Potulicki chciałby tak przebudować, aby na każdym piętrze było jedno mieszkanie, a na strychu dodatkowo kawalerka z kuchenką i łazienką. Ludziska na Żoliborzu przebudowują swoje strychy. Jedni robią to legalnie, inni po cichu.

- Dla siebie?

- Nie. Sprzedają hipotecznie pewną część domu osobie trzeciej z jednoczesnym podziałem użytkowania w ten sposób, że nowonabywcy dostaje się właśnie strych. Mieszkanie kosztuje od 120 do 150 tysięcy złotych. Amatorów jest więcej niż strychów do przeróbki.

- Potulicki chce to samo zrobić?

- On ma lepszą sytuację. Będzie miał dwa mieszkania

na sprzedaż. Przeprowadzi podział domku na trzy części.

Jedną ma wziąć jego bratowa, której syn kończy Politechnikę i chce się żenić. Właśnie bratowa, jak mówił Potulicki, obiecała sfinansować całą tę imprezę.

- Pani Rzeszewska?

86

87

- Nazwiska nie wymieniał. Wspominał tylko, że to siostra żony i że nie będzie miała trudności z dostaniem pożyczki, bo pracuje w banku i ma różne znajomości.
- Ta sama - mruknął kapitan.
- Poradziłem Potulickiemu, aby poszedł do architekta dzielnicowego i załatwił legalnie z hipoteką i planami, bo inaczej inspekcja budowlana nie tylko przerwie roboty i każe rozebrać to, co już zrobione, ale jeszcze taką karę łupnie, że chłop się nie pozbiera.
- Dużo taka przeróbka by kosztowała?
- Potulicki napomykał, że znajomy inżynier obliczał koszty na około 250 tysięcy. Ale jak przyjdzie do budowy, na pewno będzie kosztować znacznie więcej. Z tego sto tysięcy ma dać bank jako pożyczkę.
- Ta pani Rzeszewska jest bogatą kobietą, jeżeli może wyłożyć na stół przeszło sto pięćdziesiąt tysięcy.
- Widocznie bogata. Nie znam jej. Podobno bratowa Potulickiego odbuduje cały dom z tym, że dla syna weźmie mieszkanie na piętrze, dwa pokoje z kuchnią i łazienką. W zamian za to Potuliccy będą mogli zatrzymać dla siebie lub sprzedać mieszkanie na strychu. Dla nich to doskonały interes. Zamiast mieszkać w ruinie, uzyskują trzy pokoje z kuchnią i łazienką oraz garaż, bo i ten musi być

odbudowany. Z garażu będą mieli 500 złotych miesięcznie, bo tutaj tak płacą.

- Zagadaliśmy się, panie dzielnicowy, o sprawach starszego Potulickiego, a ja właściwie przyszedłem dowiedzieć się czegoś o Czesławie.

- Jak kapitanowi mówiłem, nic dobrego. Będziemy mieli z nim jeszcze niejednego kłopot. Gdy się upije, zaraz gotów rozróbę wywołać. Już nieraz nocował w areszcie milicyjnym zamiast w domu. Sam nie wiem, jak mu się to wszystko upiekało do tej pory? Chociażby z tymi samochodami. Ale prędzej czy później noga mu się powinie.

- Co za samochody?

- Czesław miał przez rok samochód. Babka mu zafundowała. Później sprzedał. Ale już trzy razy złapano go w cudzym wozie. Raz zabrał warszawę znanemu dziennikarzowi ze „Szpilek”. Jeździł dwa dni, a potem rzucił gdzieś na Wybrzeżu Kościuszkowskim. Kiedy indziej był to wartburg profesora uniwersytetu. Ostatnio złapano go przed Grand Hotelem, gdy otwierał mercedesa jakiegoś cudzoziemca. I zawsze się wykręcił, że nie ukradł wozu, tylko go sobie „wypożyczył” na przejażdżkę. Ani razu prokurator nie zrobił sprawy. Milicja męczyła się, żeby łobuza złapać i wóz odstawić właścicielowi, wszystkie radiowoz-y patrolowały po mieście przez dwa dni, a potem dostali-

śmy zawiadomienie z prokuratury, że dochodzenie umarza się „wobec małej szkodliwości czynu”. Tak to jest. Niedługo lepiej będzie jeździć cudzymi wozami niż tramwajem lub autobusem! - stary milicjant był wyraźnie rozżalony i kapitan musiał mu przyznać wiele racji.

- Jednego nie rozumiem. Nie słyszałem nigdy, aby ktoś mógł otworzyć zamkniętego mercedesa. Ten samochód słynie ze swoich zamków. Fabryka reklamuje swoje wozy jako absolutnie bezpieczne od kradzieży. Chyba szybę wybił?

- Nie wiem. Pamiętam jednak z protokołu - bo Śródmieście, które prowadziło dochodzenie, przesłało jego odpis do naszej dzielnicy, że nie było tam mowy o szybie. Potulicki zdołał uruchomić mercedesa, lecz miał pecha, bo gdy skręcał w Hożą, dozorca znajdującego się tam parkingu wszczął alarm widząc obcego przy kierownicy znanego mu dobrze samochodu. Kruczą przejeżdżał przypadkiem radiowóz milicyjny i po krótkiej pogoni nakryto Czesława w okolicach Nowego Świata.

- To ciekawe. Może ten cudzoziemiec zapomniał zamknąć wóz?

- Może. Ostatnio Czesław jakoś się uspokoił, chociaż słyszałem, jak rozpowiada dokoła, że niedługo będzie miał pieniędzy jak lodu. Przechwalał się, że kupi sobie wtedy luksusowy samochód.

Kapitan podziękował dzielnicowemu za obszerne informacje, pożegnał się z nim i wrócił do Pałacu Mostowskich. Tutaj na biurku znalazł dwie notatki. Jedną z nich był raport wywiadowcy, że Tadeusz Ligman kupił w dniu wczorajszym w sklepie przy ulicy Kruczej skuter osę, płacąc

gotówką 17 tysięcy złotych. Zapłaty dokonano w nowych banknotach pięćsetzłotowych. Raport kończył się stwierdzeniem, że Ligman odjechał w niewiadomym kierunku kupionym pojazdem, gdyż wywiadowca nie miał możliwości dalszego śledzenia.

Druga notatka pochodziła z Powszechnego Banku Rzemiosła i była jeszcze bardziej sensacyjna, chociaż dotyczyła tego samego człowieka - Tadeusza Ligmana. Naczelny dyrektor banku zawiadamiał MO, że zgłosił się do niego urzędnik tegoż banku, właśnie Ligman, i wręczył mu paczkę banknotów 50 000 złotych rzekomo znalezionych w szufladzie swojego stołu. Pieniądze były zupełnie nowe, banderola wskazywała, że paczkował je Narodowy Bank Polski - Oddział III Miejski. Nie ulegało wątpliwości, że pieniądze te pochodzą z okradzionego skarbcu, gdyż właśnie w III Oddziale Miejskim NBP - Powszechny Bank Rzemiosła miał swój rachunek żyrowy i stamtąd zawsze podnoszono gotówkę dla uzupełnienia rezerwy bankowej. Zresztą data paczkowania sprzed siedmiu miesięcy stanowiła dowód, że tych banknotów od dawna nikt nie ruszał. Mogły to być jedynie pieniądze, które całymi miesiącami leżały nieużywane na górnej półce w skarbcu. Prócz tego oficjalnego meldunku krótka notatka zawi-

damała, że „ob. Władysław Górecki prosi o jak najszybsze połączenie się z nim kapitana Piotra Jarkowskiego.”

Jarkowski natychmiast zatelefonował do majora.

- Dostaliście oficjalny meldunek z banku? - zapytał

Górecki. - Głupia sprawa. Mam wrażenie, że chłopaka chcą wrobić. Nie przyjeżdżajcie jeszcze dzisiaj do banku.

Po pracy wpadnę do was i pogadamy o tym spokojnie i szczegółowo. Teraz muszę kończyć.

Kapitan z niecierpliwością oczekiwał przybycia majora.

Tymczasem zrobił notatki z rozmowy z dzielnicowym. Wiele rzeczy wyglądało bardzo interesująco. I pieniądze pani Rzeszewskiej, którą stać było na zafundowanie synowi mieszkania za kwotę prawie 200 000 złotych, i przechwałki młodego Potulickiego, że będzie miał pieniędzy jak lodu, oraz jego opowiadania o kupnie luksusowego wozu. Z dru-

giej strony jego kontakty z Ligmanem, oddanie temu ostatniemu w przeddzień kradzieży tajemniczej paczki, późniejsza libacja połączona z podróżą po warszawskich barach i kupno skutera przez Ligmana - wszystko to wiązało się w logiczną całość: wspólnie okradli skarbiec. Teraz znowu te pięćdziesiąt tysięcy...

Kilka minut po trzeciej do pokoju zajmowanego przez kapitana wszedł major Górecki. Po przywitaniu się z Jarzkowskim „urzędnik banku” od razu przystąpił do sprawy:

- Bardzo zależało mi na tym, aby z wami porozmawiać przed waszym pójściem do banku. Mam wrażenie, że chciano Ligmana wrobić. Na szczęście byłem prawie świadkiem całego wydarzenia, bo mnie pierwszemu Ligman o tym powiedział.

- Jak to było, majorze?

- Mówiłem wam, że do banku przywieźli nowe biurka.

Ich rozprowadzanie w biurze przeciągnęło się aż do dzisiaj.

Były tam jakieś spory, kto ma te biurka dostać, gdyż nie dla wszystkich starczało. Jedni je chcieli, drudzy przyzwyczaili się do starych. Zanosilo się na pstrokaciznę, że niektórzy będą siedzieli przy nowych, inni w tych samych pomieszczeniach przy starych stołach. Mało do kłótni nie doszło.

Wreszcie dzisiaj Helski rozstrzygnął. Nowe biurka do-

stała sala operacyjna i wydział księgowości. Reszta poczeka parę miesięcy na następną partię mebli. Od rana więc zaczęła się przeprowadzka. Na sali operacyjnej dyskretnie bez budzenia sensacji i bez zatrzymywania toku pracy banku. U nas w księgowości poszło inaczej. Pracownicy wypakowali na podłogę zawartości szuflad starych stołów. Potem stoły wyniesiono na podwórze, a przyniesiono nowe biurka. Przy okazji odbyło się generalne czyszczenie szuflad i usuwanie niepotrzebnych szpargałów, gromadzonych nieraz od lat. Ja, jako „nowy”, siedzący przy zapasowym stoliku z jedną niewielką szufladą, nie miałem nic do roboty, inni natomiast przebierali w swoim śmietniku aż miło.

- W moim biurku również niejedno znalazłoby się do wyrzucenia.

- Zawsze tak bywa. Coś, co uważamy za niezbędne, chowamy do szuflady, a potem okazuje się, że to niepotrzebne. Stąd takie stosy papierów w każdym biurku. Czy to w Komendzie Milicji, czy w banku... W pewnym momencie Ligman podchodzi do mnie z paczką w ręku. Jest blady jak trup. „Niech pan patrzy - powiada - co znalazłem u siebie w szufladzie.” Rozwija papier i pokazuje mi paczkę banknotów po pięćset złotych. Nowiutkie pieniądze w różowej banderoli. A ręce chłopakowi się trzęsły, że mało tej forsy nie upuścił. Poradziłem mu, aby powiedział o tym kierownikowi wydziału. Potem obydwaj poszli do prezesa, który zawiadomił milicję.

Po dłuższym milczeniu kapitan powiedział:

- Są dwie możliwości. Albo Ligman ukradł pieniądze i zapomniał o jednej paczce, a przy porządkowaniu biurka przestraszył się, że ktoś zauważył banknoty i wobec tego wolał je zgłosić jako podrzucone. Albo druga hipoteza: ktoś podłożył pieniądze chłopakowi, aby na niego rzucić podejrzenie.

- Chyba to drugie bardziej prawdopodobne. Ligman był bardzo zdenerwowany.

- To o niczym nie świadczy. Tak samo mógł się zdenerwować podejrzewając, że pan już przedtem widział te pie-

niądze. Samo zapomnienie 50 000 złotych w szufladzie stołu musiało nim dostatecznie wstrząsnąć, aby ręce mu drżały i twarz zbladła.

- Oczywiście mogło tak być, jak pan mówi, ale ja jestem przekonany o niewinności Ligmana.

- W takim razie źle pan zrobił odsyłając go do kierownika.

- Dlaczego?

- Trzeba było mu poradzić, aby wziął te pieniądze i albo schował w domu, albo nadal trzymał je w biurku, jak gdyby niczego nie zauważył. Ciekawy byłby przebieg dalszych wypadków. Być może prawdziwy złodziej za denuncjowałby Ligmana i zwrócił nam uwagę na pieniądze w jego biurku. To mógł być ważny ślad.

- Przyznam się - rzekł major - że taka kombinacja nie przyszła mi do głowy. Nie miałem zresztą wtedy czasu na rozważenie wszystkich hipotez. Jeżeli nawet tak bym rozumował, jak kapitan w tej chwili, to obawiałbym się zostawić te pieniądze w szufladzie bez żadnego zabezpieczenia. Przecież to są pieniądze banku.

Mimo woli kapitan uśmiechnął się:

- Zapomniałem, że jest pan, majorze, specem od księgowości i myśli przede wszystkim o zabezpieczeniu banknotów... Ale można byłoby to inaczej zainscenizować. Na przykład podłożyć w to miejsce odpowiednio przycięty pa-

pier z jedną tylko pięćsetką na wierzchu. Czy o tym odkry-
ciu wiedzą w banku?

- Naturalnie. Od pierwszej chwili. Przecież, gdy Ligman
podszedł do mnie, nie byliśmy sami w pokoju.

- Kto był poza wami?

- Najbliżej stała Rzeszewska. Prócz niej był Jaworek.

Kiecki i Napiórkowski właśnie poszli po biurka na podwórze.

- A jak się zachowali ci dwoje?

- Jaworek oniemiał ze zdziwienia. Rzeszewska przyjęła
to odkrycie dużo spokojniej. Nawet powiedziała, z pewną
pretensją w głosie, że jej nikt nic nie chce podrzucić,
a szkoda, bo pieniądze bardzo by jej się przydały, wcale by
nie wyrywała się z przyznaniem do ich znalezienia.

- Ciekawe. Muszę się bliżej nią zainteresować.

- W dziesięć minut później w całym banku huczało. Do
końca dnia nie było mowy o żadnej robocie. Klienci po 15
minut czekali na swoje czeki. Kierownik sali operacyjnej,
dyrektor Lisak, aż musiał interweniować. Dopiero wtedy
udało się przywrócić jaki taki ład. Ligmana oglądali wszy-
scy jak bohatera.

Nagle kapitan zerwał się z biurka, jak gdyby go ktoś
szpilką ukłuł.

- Czy major pamięta, jaką serię miały te banknoty?

- Nie. Ale wiem, że są zabezpieczone jako dowód rze-

czowy do przyścia milicji.

- Gdzie? w skarbcu?

- Nie. W gabinecie prezesa jest mała kasa ogniotrwała,
wmurowana w ścianę. Klucz ma tylko Marian Chudziński.

Tam zamknął pieniądze.

- To dobrze. To bardzo dobrze. Muszę natychmiastjechać na Kruczą.

- Po co? - zdziwił się major.

- Do „Motozbytu”. Ligman kupił tam wczoraj skuteroseę. Płacił nowymi banknotami, pięćsetkami. Może mająjeszcze te pieniądze? Sprawdzę serię.

- Nie rozumiem.

- To proste. Pieniądze w rezerwie bankowej leżałycały-mi miesiącami. Prawdopodobnie z Narodowego BankuPolskiego podnoszono większe sumy, może nawet od razudziesięć milionów, może mniej. W każdym razie znajdowało się wiele paczek pięćsetek z tej samej serii o kolejnejnumeracji. Tymczasem inne banknoty z tych serii krążącwśród ludzi brudzą się i zużywają, a potem podlegająwymianie na inne, późniejsze serie. Jeżeli pięćsetki, którymiLigman płacił za skuter są nowe i należą do tej samejserii co banknoty rzekomo przez niego znalezione, będzie to dowodem, że również pochodzą ze skarbcza.

- Niezła myśl. Wprawdzie to nie ostateczny dowód, alew każdym razie bardzo poważna poszlaka. Powiedziałbymnawet decydująca.

Kapitan już nie słuchał. Prawie biegiem wypadł z PałacuMostowskich i wskoczywszy do pierwszej stojącej przed gma-

chem warszawy kazał jak najszybciej jechać do „Motozbytu”.

Szczyście mu sprzyjało. Mimo dużego ruchu kasjerka pamiętała, że tylko jeden klient płacił nowymi pięćsetkami. Ponieważ z wczorajszego utargu zostawiła w kasie sklepowej pewną kwotę na różne wydatki w dniu następnym, wybrała właśnie te nowe banknoty, resztę zgodnie z przepisami przekazała do banku. Dzisiaj również żał jej było wydawać nowe, czyste, przyjemnie szeleszczące pieniądze. Miała ich jeszcze kilkanaście sztuk. Wszystkie były tej samej serii „AN” i miały kolejne numery od 4261754 do 4261773. Resztą nowych pięćsetek kasjerka płaciła za dostawy towaru do sklepu.

Teraz trzeba było czekać do dnia następnego, do sprawdzenia banknotów znajdujących się w kasie prezesa banku.

Gdy nazajutrz kapitan wszedł rano do banku, woźny

Franciszek powitał go z miną ponurą jak noc.

- Straszne rzeczy, panie kapitanie - powiedział odbie-

rając od niego płaszcz przemoczony deszczem. - Co za

czasy. Milicja wcale nie wychodzi z naszego banku. Przed-

tem kradzież, teraz ta historia z panem Ligmanem.

- Nic strasznego - odezwał się stojący obok młodszy woźny

Nawrocki. - Po prostu ktoś chciał faceta zrobić w kradzież.

- Tak pan myśli - zapytał kapitan.

- Naturalnie. Gdyby pan Ligman wziął pieniądze ze

skarbcza, nie trzymałby ich do tej pory w szufladzie biur-

ka, poza tym nie zapomina się o pięćdziesięciu tysiącach złotych! Ktoś mu tę forszę podrzucił.

- Ale dlaczego?!

- Żeby skierować podejrzenie na Ligmana, a samemu uciec. Idę o zakład, że Ligman niewinny.

- Zobaczymy. Jeszcze nic nie wiem - kapitan uchylił się od dalszej dyskusji. - Czy pan prezes jest obecny?

- Tak jest. Czeka na pana. Prosił, aby kapitan przyszedł prosto do niego.

Naczelnny dyrektor banku Marian Chudziński przywitał kapitana z równie zatroskaną twarzą jak woźny Franciszek.

- Już nie wiem, co się dzieje. Z kasy ginie 10 milionów, później urzędnicy znajdują pieniądze w swoich szufladach.

- Wszystko wyjaśnimy, panie prezesie. Tylko nie od razu. Przede wszystkim chciałbym obejrzeć te pieniądze.

Chudziński podszedł do ściany za biurkiem. Wisiał tu wzorzysty kilim. Prezes odchylił dywan. Na tle białej ściany widać było niewielki brązowy kwadrat. Specjalnym kluczykiem Chudziński otworzył stalową skrytkę i wyjął z niej paczkę banknotów.

Jeden rzut oka i kapitan przekonał się, że trzyma w ręku pięćdziesiąt tysięcy złotych. Ogółem sto pięćsetek od numeru 577801 do 5779000. Seria „AH”.

- To nie te - mruknął zawiedzionym głosem.

- Ależ zapewniam kapitana, że są to te same pięćsetki,
które mi wczoraj przyniósł główny księgowy pan Bilski,
a które Ligman znalazł w swoim biurku. Sądząc po dacie
paczkowania są to takie same pieniądze, jakie mieliśmy
w skarbcu w rezerwie bankowej.

- Nie mam żadnych co do tego wątpliwości. Mówiąc „inne”, myślałem o prowadzonym przeze mnie wczoraj małym śledztwie. Pieniądze te zatrzymam na razie jako dowód rzeczowy. Później będą one bankowi zwrócone. Mam nadzieję, że razem z resztą brakującej sumy.

- Proszę jedynie o odpowiednie pokwitowanie. Cieszę mnie słowa pana. Wnioskuje z nich, że milicja jest na właściwym tropie.

- Może jeszcze nie na tropie, raczej na paru różnych tropach. Ale jeden z nich z pewnością doprowadzi nas do celu. Teraz chciałbym przesłuchać Ligmana. Jak to urządzić, aby nie wywoływać następnej, niepotrzebnej sensacji?

- Wezwę go po prostu do gabinetu i później zostawię panów samych - prezes wydał telefonistce odpowiednią dyspozycję i w parę minut później Tadeusz Ligman znalazł się sam na sam z oficerem milicji. Ten wskazał mu miejsce za biurkiem, naprzeciwko siebie i milcząc obserwował młodego człowieka.

Ligman robił miłe wrażenie. Był średniego wzrostu, schludnie, a nawet dość elegancko ubrany. Popielaty garnitur, biała koszula, starannie zawiązany krawat. Na pociągłej twarzy nie malowały się żadne uczucia. Szare oczy patrzyły prosto w twarz kapitana. Jedynie zaciśnięte kurczowo dłonie leżących na biurku rąk świadczyły o pew-

nym zdenerwowaniu młodego człowieka.

- Co pan ma do powiedzenia? - zapytał wreszcie Jarowski.

- Co pan kapitan chciałby usłyszeć?

- Wszystko.

- Mam zacząć od życiorysu?

- Na to przyjdzie czas. Teraz proszę o streszczenie wypadków wczorajszego dnia.

- Wczoraj otrzymaliśmy nowe biurka - zaczął Ligman. -

Przedtem wyjąłem ze starego wszystkie papiery i położyłem w naszym pokoju pod ścianą. To samo zrobił kolega Jaworek. Wtedy wynieśliśmy najpierw jego stół, a wracając przynieśliśmy z podwórza jedno biurko. Obróciliśmy tak jeszcze raz. Następnie zacząłem przeglądać leżące na podłodze papiery. Niepotrzebne rzucałem do kosza, resztę wkładałem do szuflad nowego biurka. W pewnym momencie zauważyłem paczkę owiniętą w szary papier. W takim papierze matka zawsze daje mi do banku drugie śniadanie. Myślałem, że jest to jakieś stare śniadanie, którego zapomniałem lub nie chciałem zjeść. Miałem nawet zamiar nie rozwijać paczki i wrzucić do kosza. Ale ciekawość przemo-
gła. Zobaczyłem, że trzymam w ręku plik pięćsetek.

W pierwszej chwili zupełnie zgłupiałem. Gdy nieco oprzytomniałem podszedłem do pana Góreckiego. To najstarszy

wiekim pracownik naszego wydziału. Zdążyłem zauważyć, że to mądry i doświadczony człowiek. Pokazałem mu pieniądze i zapytałem, co dalej mam robić. Pan Górecki poradził, aby natychmiast iść do naszego kierownika, pana Bilskiego. Razem z nim poszliśmy zaraz do pana prezesa, któremu pan Bilski w mojej obecności oddał te banknoty.

- To nie były pańskie pieniądze?

- Skądże znowu! Nie jestem taki bogaty, aby trzymać w stoliku 50 tysięcy złotych!

- A może po prostu zapomniał pan jednej paczki wyjmując pieniądze ze skarbca? Gdzie pan schował pozostałą sumę?

Młody człowiek drgnął i lekko się zaczerwienił. Szybko odpowiedział nieco drżącym głosem:

- To nieprawda. Nie brałem pieniędzy ze skarbca.

-A jednak mamy dowody, świadczące o czymś przeciwnym. Dwa dni temu kupił pan w „Motozbycie” skuter osę. Zapłacił pan 17 tysięcy złotych. Był pan na tyle nieostrożny, panie Ligman, że płacił pan również nowymi pięćsetkami. Takimi samymi jak w tej paczce - tu kapitan wyjął z kieszeni plik pięćsetek. - Co gorsza - dodał - te banknoty mają tę samą serię i numerację.

- Pan się myli, kapitanie - głos młodego człowieka

brzmiał teraz zupełnie spokojnie. - Te banknoty mają se-

rię „AH”, zaś pieniądze, którymi płaciłem za skuter, pochodzą z dużo późniejszej serii „AN”. Między ukazaniem się tych obydwu serii, a może to potwierdzić Narodowy Bank Polski, minęło co najmniej pół roku. Dobrze pamiętam, że moje pieniądze miały serię „AN”.

- Ile pan zarabia w banku?
- Tysiąc Osiemset złotych plus premia, która zwykle wynosi około półtora tysiąca na kwartał. Do tego dochodzi bilansówka i fundusz zakładowy równające się mniej więcej trzynastej pensji.
- Z tego pan się utrzymuje, ubiera i jeszcze zaoszczędził pan na skuter? Winszuję. Powinni pana zrobić jeżeli nie ministrem finansów, to przynajmniej dyrektorem banku. Może poda nam pan swój sposób gospodarowania pieniędzmi?
- Mieszkam u rodziców. Na utrzymanie i mieszkanie daję matce tysiąc złotych. Nie piję, nie palę. Staram się nie wydawać na głupstwa i premie oraz trzynastą pensję mogłem odłożyć. Pokażę panu książeczkę oszczędności z regularnie wpłacanymi kwotami. W ciągu dwóch lat zebrałem dziesięć tysięcy złotych.
- Hm - mruknął kapitan. - Osa kosztuje prawie dwa razy tyle.
- Zapłaciłem za nią 17 tysięcy.
- Więc skąd reszta?
- Pięć tysięcy pożyczyłem od przyjaciela, a trochę zarobiłem. Trafiła mi się mała transakcja. Właściwie pośrednictwo.

- Odkąd to pan Czesław Potulicki jest tak bogaty, aby mógł pożyczyć aż pięć tysięcy złotych? Niedawno brał od Nawrockiego dwadzieścia złotych.

Młody człowiek ze zdumieniem i podziwem spojrzął na kapitana. .

- Widzę, że milicja naprawdę wszystko wie. Rzeczywiście pieniądze pożyczyłem od Cześka. Zarobiłem również dzięki niemu. Po prostu dał mi do sprzedania pierścionek z brylantem. Sprzedałem go za 37 tysięcy. Dwa tysiące wyniósł mój zarobek, pięć pożyczył mi Potulicki, trzydzieści tysięcy jemu oddałem do ręki. Te pięć mam mu spłacić do końca roku. Ciężko będzie, ale od dawna chciałem mieć skuter. Poza tym mam obiecaną podwyżkę w banku od 22 lipca.

- Dobrze - powiedział kapitan. - Sprawdzimy, czy mówi pan prawdę. Jeszcze jedno, komu pan sprzedał pierścionek?

- Panie kapitanie, nie ma w Polsce zakazu posiadania biżuterii. Każdy może ją kupić i sprzedać.
- Tak. Ma pan rację. Chcemy jednak sprawdzić, skąd pochodzą banknoty, którymi pan, płacił w „Motozbycie”.
- Te pieniądze pochodzą z kasy naszego banku.
- Z banku?
- Prawie wszyscy nasi urzędnicy wymieniają u kasjera swoje pieniądze na nowe banknoty. Taki zwyczaj panuje w bankach. Gdyby kapitan zrobił rewizję wśród bankowców, w ich kieszeniach znalazłby pan wyłącznie nowe pieniądze. Ja również po podniesieniu swoich oszczędności i po otrzymaniu od Potulickiego pozostałych 7 tysięcy, wymieniłem je na nowe pięćsetki. Dzięki temu numeracja banknotów szła w kolejności. Zapamiętałem też serię: „AN”.
- Skąd młody Potulicki miał ten pierścionek?
- Babka dała mu do sprzedaży. Stara pani Potulicka wyjeżdża za granicę i potrzebuje pieniędzy, aby się odpowiednio ubrać przed podróżą. Jedzie na długo, może nawet na zawsze. Zresztą Czesław już nieraz sprzedawał biżuterię babki. Ponieważ bał się, że ktoś może zakwestionować pochodzenie brylantu lub po prostu oszukać go, prosił mnie o zajęcie się tą sprawą. Przed otrzymaniem zajęcia w banku pracowałem kilka miesięcy u „Jubilera” i mam tam tro-

chę znajomych. Dlatego tak szybko poszło mi z tym klejnotem i uzyskałem dobrą cenę. Sam pan wie, kapitanie, jakie cuda zdarzają się, gdy ktoś chce szybko sprzedać jakąś wartościową rzecz. Mimo rzetelnej nawet wyceny podstawieni kanciarze zbijają lub zwodzą sprzedającego i w końcu tak go skołują, że przedmiot wartości stu tysięcy potrafią kupić za połowę sumy. Ze mną, jako z człowiekiem z „branży”, takich figli nie próbowali. Twierdzą co prawda, że gdyby Czesiek nie ponaglał, udałoby się wyciągnąć ze trzy, cztery tysiące więcej, ale on zgodził się na tę cenę. Wiedział również o mojej prowizji. Wcale nie była wygórowana.

- Dwa dni przed kradzieżą Potulicki odwiedził pana w banku?
- Przyniósł mi wtedy ten pierścionek, bo rozmawialiśmy już przedtem o jego sprzedaży.

- Wróćmy teraz do sprawy banknotów. Pan mówi, że tych pieniędzy przedtem w pańskim biurku nie było?

W pracy nie stykam

się z gotówką. Nie miałem takiej sumy,

Nigdy nie miałem takiej sumy.

nie mogłem więc

schować jej do szuflady, nie mówiąc o tym, że mógłbym zapomnieć o pieniądzach.

- Szuflada była zamknięta?

- Tak. Zawsze zamykamy szuflady stołów. Jest specjalne zarządzenie prezesa nakazujące każdemu pracownikowi zamknięcie wszystkich swoich szaf i biurk przed opuszczeniem gmachu banku. Ale to żaden problem. W tych stołach są najzwyklejsze, prymitywne zamki. Do większości z nich pasuje jeden i ten sam klucz.

- Jest pan tego pewien?

- Tak jest! Na przykład mój klucz otwiera biurko pani Rzeszewskiej. Jeżeli ona zapomni swoich kluczyków, co jej się często zdarza, lub gdy zachoruje, otwieramy jej szuflady moim kluczem.

- A odwrotnie?

- Odwrotnie tak samo. Prócz kluczy pani Rzeszewskiej moje biurko można otworzyć jeszcze kluczem kolegi Ja-

worka. Do tej pory podobne klucze miało kilkudziesięciu

kolegów z innych wydziałów.

- Kogo pan podejrzewa o zrobienie tego kawału?

- Przecież pan wie, że pieniądze mógł mi podzucić jedynie złodziej.

- Dlaczego?

- Gdybym nie pamiętał numeracji banknotów, jakimi płaciłem za skuter, lub gdyby choć parę pięćsetek miało przypadkowo te same numery, byłoby to bardzo mnie obciążające. Równie dobrze wśród pieniędzy, które podejmowałem z książeczki PKO, mogły się znaleźć banknoty serii „AH”. Każda seria zawiera milion pięćsetek, czyli pół miliarda złotych. O taki zbieg okoliczności nietrudno.

Jakbym się wtedy tłumaczył i czy uwierzyłby pan moim słowom?

- Ale dlaczego ten ktoś chciał skierować podejrzenie na pana?

- To chyba jasne. Jeśli milicja podejrzewa mnie, to nie podejrzewa prawdziwego sprawcy. Przy szczęśliwym zbiegu okoliczności - oczywiście dla złodzieja - aresztowania niewinnego i zrobienia mu procesu, nawet zakończonego wyrokiem uniewinniającym, przestępca uzyskuje wiele miesięcy spokoju. Będzie miał czas dla zatarcia śladów i skorzystania ze swojego łupu. Na razie, tego się nawet dziecko

domyśli, ten, kto wziął dziesięć milionów ze skarbca, obawia się puścić w obieg jedną pięćsetkę. Nie mam racji? Kapitan zakończył przesłuchanie Ligmana. Rozmowy z resztą urzędników wydziału księgowości potwierdziły tylko to, co zeznał młody człowiek, i nie wniosły niczego istotnego do sprawy. Opuszczając gmach banku oficer milicji przyznał w duchu, że Tadeusz Ligman jest inteligentnym i bardzo sprytnym młodym człowiekiem. Jego rozumowanie było błędne. Ani razu nie dał się zaskoczyć. Na wszystkie pytania natychmiast znajdował odpowiedź. Złożone przez niego zeznania były bardzo prawdopodobne i brzmiały wiarygodnie. Czy jednak Tadeusz Ligman był niewinny? Czy może specjalnie stworzył taką sytuację, aby w oczach milicji uchodzić za ofiarę przestępcy?

Jedno było pewne. Złodziej musiał być bardzo odważny, na wszystko zdecydowany, wysoce inteligentny i sprytny. Posiadał więc te zalety, które kapitan Jarkowski zaobserwował u młodego człowieka w czasie jego przesłuchiwania.

ROZDZIAŁ VIII

- Mimo woli przestępca oddał nam poważną przysługę - stwierdził pułkownik na kolejnej odprawie oficerów MO prowadzących dochodzenie w sprawie kradzieży 10 000 000 złotych ze skarbca Powszechnego Banku Rzemiosła. - Dowiedzieliśmy się, że w skradzionej rezerwie bankowej część

pięćsetek pochodzi z serii „AH”.

- Mam pomysł - rzekł porucznik Roman Widera. - Nie.

przypuszczam, żeby złodziej puścił w obieg jakąś większą

kwotę ze skradzionych pieniędzy. Kto wie, czy jednak nie

100

wziął kilku tysięcy na „drobne wydatki”. Obawia się zrobić większy użytek z posiadanego skarbu, lecz parę pięćsetek może przecież wydać bez zwracania jakiegokolwiek uwagi. Proponuję więc jednego dnia o tej samej godzinie dokonać jednocześnie rewizji u wszystkich naszych podejrzanych. Na pewno nie znajdziemy dziesięciu milionów, bo są dobrze schowane i złodziej nie trzyma ich we własnym mieszkaniu, ale właśnie jeden czy dwa banknoty z serii „AN” mogą się u kogoś znaleźć. A to byłoby dla nas nader cenną wskazówką.

- Co o tym myślicie? - zapytał pułkownik. - Obawiam się, że taka rewizja będzie ostrzeżeniem dla złodzieja — zauważył major Władysław Górecki.

- Nie sądzę - zaproponował kapitan Piotr Jarkowski. -

Cała czternastka doskonale orientuje się, że jest podejrzewana przez milicję o udział w kradzieży. Gdybyśmy przeprowadzili rewizję u jednej lub dwóch osób, byłoby to wtedy dla nich ostrzeżeniem, że ich podejrzewamy najbardziej. Natomiast rewizja u wszystkich będzie tłumaczona w banku jako posunięcie na ślepo i raczej uspokoi złodzieja, niż go uprzedzi.

- Zgadzam się - zdecydował pułkownik. - W porozumieniu z prokuratorem wydam odpowiednie polecenie komendom poszczególnych dzielnic, aby przeprowadzono re-

wizję jutro wieczorem, a protokoły rewizji przysłali kapitanowi. Przy rewizji mają zwrócić uwagę na ogólną sytuację materialną rewidowanych i na posiadane przez nich pieniądze. Banknoty pięćsetzłotowe należy zakwestionować i razem z protokołem przekazać Jarkowskiemu. To chyba wszystko na dzisiaj? Są jeszcze jakieś pytania?

- Jeszcze jedno, panie pułkowniku - odezwał się kapitan. - Mam wrażenie, że należy zainteresować się bliżej osobą Czesława Potulickiego. Jeżeli nie stała obserwacja, to przynajmniej dwie dzielnice, Żoliborz i Śródmieście, powinny obserwować młodego człowieka. Jest im dostatecznie znany i każdy wywiadowca, a chodzi mi przede wszystkim o knajpy i nocne lokale, niech nas zawiadamia, co Potulicki robi, z kim się kontaktuje i ile wydaje pieniędzy.

-Dobrze. To się da zrobić. Dziękuję panom.

W dwa dni później kapitan znalazł na swoim biurku w Pałacu Mostowskich 14 protokołów rewizji. Do jednego z nich dołączona była szara koperta zawierająca, jak głosiła informacja, 3 banknoty pięćsetzłotowe. Przy innym znajdowała się spora paczka. Naklejona kartka informowała, że wewnątrz znajduje się 387 dolarów USA, franki szwajcarskie i 424 banknoty pięćsetzłotowe, czyli razem dwieście dwanaście tysięcy złotych.

Kapitan wraz z porucznikiem zagłębili się w przegląda-

niu protokołów, zostawiając na sam koniec te, przy

których były załączniki.

- Zygmunt Helski - wynikało z pierwszego protokołu -

mieszkanie spółdzielcze, trzy pokoje z kuchnią. 5 osób domowników. Umeblowanie przyzwoite, nienowoczesne.

Przy rewizji ujawniono kosztowności: kilka pierścionków,

trzy złote zegarki, dwie złote bransoletki, parę obrączek

z dukatowego złota. Obecny przy rewizji Helski wyjaśnił,

że jest to biżuteria jego żony, jego osobista i córki. Przy

Helskim i domownikach znaleziono ponad dwa tysiące

złotych, wszystko jednak w setkach i drobniejszych odcin-

kach. Pod protokołem widniały podpisy funkcjonariuszy

milicji prowadzących rewizję, Zygmunta Helskiego oraz

świadka - dozorca domu.

Podobne protokoły dotyczyły innych pracowników ban-

ku. Przeglądając je kapitan dowiedział się, że strażnik

Zdzisław Zaczewski hoduje złote rybki i ma w domu aż

trzy akwaria. Michał Kiecki, urzędnik wydziału księgowo-

ści, gra na skrzypcach. Jan Bilski, Antoni Gęgała, Jawo-

rek i Napiórkowski posiadają w domu telewizory. Stani-

sława Nawrockiego zastano w domu, gdy na małym war-

szacie ślusarskim reperował motocykl sąsiada, zaś Hali-

na Kudelska „domowym sposobem” przy pomocy syna od-

nawiała swoje mieszkanie, wskutek czego, jak to skrupu-

latnie zaznaczył starszy sierżant MO - „przeprowadzenie rewizji było wielce utrudnione”. U wszystkich rewidowanych bądź w ich portfelach, bądź w torebkach znajdowano pewne kwoty pieniężne mniejsze lub większe. U żadnej rodziny nie przekraczały one jednak 2 tys. złotych. Przy

rewizji ujawniono również, że niektórzy z „podejrzanych” posiadali książeczki PKO. Sumy, na jakie opiewały, nie mogły budzić podejrzeń. Wreszcie kapitan sięgnął po protokół z dołączoną do niego kopertą. Najpierw obejrzał pieniądze. Trzy pięćsetki świadczące o długim kursowaniu

wśród ludzi. Serie: „AE”, „AH” i „AL”. Właścicielką tych pieniędzy była jedna ze sprzątaczek, Irena Czaplík. Mieszkała na Pańskiej wraz z synem Józefem, studentem me-

dycyny. Protokół stwierdzał, że w mieszkaniu składającym się z pokoju i kuchni, w starym domu, znajdowało się radio, telewizor i pralka. Poza tym w mieszkaniu znaleziono książeczkę PKO z wkładem ponad 12 tysięcy złotych.

- To ciekawe - zastanawiał się porucznik Roman Widera.

- Jak myślisz, ile taka posługaczka może zarabiać? Chyba mniej niż porucznik milicji, a jednak ja nie mam ani telewizora, ani książeczki PKO z dwunastoma tysiącami złotych.

- Książeczka o niczym nie świadczy. Wpłaty są wcześniejsze niż kradzież w banku. Przypuszczam, że telewizor i pralka również nie zostały kupione w ostatnich dniach.

A co do banknotu z serii „AH”, to jest on bardzo zniszczony. Na wszelki wypadek przesłucham tę kobietę, lecz wątpię, żeby to na coś nam się przydało.

- Ty w ogóle jesteś za miękki i za łatwowierny. Dopóki nie przymkniemy paru osób, sprawa nie ruszy z miejsca.

- A ty byś wszystkich przymykał! Paliłeś się, żeby najpierw zamknąć Helskiego, potem musiałeś przyznać, że nie jest on bardziej podejrzany od innych. Potem miałeś chrapkę na Ligmana. Co mógłbyś mu dowieść? Teraz pewnie przyskrzyniłbyś tę Czaplik tylko dlatego, że ma pralkę i telewizor. Nie upłynąłby miesiąc, jakby siedziała cała czternastka plus pan porucznik Roman Widera za przekroczenie kompetencji urzędowych. Gdybyś nawet nie siedział, to wyskoczyłbyś z milicji jak z procy.

- Nie wyskoczył, nie wyskoczył. Jakoś niejedno dochodzenie prowadziło się samodzielnie i nie tylko nie wyskoczyło się, ale umiało znaleźć przestępcę. Mówię ci, że zamknięcie faceta w porę to najlepsza z metod. Niejednemu język szybko rozwiązuje.

KM

- Nie przekonasz mnie. Jeżeli miałeś do czynienia z zawodowymi złodziejami czy bandytami, to twoja metoda mogła dać dobre rezultaty. Każdy z nich zawsze ma coś na sumieniu. Ale nie tutaj. Tu na pewno trzynastu jest niewinnych, a tylko jeden złodziej. I co mogą ci powiedzieć niewinni? Na wolności czy w areszcie tak samo nie będą się orientowali, kto wziął pieniądze, jak i teraz nie orientują się, a my razem z nimi.

- Tak, ale jeżeli wśród aresztowanych znajdzie się

sprawca, kto wie, czy nie załamie się i nie zacznie śpiewać.

Wcale nie jestem taki pewien niewinności Helskiego czy Ligmana.

- Ja także nie jestem przekonany o niewinności całej czternastki. Ale co z tego? Złodziej jest, jak już mówiłem, jeden!

- Rób, jak uważasz. Przecież to ty jesteś kierownikiem dochodzenia, a nie ja. Pozwalam sobie jednak zauważyć, że nie zrobiliśmy kroku naprzód.

- Chyba tak źle nie jest. Właściwie już przeczuwam, jakie rezultaty przyniesie dalsze śledztwo. Powiem więcej. Wiem, a raczej przeczuwam, kto jest sprawcą kradzieży, chociaż w tej chwili nie mógłbym mu niczego dowieść.

- Nie bądź takim jasnowidzem. Był jeden taki przed wojną. Bodajże nazywał się Ossowiecki... No pokaż, co tam jeszcze zostało?

Kapitan rozwinął paczkę. Na stole zazieleniło się od dolarów. Prócz nich była pokaźna sumka franków szwajcarskich i gruby plik pięćsetek, nowych i zużytych banknotów. Kapitan sprawnie przebierał między nimi. Wyławiał wszystkie z serii „AH” i odkładał na bok. Ogółem ta seria miała aż pięćdziesiąt dziewięć pięćsetek, w tym 18 banknotów prawie nowych. Reszta nosiła ślady zniszczenia.

- Któż to taki bogaty?

- Maria Rzeszewska z wydziału księgowości.

- To zdaje się ta, która robiła kanapki wtedy, gdy wydział księgowości urządził sobie popijawę z racji zamknięcia bilansu? Parę razy schodziła na dół rzekomo po lód i po wodę sodową z lodówki. Miała aż nadto czasu, aby dostać się do skarbca. Chyba teraz nie będziesz się sprzeci-

wiał zamknięciu tej baby? A rewizję ponowić. Wtedy znajdziemy resztę pieniędzy.

- Pozwolisz, że najpierw przeczytam protokół, a później przesłucham Rzeszewską. Ostatecznie każdy ma prawo posiadać dolary, franki szwajcarskie i inną walutę, nie mówiąc o złotych polskich.

- Czytaj ten protokół.

- Maria Rzeszewska, urzędniczka banku, mąż zatrudniony w Centrali Handlu Zagranicznego. Troje dzieci.

Najstarszy syn inżynier, pracownik biura projektowego.

Dwie córki w wieku szkolnym. Mieszkanie spółdzielcze przy ulicy Dworkowej na Mokotowie; spółdzielnia pracowników handlu zagranicznego. Dwa pokoje z kuchnią.

Podejrzana sama ujawniła posiadaną walutę i pieniądze na pierwsze wezwanie rewidujących. Pieniądze znajdowały się w metalowej kasetce zamkniętej w szufladzie szafy.

"Podejrzana Rzeszewska oświadczyła - informował dalej protokół - że waluty zagraniczne i złote polskie stanowią własność jej męża. Umeblowanie mieszkania dostatecznie, dużo obrazów. Radio, lodówka, odkurzacz."

Po odczytaniu protokołu kapitan ponownie obejrzał banknoty serii „AH”.

- Obawiam się, że i tym razem niczego nie osiągniemy.

Te pieniądze absolutnie nie robią wrażenia umyślnie zniszczonych, te nowe również były w niejednych rękach.

Świadczą o tym przybrudzenia, zgięcia przez pól i zagięte, przyczernione nieco rogi.

- Najpierw ją zamknij. Niech posiedzi 48 godzin, a potem ją przesłuchaj. Tylko ostro - doradzał porucznik.

- Dobry pomysł - zgodził się kapitan. - Zrobię, jak radzisz, ale... odwrotnie.

- To znaczy?

- Najpierw przesłucham, a potem ewentualnie, skoro utwierdzę się w podejrzeniu, że Rzeszewska kłamie, to ją zamknę.

Porucznik tylko ręką machnął. Widać było z jego miny, że zupełnie nie pochwała postępowania swojego zwierzchnika i przyjaciela.

- Irena Czaplik, wdowa, lat 57 - kobieta siedząca na-
przeciwko kapitana Jarkowskiego zeznawała cichym gło-
sem, ale spokojnym. - Dzieci: trzech synów i córka. Naj-
młodszy syn student medycyny mieszka razem z nią. Ona
jest sprzątaczką w banku. Zarabia 850 złotych miesięcz-
nie. Syn ma stypendium 500-złotowe. Mąż zginął w po-
wstaniu przy ataku na Poczta na placu Napoleona. Mie-
szka na Pańskiej od 30 lat. Dom i mieszkanie ocalało
sprzed wojny. W banku pracuje od jego uruchomienia, od
1946 roku. Mąż również tam pracował.

- To są pani pieniądze - kapitan wyjął z koperty trzy
banknoty pięćsetzłotowe.

- Tak, moje.

- Skąd je pani ma?

- Co miesiąc otrzymuję od starszych dzieci po pięćset
złotych. Chciały dawać więcej, ale nie potrzebuję, bo
z tych nieraz nawet mogę odłożyć na książeczkę PKO.

- Te pieniądze przysłały dzieci. Każde inny banknot?

- Nie. Pieniądze dał najstarszy syn, ten, który mieszka
w Warszawie. On mi zawsze daje, a dzieci rozliczają się
między sobą.

- Co robią pani dzieci i gdzie mieszkają?

- Jak mąż zginął, zostałam sama z czwórką dzieci, naj-

starszy miał dopiero 14 lat. Tego, który teraz jest na medycynie, wtedy jeszcze na ręku nosiłam. Kiedy wróciliśmy do Warszawy, bo mieszkanie nam ocalało, zarabiałam praniem. Jak otworzyli bank, przyjęli mnie do pracy przez pamięć na męża. On tam był woźnym razem z panem Franciszkiem. Ciężko było, najstarszy syn musiał przerwać naukę i poszedł na praktykę. Sąsiad był kominiarzem, wziął go więc do siebie. Teraz syn jest w spółdzielni kominiarzy. Ożenił się, ma własne mieszkanie. Dobrze zarabia. Mówi, że najmniej 6 tysięcy miesięcznie.

- A reszta?

- Tego drugiego chciałam kształcić wyżej. Jak skończył szkołę powszechną, bo to wtedy nazywała się powszechna, a nie podstawowa, przyniósł ogłoszenie, że w Katowicach przyjmują do szkoły górniczej. Dają pełne utrzyma-

nie, a nawet co miesiąc płacą parę groszy. Początkowo nie chciałam go puścić, że to taka ciężka robota pod ziemią, ale syn się uparł. Pojechał, skończył tę szkołę i poszedł do kopalni. Później uczył się w technikum górniczym i dzisiaj jest sztygarem. Mieszka i pracuje w Zabrze i dobrze mu się powodzi. Kiedy tych dwóch poszło już na własny chleb, lżej mi się zrobiło. Córkę, Hankę, posłałam do liceum, a stamtąd na medycynę. Synowie zaczęli pomagać, brałam pranie do domu i tak jakoś przeszło te siedem lat. Teraz Hanka jest lekarzem w szpitalu w Mogilnie w województwie bydgoskim, a zaczyna mieć i prywatną praktykę. Na Boże Narodzenie ma być jej ślub z kolegą z tego samego szpitala. Teraz nie biorę już prania do domu. Dzieci mi pomagają, a najmłodszy za dwa lata też skończy medycynę. Najstarszy, ten kominiarz, ciągle mnie namawia, że bym rzuciła pracę i z nimi zamieszkała. „Zajmie się mama dziećmi - powiada. - Chleba u mnie nie zabraknie. Po co cudze kurze zamiatać?” Ja nie chcę. Do emerytury jeszcze trzy lata. Co wtedy zrobię, zobaczę. Może zostanę z najmłodszym, może do córki pojedę? Boję się, że z synową, żoną najstarszego, trudno byłoby mi się zgodzić. Zawsze byłam u siebie, a nie na cudzym chlebie.

- Kiedy syn przyniósł te pieniądze?

- U nich w spółdzielni zawsze płacą piątego. W tym miesiącu piąty wypadł w niedzielę, więc płacili wcześniej - czwartego. W niedzielę chodzimy do syna na obiad. Wtedy dał mi te trzy pięćsetki. Nie potrzebowałam ich i włożyłam do książeczki PKO. Pomyślałam sobie, że co zostanie po pierwszym, to wpłacę. Tak leżały, aż milicja je tam znalazła. Zapytajcie, panowie, syna. Synowa również wiedziała, jak mi je dawał, i ten najmłodszy też był przy tym. Mogą poświadczyć.

Kapitan zanotował jedynie adres najstarszego syna i na tym zakończył przesłuchanie. Po sporządzeniu dodatkowego protokołu i podpisaniu go przez sprzątaczkę Czaplak, oficer milicji zwrócił jej zakwestionowane banknoty. Nie było sensu sprawdzać zeznań. Nie ulegało wątpliwości, że kobieta mówiła prawdę.

Za to następna „klientka” kapitana nie zachowywała się tak spokojnie.

- Panowie mają nas za bandytów - zaczęła swoją opowieść Maria Rzeszewska. - Wieczorem dzwonek do drzwi i do mieszkania wpada trzech ludzi, jeden w mundurze i dwóch po cywilnemu. Z nimi dozorca domu na świadka, żeby cała kamienica wiedziała, jacy z tych Rzeszewskich groźni przestępcy i jak ich milicja rewiduje. Ci panowie nawet nie dali nam się ruszyć. Córka była w łazience, to

kazali natychmiast wyjść z wanny i otworzyć drzwi. Tak się postępuje z porządnymi ludźmi? Mąż powiedział, że poskarży się swojemu ministrowi. A ci panowie w kółko „gdzie są pieniądze i gdzie są pieniądze, proszę oddać wszystkie pieniądze, złoto i biżuterię położyć na stole!” Zupełnie jak napad bandycki.

- Proszę pani - kapitan usiłował uspokoić rozwścieczoną kobietę. - Gdy milicjanci do państwa przyszli, to wylegitymowali się i dali pani nakaz rewizji podpisany przez prokuratora. Nie słyszałem nigdy, żeby bandyci brali ze sobą świadków.

- Tym gorzej. Tym większy wstyd. Dozorczyni nic innego nie robi, tylko biega po lokatorach i opowiada ze szczegółami, jak to milicja do nas wpadła i co u nas znalazła.

Wyobrażam sobie, co ta wstrętna kobieta zdążyła nałgać.

- Właśnie chciałem porozmawiać z panią o tym, co znaleziono w czasie rewizji. Pani przyznaje, że te obce waluty i pieniądze zostały zabrane z waszego mieszkania przy rewizji?

- Przyznaję. Ale cóż to? Nie wolno w Polsce posiadać pieniędzy? Gdzie jest takie prawo? Dolary również wolno mieć, a jedynie nie wolno nimi handlować.

- Pani jest doskonale poinformowana. Wcale nie kwestionujemy, że ma pani prawo posiadać nawet milion dolarów. Chciałbym jedynie wiedzieć, jakie jest ich pochodzenie. Sama pani przyzna, że niewielu ludzi trzyma takie

sumki w domu na „drobne wydatki”.

Mimo gniewu Rzeszewska uśmiechnęła się lekko.

- To wcale nie na „drobne wydatki”, jak pan to określa.

To są całe nasze oszczędności.

- Duże oszczędności! Ile pani zarabia w banku?

- Dwa tysiące siedemset złotych plus premie.

- Przypuszczam, że mąż niewiele więcej. Mając troje dzieci na utrzymaniu niełatwo o takie nieprzeciętne... oszczędności.

- No tak. To prawda. Gdyby mąż pracował w kraju, nigdy byśmy się tego nie dorobili. Ale mąż często wyjeżdża za granicę. W ubiegłym roku wrócił ze Szwajcarii, gdzie przez trzy lata pracował w biurze radcy handlowego. Stamtąd przywiózł te franki szwajcarskie. W tym roku spędził trzy miesiące w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych, gdzie uczestniczył w rokowaniach handlowych. Stąd te dolary. Zaznaczam, że przywiezione do kraju legalnie i zgłoszone na granicy. Mogą panowie sprawdzić.

- A te pięćsetki?

- Wracając ze Szwajcarii mąż kupił samochód opel-kapitan. Zupełnie nowy. W Warszawie jeździliśmy nim prawie przez rok i niedawno go sprzedaliśmy. Kupił lekarz wojskowy, pułkownik. Mieszka na Ochocie. Jego żona jest również lekarką. Mogli sobie pozwolić na taki wydatek. Samochód sprzedaliśmy za 190 tysięcy. Reszta to nasze oszczędności, nie tak znowu wielkie biorąc pod uwagę, że każdy wyjazd męża daje spore dochody.

- I to wszystko w szkatułce, w bieliźniarce. Jak na pracownika banku dość ciekawy sposób przechowywania oszczędności.

Rzeszewska zaczerwieniła się.

- Chyba mam prawo tak przechowywać swoje pieniądze, jak mi się podoba.

- Oczywiście. Prawo pani ma, ale dziwię się, że urzędnicy bankowi tak mało mają zaufania do naszych form oszczędzania. Wyniki rewizji przeprowadzonej jednocześnie u innych pracowników banku świadczą, że pani zaufanie do PKO jest znacznie mniejsze niż waszych sprzątaczek.

- Nie przyszedłem tutaj po to, aby pan mnie obrażał.

- Czym panią obraziłem?

Rzeszewska umilkła.

- Proszę o wyjaśnienie - ciągnął dalej kapitan - dlaczego pieniądze mają te same serie co pięćsetki skradzione ze skarbca?

Rzeszewska wzruszyła ramionami.

- Każda seria składa się z miliona sztuk banknotów. Co najmniej dziesięć serii zawsze jest w obiegu, nie licząc banknotów starszych, jakiś czas przechowywanych przez właścicieli, które od czasu do czasu również trafiają do obiegu. Ale te pytania powinien pan skierować do tego, kto mi te pienią-

dze dał, to jest do nabywcy naszego samochodu.

- Czy pani wymieniała banknoty w kasie?

- Po co? Żeby wszyscy wiedzieli, że mam pieniądze? Nie jestem taka głupia.

- Czy pani pożyczała pieniądze Ligmanowi?

- Nie. Nigdy.

- Klucz od pani stołu otwiera również szufladę biurka

Ligmana, tę samą, w której znalazł on 50 tysięcy złotych.

Takie same pięćsetki, jakie teraz leżą na moim stole.

- Jak pan śmie! To bezczelność! Wypraszam sobie tego rodzaju pytania!

- Proszę pani, skończmy tę zabawę w obrażanie się. Jest pani posądzona o kradzież, względnie o udział w kradzieży dziesięciu milionów złotych. Razem z panią podejrzewamy jeszcze kilkanaście innych osób. Mamy absolutną pewność, że jedno z was okradło bank. Przeprowadzona u wszystkich o tej samej porze, tego samego dnia, rewizja nie wykryła u nikogo nic podejrzanego... z wyjątkiem pani, gdzie milicja znalazła poważną bądź co bądź sumę w złotych polskich i obcych walutach. Wydaje mi się, że w tych okolicznościach wszelkie fochy nie są na miejscu. Zamiast obrażania się powinna nam pani szczegółowo powiedzieć skąd są te pieniądze i dlaczego znajdowały się w bieliźniarce.

Rzeszewska zamilkła i uspokoiła się. Wreszcie zaczęła

mówić cichym, normalnym głosem:

- Zeznam całkowitą prawdę. Mogę w każdej chwili przedstawić akt notarialny sprzedaży samochodu. Doktor D. potwierdzi, że zapłacił nam pięćsetkami. Skąd wziął te pieniądze? Nie wiem. Wpłacił je na trzy tygodnie przed

kradzieżą w banku. Reszta sumy pochodzi ze sprzedaży tego, co mąż przywiózł zza granicy, bo przecież przywozi nie tylko prezenty mnie i dzieciom, ale również coś na sprzedaż. Tak wszyscy robią. Oszczędza się na dietach, zabiera żywność z kraju, aby tam ograniczyć wydatki i w zamian za to coś kupić. Czasami nawet w banku sprzedawałam nylony lub swetry, albo włóczkę do robienia na drutach. Dzięki temu kupiliśmy mieszkanie spółdzielcze, a teraz postanowiliśmy wyposażyć w mieszkanie syna. Skończył Politechnikę, ma pracę, chce się żenić. Jedyna przeszkoda - brak własnego kąta.

- Hm?

- Pan się uśmiecha, że zdecydowaliśmy się wydać taką sumę na mieszkanie dla syna. Ale to leży nawet w naszym własnym interesie. Nasze mieszkanko, choć bardzo nowoczesne i ładne, jest małe. Pięć osób nie ma dosłownie gdzie się ruszyć. My z mężem zajmujemy jeden pokój. W drugim śpią córki na tapczanie i amerykańce. Dla syna rozkłada się polowe łóżko w kuchni. Dla młodego człowieka to nie życie, a wegetacja. Dla nas również nie najwygodniej. Mąż zaczyna pracę o siódmej rano. Kuchenka mała. Chcąc przyrządzić śniadanie, muszę syna ściągać z łóżka. Jeżeli któreś z nas nieco później wróci wieczorem

do domu, automatycznie budzi resztę. Kiedy syn pójdzie na własne gospodarstwo, będzie trochę luźniej.

- Na to potrzeba dwustu tysięcy złotych?

- Najmniej. Pracowniczego mieszkania syn nie dostanie, bo za młody i za krótko pracuje. Zresztą za dużo zarabia, więcej niż 1500 złotych miesięcznie. Gdyby nawet zakład pracy skierował go do spółdzielni, to musiałby ze dwa lata czekać na przydział, a później ze trzy lata na wybudowanie mieszkania.

Dochrapałby się własnych czterech ścian najszybciej za lat pięć. Na szczęście trafiła się okazja - za remont zniszczonej willi na Żoliborzu mogę dostać jedno mieszkanie na własność

- dwa pokoje z kuchnią. Będą nawet większe niż nasze na Dworkowej. Dlatego też nie wpłacałam pieniędzy na książeczkę oszczędnościową, a trzymam je w domu. Cała sprawa może być w każdej chwili aktualna. Już nawet ugodziliśmy się z majstrami, którzy nam ten remont przeprowadzą. Czekamy tylko na jedną rzecz, aby przystąpić do roboty.

- Na paszport zagraniczny pani Potulickiej?

Rzeszewska, która chciała mówić dalej, na słowa kapitana znieruchomiała z otwartymi ustami.

- To panowie wiecie?...

- Wiemy nawet, że mieszkanie ma być na pierwszym piętrze. Chcieliśmy jednak usłyszeć to z ust pani. Milicja nie lubi się na ogół chwalić, ale wie niejedno. Proszę,

niech pani zabierze swoje pieniądze. Potwierdzi pani tylko, że wśród tych banknotów były i pięćsetki z serii „AH”, wyszczególnione na tej liście - kapitan podsunął Marii Rzeszewskiej listę z numerami wynotowanych biletów bankowych. - Radziłbym wpłacić je na PKO. Ostatecznie wyjęcie stamtąd większej sumy to kwestia stracenia 10 minut w gmachu na Sienkiewicza.

- Dziękuję panu - Rzeszewska zawinęła pięćsetki i waluty w leżący na stole papier i schowała je do torebki. - Czy mogę już odejść?

- Jedno pytanie. Kto, zdaniem pani, mógł dokonać kradzieży?

Kobieta zastanowiła się.

- Powiedziałam panu, że nie mam pojęcia. Nie chciałabym rzucać niesprawiedliwych posądzeń. Ale zdaje się, że najwięcej możliwości mieli strażnicy, którzy dyżurowali wówczas do godziny siódmej wieczorem. Wiem, że są ze sobą zaprzyjaźnieni. A poza tym lubią się zabawić. Nieraz widziałam, że robili różne małe kombinacje z klientami banku.

- Na czym one polegały?

- Niby nic karalnego. A to, zamiast wartować w drzwiach przy wejściu, pilnowali klientom samochodów na ulicy. Jeżeli któremuś z nich bardzo się śpieszyło, to zostawiał im czek i przychodził później odebrać od nich pie-

niądze. Czasem umawiali się, że pomogą odtransportować kasjera do jego firmy. Słowem, drobne usługi oddawane klientom. Stały one jednak w sprzeczności z obowiązkami względem banku. Strażnik nie może odwozić klientowskich pieniędzy, bo w tym czasie powinien pilnować banku.

- To niewielkie poszlaki.

- Jest i poważniejsza. Kiedy wówczas Ligman posłał Nawrockiego po wódkę, powiedział mu, żeby kupił również ćwiartkę dla strażników. Pamiętam, jak mówił: „kup i dla nich, jak sami wypiją, to nie polecą z ozorem do dyrektora”.

Wiem, że tę ćwiartkę wypili, bo Nawrocki zabrał ode mnie kilka kanapek i zaniósł strażnikom. Jestem gotowa przy-

siąc również, że wyszliśmy wtedy z banku pół do siódmej.

To właśnie obydwaj strażnicy mówili, że wychodziliśmy przed samą siódmą i my, tym zasugerowani, potwierdzili-

śmy tę godzinę w zeznaniach. Pamiętam jednak dobrze, że przechodząc przez salę operacyjną spojrzałam na zegar.

Wyraźnie wskazywał dwadzieścia pięć minut po szóstej.

- Jaki cel mogli mieć strażnicy w podaniu późniejszej godziny opuszczenia banku przez urzędników wydziału księgowości?

- Może chcieli ukryć fakt, że przez pół godziny byli zupełnie sami? Przez ten czas można pięć razy otworzyć i zamknąć skarbonkę.

- Tak. Ale czym?

- Ja nie wiem. Pan pytał, więc mówię, że moim zdaniem winni są strażnicy. Nigdy nie miałam do nich zaufania. A co do zamków słyszałam, że dobry złodziej potrafi

otworzyć każdy zamek specjalnym wytrychem.

- Tych zamków żaden wytrych nie otworzy.

- Nie wiem. Nie znam się na tym. W każdym razie zwróćcie, panowie, uwagę na strażników. Zauważyłam, że od dnia kradzieży ciągle coś do siebie szepczą i bardzo często robią wrażenie podchmielonych.

- Czy zna pani bliżej tych ludzi?

- Raczej nie. Wiem, że od kilku lat pracują w banku.

Poza tym słyszałam od siostry, u której dawniej, zanim pokłóciła się z teściową, często bywałam na Żoliborzu, że dyrektor Helski przysyłał ich do pomocy w ogrodzie i do wykonywania różnych napraw. Teściowa mojej siostry to Joanna Potulicka, wdowa po byłym prezesie naszego banku. Stara Potulicka przegnała strażników z domu, bo podobno zamiast pracować myszkowali po kątach i roz-

glądali się, co by można było wynieść. Ile w tym prawdy, trudno dociec, ta teściowa to też dobry numer.

- Dawno to było?

- Pracowali zwykle przy wiosennych porządkach

w ogródku i w domu. Stara Potulicka, jak mówiła siostra, zrobiła im piekielną awanturę i wyrzuciła z domu w tym roku jakieś dwa miesiące temu.

Rzeszewska poza tym nie miała już żadnych ciekawych

informacji. Kapitan przeprosił ją za wezwanie do komendy,

dał do podpisu protokół i pożegnał. Po jej wyjściu zanoto-

wał całe opowiadanie o strażnikach, które oczywiście nie fi-

gurowało w oficjalnym protokole. Postanowił sprawdzić „te

rewelacje" w najbliższym czasie. Przede wszystkim należało

wyjaśnić, czy rzeczywiście urzędnicy wydziału księgowości

opuścili bank o pół do siódmej, a nie, jak podawali w prze-

słuchaniu, za pięć siódma. Była to istotna różnica, która

mogła mieć znaczenie dla wyjaśnienia kradzieży w skarbcu.

- Trzeba będzie wybadać Nawrockiego. Ten sprytny

chłopak na pewno potrafi wyjaśnić, jak to było naprawdę

- powiedział do siebie kapitan Jarkowski zamykając pokój

i opuszczając gmach Komendy Stołecznej MO.

Nie dane mu jednak było nawet po godzinach urzędowa-

nia zapomnieć o sprawie kradzieży. O godzinie drugiej

w nocy w mieszkaniu oficera milicji zadzwonił telefon. Gdy kapitan podniósł słuchawkę, oficer dyżurny komendy dzielnicowej Śródmieście poinformował go, że Czesław Potulicki został zatrzymany przez patrol MO, gdy po pijanemu wszczął awanturę i pobił przypadkowego przechodnia na ulicy Foksał przed nocnym lokalem Kameralna. Ponieważ wyżej wymieniony Potulicki - tłumaczył oficer dyżurny - zgodnie z instrukcją pułkownika winien być obserwowany przez funkcjonariuszy MO, dzielnica Śródmieście zawiadamia o tym kapitana Jarkowskiego z Komendy Stołecznej. Kapitan podziękował i prosił o zatrzymanie w areszcie Potulickiego do jego dyspozycji, ponieważ rano zjawi się w dzielnicy i osobiście przesłucha zatrzymanego.

- Poruczniku, zwróćcie tylko baczność uwagę na przedmioty, jakie ma przy sobie zatrzymany. Jeśli to moż-

liwe, to proszę także, aby do czasu przesłuchania z nikim się nie kontaktował.

- Nie miał przy sobie nic ciekawego - odpowiedział oficer dyżurny. - Rewidowano go w mojej obecności. Około sześciu tysięcy gotówką, dowód osobisty, jakaś przestarzała legitymacja i dwa pęki kluczy. Poza tym długopis i notatnik z nieciekawymi adresami. Co do izolacji, to sprawa trudniejsza. Mamy dzisiaj dość duży tłok. Zresztą czy to potrzebne? Jest pijany jak bela, tak że do aresztu musiało go znieść dwóch posterunkowych. Gdyby nie instrukcja pułkownika, zabraliby go nie do nas, a do izby wytrzeźwień.

- Bardzo dobrze, że jest u was. O ósmej przyjadę. Na razie dziękuję za wiadomość. Do widzenia.

Rozmowa telefoniczna dawno już się skończyła, a kapitan Jarkowski wybity ze snu nadaremnie przewracał się z boku na bok. Minęły chyba dwie godziny, zanim wreszcie Morfeusz przypomniał sobie o nim. Kapitan zapadł w ciężki sen, taki, który nie daje żadnego wypoczynku. Śniło mu się, że stoi przed gigantycznymi stalowymi drzwiami. Jest w nich tysiąc dziurek od kluczy, a on, Piotr Jarkowski, trzyma w ręku pęk wytrychów i bezskutecznie usiłuje otworzyć skomplikowane zamki. Spieszy się, gdyż wie, że za tymi stalowymi drzwiami kryje się rozwiązanie

tajemnicy, ale wytrychy łamią się i gną w zamkach, a sta-
lowe rygle nie chcą odskoczyć.

Dopiero ostry dzwonek budzika o pół do szóstej wyrwał
oficera milicji z tych koszmarnych majaków.

ROZDZIAŁ IX

W Komendzie Dzielnicowej MO pokazano kapitanowi
Piotrowi Jarkowskiemu „depozyt” znaleziony u Czesława
Potulickiego. Portfel z miękkiej kozłowej skóry z monogra-
mem „C.P.”, a w portfelu jakieś drobiazgi. Miniaturowy
kalendarzyk, pare notatek, jakieś kartki bez znaczenia
i w „przedziale na zaskórniaki” dwadzieścia nowych pięć-
setek. Seria „AN” o numeracji kolejnej, zbliżonej

do numerów banknotów znalezionych u Tadeusza Ligmana. Oficer dyżurny aż się zachnął, widząc kapitana wyjmującego z portfela te pieniądze.

- Przywieźli go do nas o drugiej w nocy razem z partią innych awanturujących się gości. Sierżant, który odbierał rzeczy od Potulickiego, widocznie w pośpiechu niezbyt dokładnie zbadał portfel. Dlatego te pieniądze nie są zapisane w karcie depozytowej. Sam delikwent był tak pijany, że nie wiedział w ogóle, co się z nim dzieje.

- To nie ma istotnego znaczenia - kapitan uspokoił obawy kolegi. - Zobaczmy, co on tam miał jeszcze.

Szczególną uwagę oficerów zwrócił notes z licznymi adresami i telefonami. Większość bez nazwisk, jedynie imiona. Przeważały imiona kobiece. Dalej krawat, chustka do nosa, złamany ołówek, długopis, napoczęta paczka papierosów „Piaś”, zapalniczka, duży nóż, tak zwany „sprężynowy”, i dwa pęki kluczy. Jeden na metalowym kółku zawierał rozmaite klucze - od zatrzasku, od zasuw, mniejsze typu walizkowego, dwa czy trzy takie, jakich używa się do otwierania szaf i biur. Drugi pęk to na kawałku, rzemienia związane trzy klucze stalowe srebrnego koloru. Trzy płaskie klucze.

Kapitan nie musiał brać ich nawet do ręki. Były iden-

tyczne z kluczami trzech dyrektorów Powszechnego Banku Rzemiosła. Każdy z nich miał tylko jeden płaski klucz służący do otwierania jednego z trzech zamków skarbca, gdzie przed kilkunastu dniami zginęła ogromna suma 10 milionów złotych. Tutaj zaś na lekko przetartym skórzanym sznurowadle wisiał cały komplet.

Nie ulegało wątpliwości, że były to klucze, które zmarły dyrektor banku, Jacek Potulicki - jak twierdziła jego żona - nosił zawsze na złotej dewizce przy kamizelce. Pozostawił je w domu, gdy go opuszczał po raz ostatni we wrześniu 1939 roku w mundurze majora wojsk polskich. Kapitan wziął klucze do ręki. Były bardzo ciężkie. Ważyły razem chyba pół kilograma. Nic dziwnego. Zrobione ze stopu irydu z domieszką czystej platyny ważyły trzy razy więcej niż stalowe i były od nich znacznie twardsze. Podobnie jak na kluczach „banko-

wych" widniały tu wytrawione napisy: „Henry Kane - London England" i kolejne numery 6 754, 6 755, 6 756.

- Dziwne klucze - zauważył porucznik z dzielnicy. -

Nigdy nie widziałem podobnych. Płaskie jak do zamka zatraskowego, ale znacznie dłuższe.

- Bardzo dziwne - zgodził się kapitan. - Ale jeszcze dziwniejsze, że znaleźliście je w kieszeni tego chuligana.

Czy on podpisywał kartę depozytową?

- Ale skądże. Był pijany jak bela. Musiano go zanieść do aresztu, bo sam nie mógł już chodzić.

- Chyba do rana wytrzeźwiał. Jeżeli pozwolicie, to go teraz przesłucham.

- Oczywiście, zgodnie z zarządzeniem pułkownika jest do waszej dyspozycji.

- Co on zbroił?

- Zjawił się w nocy około pierwszej pod Kameralną. Portier nie chciał mu otworzyć, ponieważ facet był już, jak to się mówi, na ostatnich nogach. Wywiązała się najpierw wymiana zdań, a później kłótnia. Tymczasem ktoś wchodził czy wychodził z Kameralnej. Potulicki z tego skorzystał i wsadził nogę między drzwi. Zaczęła się szamotanina.

Wybito przy tym szybę, a nasz bohater wziął się ponadto do bicia jakiegoś przechodnia. Zjawiła się milicyjna war-

szawa i widząc po wylegitymowaniu, że mają do czynienia z facetem, przed którym istnieje ostrzeżenie Komendy Stołecznej MO, zabrano go do naszego aresztu. To wszystko.

- Dobrze. Dawajcie go tutaj.

Za chwilę milicjant wprowadził Czesława Potulickiego do pokoju, gdzie siedzieli oficerowie. Kapitan z zaciekawieniem spojrzał na młodego, dość krępego człowieka. Ubrany był w supermodny garnitur kawowego koloru, teraz dość wymięty. Nylonowa koszula również nosiła ślady noclegu na pryczy w areszcie. Potulicki był już trzeźwy, jedynie przekrwione oczy wskazywały na niedawne pijaństwo.

- Imię i nazwisko? Data urodzenia? Miejsce zamieszkania?

Młody człowiek swobodnie usiadł za biurkiem naprzeciwko kapitana i założywszy nogę na nogę sięgnął po leżące na biurku papierosy.

- Zostawcie to i odpowiadajcie na pytania.

- Przecież to są moje papierosy i mam ochotę zapalić.

- A ja mam ochotę posłać was na 24 godziny do karceru.

- Niech pan nie będzie taki groźny, kapitanie. Nie takich kozaków widziałem i też się nie przestraszyłem.

- Albo odpowiadacie na pytania, albo z powrotem na dół!

- Zaraz, zaraz. Wolnego! Sam pan dobrze wie, że nazywam się Czesław Potulicki, mam 23 lata i mieszkam na Dygasińskiego na Żoliborzu. Przecież przed panem leży

mój dowód osobisty.

- Te rzeczy, które tu leżą, to wasze?

- Moje.

- Jest tu 16 724 złote. Papiery, dwa pęki kluczy, notes, papierosy, zapalniczka. Sprawdźcie, czy wszystko się zgadza.

Żebyście później nie mówili, że wam coś zginęło w depozycie.

Wczoraj byliście tak pijani, że nie podpisaliście karty.

Potulicki lekceważąco spojrział na stół, a później na oficera.

- Żeby się tylko forsa zgadzała.

- Ile mieliście pieniędzy?

- Szesnaście tysięcy i jakieś drobne.

- To podpiszcie kartę.

- Ale biurokracja w tej milicji - Potulicki złożył swój podpis w odpowiedniej rubryce. - No to mogę wszystko brać i iść do domu?

- Spokojnie. Nie śpieszcie się. Najpierw porozmawiamy.

- To walcie. Tylko prędko, bo jestem głodny.

- Macie złą sprawę i najlepiej będzie, jeżeli przyznacie się do wszystkiego.

Potulicki ziewnął bez ceremonii i roześmiał się.

- Nie bierzcie mnie pod bajer. Co za zła sprawa? Że mnie łobuz portier nie chciał wpuścić do knajpy? Bo nie chciałem dać mu pięciu dych? Że szybę wybiłem?

Głupstwo. Zapłacę. Za to, że uderzyłem faceta, który się nogami nakrył, jak w mordę dostał? Iga zaświadczy, że pierwszy zaczął. Złapał mnie za klapy i brał się do bicia.

- Jaka Iga?

- Moja znajoma. Jadwiga Lipska. Razem z nią byłem pod Kameralną. Możecie ją przesłuchać.
- Tę Jadwigę Lipską dobrze znamy - wtrącił porucznik z dzielnicy. - Taka ruda, zwana „rudą Igą”. Stara „polonistka”. Teraz przeniosła się i „urzęduje” w barku kawowym naprzeciwko Grand Hotelu. Dobry świadek, ani słowa!
- Nie chodzi o tę rozróbę przed Kameralną. O inne ważniejsze sprawy. Dlatego radzę od razu się przyznać.
- Nie mam żadnych sprawek.
- Posiedzicie parę miesięcy w więzieniu, to inaczej będziecie rozmawiali.
- Wy mnie nie straszcie. Musicie mnie zaraz zwolnić.
- Wcale nie musimy.
- To jest łamanie praworządności. Tamte czasy już się skończyły. Nie macie prawa trzymać mnie w areszcie.
- Praworządności nie potrzebujemy uczyć się od was. Sami wiemy, co mamy robić. Zostaliście zatrzymani o drugiej w nocy. I przez następne 48 godzin możemy was tu trzymać. A potem...
- Potem będziecie musieli mnie zwolnić. Dobrze, mogę posiedzieć te parę godzin dłużej czy nawet cały jutrzejszy dzień. Ale będę wiedział, gdzie iść ze skargą na szykany, jakie stosujecie względem obywateli. I na metody, jakimi

chcecie wymusić zeznania.

- Powiedzcie, skąd macie pieniądze, które przy was
znaleziono?

- To moja rzecz. Nic was nie obchodzi. Jeżeli ukradłem,
to musicie mi tego dowieść. A w ogóle mam dosyć rozmowy z wami. Albo mnie zaraz zwolnicie, albo zwolnicie najpóźniej po 48 godzinach.

- Nie tak szybko, synku. Zapominacie, że istnieje jeszcze prokurator i nakazy aresztu ważne na 3 miesiące. Mogą być przedłużane w miarę potrzeby dla dobra śledztwa.

- Żaden prokurator nie przedłuży wam mojego aresztu nawet na godzinę.

- O to się nie martwcie. Ponieważ jesteście dziwnie nierozmowni, pójdziemy na dół. Pogadamy jutro. A potem damy wam nakazik na dalsze trzy miesiące. Będzie dużo

czasu na przypomnienie sobie wszystkiego i na dłuższe z nami konferencje. Z nami i z prokuratorem, który aż się pali, żeby was poznać.

Potulicki milczał.

- Odprowadźcie go do aresztu - kapitan zwrócił się do stojącego pod ścianą milicjanta.

- Nic mi nie zrobicie. Nie boję się. Jutro mnie zwolnicie. Prokuratorem nie straszcie. Nie ma przeciwko mnie żadnych dowodów. Zresztą do niczego się nie przyznaję i nic złego poza tą głupią bójką nie popełniłem.

- Prokurator podpisze nakaz, bo dowody leżą przede mną na stole.

- Chodźcie, Potulicki - milicjant zbliżył się do młodego człowieka ciągle siedzącego przed biurkiem.

- Jakie dowody? Co znowu kłamiecie?

- Te kluczyki - tu kapitan wziął do ręki trzy płaskie klucze

- wystarczą nie tylko dla prokuratora, ale nawet dla sądu.

- Co pan truje?

- No, idźcie, idźcie. Namyślicie się przez 24 godziny i jutro będziecie rozmowniejsi. Wiecie równie dobrze jak my, że są to klucze do skarbca Powszechnego Banku Rzemiosła. A tam przed kilkunastu dniami zginęło 10 milionów złotych. W takich samych nowych pięćsetkach, jakie tu le-

żną przede mną, wyjęte z waszego portfelu. I wy się martwi-
cie, że mając takie dowody prokurator nie zechce podpi-
sać nakazu aresztowania?

Na rozlanej twarzy młodego człowieka drgnęły wszystkie
mięśnie. W przekrwionych oczach błysnął strach. Nie było to
jednak tylko przerażenie, lecz jednocześnie bezmierne zdu-
mienie. Chciał coś powiedzieć, ale milicjant popchnął go lek-
ko do wyjścia, więc Potulicki odwrócił się i wyszedł z pokoju.

- To taki ptaszek? - zdziwił się porucznik dzielnicy. -

Wobec tego będziemy musieli wykombinować jakąś sepa-
ratkę dla naszego orła.

- Tak, tak - zgodził się kapitan. - Dajcie go do separa-
tki, a jutro znowu z nim porozmawiam.

- Swoją drogą frajer, że podpisał kartę depozytową
i przyznał się do posiadania tych kluczy. Gdyby twierdził,
że są podrzucone i nie miał ich w chwili zatrzymania, na-
robiłby nam kłopotu. Trzeba byłoby dopiero dowodzić ze-
znaniem milicjantów dyżurnych, że klucze znaleziono
przy nim w czasie rewizji. A gdyby jeszcze twierdził, że
znalazł je w samochodzie przy przewożeniu do aresztu,
mielibyście najtrudniejsze zadanie.

- Nie - zaprzeczył kapitan. - Na to, że te klucze znajdo-
wały się w domu Potulickiego, możemy mieć nawet tysiąc
dowodów, lecz znalezienie ich w jego kieszeni oczywiście

posuwa sprawę sporo naprzód. Dziwię się jedynie, że je nosił przy sobie. Może żal mu było je wyrzucić? Bądź co bądź mają wysoką wartość już nie tylko jako klucze, lecz jako metal. Przypuszczam, że „Jubiler” zapłaciłby co najmniej po 200 złotych za gram, a może nawet po 300? No to dziękuję wam, poruczniku, za pomoc. Zjawię się jutro. Schowajcie tymczasem te kluczyki do kasy pancernej.

Stanowią one własność Powszechnego Banku Rzemiosła i trzeba je będzie później im wydać.

Mimo tak poważnych poszlak obciążających Potulickiego kapitan Jarkowski nie zaniedbał sprawdzenia faktów podanych mu poprzedniego dnia przez Marię Rzeszewską. Z praktyki wiedział bowiem doskonale, że w tej skomplikowanej sprawie poszlaki gromadzą się szybko, aby wkrótce rozwiać się jak dym z papierosa. Toteż nie omieszkał umówić się na kolejne spotkanie z młodym woźnym, Stanisławem Nawrockim, jedynym dotychczas człowiekiem życzliwie nastawionym do milicji i oddającym kapitanowi Jarkowskiemu poważne usługi.

- Mam do pana dużą pretensję - powiedział oficer milicji, gdy jak zwykle spotkał się z Nawrockim w małej kawiarence na Tamce.

- Do mnie? Jaką? - zdziwił się młody człowiek.

- Pan również nie powiedział prawdy, a przynajmniej całej

prawdy o tym, jak to było w dniu poprzedzającym kradzież.

Nawrocki uśmiechnął się.

- Panu kapitanowi pewnie chodzi o tę ćwiartkę, którą kupiłem wtedy z polecenia Ligmana dla strażników? Rzeczywiście nie mówiłem o szczegółach, lecz podkreśliłem, że wszyscy piliśmy. Ja również. W naszym banku jest zwyczaj, że jeżeli organizuje się jakieś, zresztą skromne i z umiarkowanym piciem, przyjęcie, to częstuje się wszystkich obecnych. W tym także strażników.

- Żeby później nikt nic nie gadał?

- Żeby nikt nie miał za złe patrząc, jak inni piją.

- Dobra metoda - uśmiechnął się kapitan,

- Kiedy przyniosłem wódkę, strażnicy dostali swoją ćwiartkę. Pamiętam, że pani Rzeszewska dała im parę kanapek. Częstowała też sprzątaczkę, ale one podziękowały.

- O której wyszliście z banku?

- Chyba o siódmej. Albo parę minut przed siódmą. Jeden ze strażników, ten starszy, przyszedł nawet do mnie i powiedział: „niech panowie z buchalterii już kończą, siódma blisko, przyjdzie administrator i druga zmiana, po co wszyscy mają wiedzieć, co się tutaj dzisiaj działo”. Akurat na te słowa wyszedł z pokoju księgowości pan Kiecki i słyszał je. Nie-

długo potem wszyscy zaczęli się zbierać do odejścia. Widocznie pan Kiecki zwrócił im uwagę na późną godzinę.

- Więc to było około siódmej?

- Nie. Teraz sobie dobrze przypominam, że kiedy panowie z księgowości wyszli z banku, było dopiero trzydzieści minut po szóstej. Ja zabawiłem z pięć minut, sprzątnąłem szklanki i kieliszki, zaniósłem je do kuchni, wypłukałem pod zlewem i schowałem do szafy, tej co stoi pod ścianą w kuchni. Tam trzymamy szkło. Potem także wyszedłem.

- A dlaczego zeznał pan, że było to około siódmej?

- Tak powiedziałem? Możliwe. Nazajutrz, zanim pan kapitan nas przesłuchiwał, Zaczewski - tak się właśnie nazywa ten starszy strażnik - wspomniał, że wszyscy wyszli z banku za pięć siódma. Podałem więc tę godzinę nie zastanawiając się nad tym faktem. Ale teraz widzę, że było co najmniej o dwadzieścia minut wcześniej. Czy to ma jakieś znaczenie dla śledztwa?

- Jeszcze nie wiem - szczerze przyznał kapitan.

- W ogóle ten strażnik jest jakiś dziwnie skryty. Nigdy o sobie nic nie mówi. Tyle, że wiem o jego złotych rybkach. Często jeździ na Śląsk, zdaje się że do Sosnowca, i tam

wymienia te swoje „welony” na inne rybki. Raz się wygadał, że pochodzi z tamtych stron.

- Dawno pracuje w banku?

- Chyba ze sześć, siedem lat. Przedtem był strażnikiem w Polskim Radiu. Kiedy do nas przyszedł, wszyscy dziwili się, że rzucił poprzednią pracę. Płaca przecież taka sama, a w Radiu ciekawsze zajęcie. U nas nic się nie dzieje, albo dyżur, albo siedzenie w szatni, lub na piętrze czy też wartowanie nocą w zamkniętym banku, jak pies w budzie.

Można umrzeć, nim administrator zejdzie i otworzy drzwi, a odpowiedzialność o wiele większa.

- Podobno Zaczewski jest zaprzyjaźniony z innym strażnikiem?

- Z Sokolskim? Ee, jaka tam przyjaźń. Pracują we dwóch na jednej zmianie, to i wspólnie kombinują, jakby tu parę groszy załapać. Ot, cała przyjaźń.

- Ale i nieraz razem wypiją?

- Sokolski lubi wypić. Jak im trochę forsy wpadnie za pilnowanie samochodu lub odstawienie kasjera z forszą do jego biura czy za załatwienie czeku klientowi, to Sokolski stara się kolegę na jednego wyciągnąć. Ale Zaczewski nie jest pijakiem. Co prawda nie odmawia, zwłaszcza gdy Sokolski płaci, ale wypija dwa, trzy i dosyć. Jak gdyby się

obawiał, że wódka może mu usta rozwiązać. On tylko rozmawia o swoich rybach. O niczym więcej. Choć tyle lat razem pracujemy, nie wiem nawet, czy ma żonę i dzieci. Wydaje mi się, że w jego życiu jest jakaś tajemnica.

- Od tajemnicy do kradzieży może być długa droga.

- Toteż panie kapitanie ja wcale nie mówię, że Zaczewski wziął te pieniądze. Chwalił się raz, że jego rybki są dużo warte. Opowiadał, że za jedną parkę, którą przywieziono mu z Japonii, zapłacił 5 tysięcy złotych. Widocznie ma pieniądze, bo z pensji takich wydatków nie zrobi. Ani z tych drobnych dochodów, jakie mu wpadną w czasie dyżuru. Powtarzam, że on się z czymś kryje. Tak samo z tą godziną. Po co nam wmawiał, że wyszliśmy przed siódmą? Musiał mieć w tym jakiś cel.

- Ale jaki?

- Tego ja nie wiem.

- Czy Zaczewski zna młodego Potulickiego?

- Pewnie zna. Strażnicy chodzili nieraz do pani Potulickiej i robili tam porządki, zwłaszcza na wiosnę. Pan dyrektor Helski ich posyłał. Jeżeli czasem pani Potulicka „zapomniała” za to zapłacić, to dyrektor z własnej kieszeni dawał strażnikom pieniądze. Ostatnio pani Potulicka z wielką awanturą wyrzuciła Zaczewskiego z roboty. Mówiła, że chciał ją okraść, ale czy to prawda? Pani Potulicka jest bardzo nerwowa.

Po rozmowie z Nawrockim kapitan długo zastanawiał się nad relacją młodego człowieka. Słowa o „tajemnicy w życiu strażnika”, zdaniem oficera, nie miały większego znaczenia. Każdy człowiek ma jakąś mniejszą lub większą tajemnicę. Że nie lubi mówić o sobie? Może po prostu jest małomówny i skryty z natury. To wszystko głupstwo. Natomiast znacznie ciekawiej dla prowadzącego śledztwo przedstawia się sprawa hodowli złotych rybek. Z protokołu rewizji kapitan przypomniał sobie, że Zaczewski ma w mieszkaniu aż trzy duże akwaria. Fakt, że chwalił się „welonami”, które kosztowały go aż 5 tysięcy złotych, wskazywał na dużą wartość zbioru. Kapitan doskonale wiedział, ponieważ zetknął się z tym w swojej milicyjnej

pracy, że człowiek opanowany jakąś namiętnością zdolny jest dla zdobycia nowego okazu do swojej kolekcji posu-
nąć się nawet do przestępstwa, znacznie nieraz poważ-
niejszego niż kradzież.

Tak więc wokół jednej z osób zamieszanych w aferę
kradzieży 10 milionów złotych znowu zaczynały groma-
dzić się niejasne jeszcze chmury podejrzeń. Trzeba iść
i tym tropem. Przede wszystkim zbadać przeszłość straż-
nika i dowiedzieć się od specjalistów-hodowców złotych
rybek czegoś interesującego o Zaczewskim. Hodowcy zna-
ją się doskonale. Jeden o drugim wie bardzo dużo, orien-
tują się w rozmiarach i wartości zbioru współhobbystów.
Kapitan przypomniał sobie, że pewien chorąży MO jest
również zapalonym amatorem złotych rybek. Na pewno
zna strażnika i będzie mógł się czegoś o nim dowiedzieć

w kołach hodowców welonowych i innych kolorowych cudów akwariowych. Resztę ustali wywiad środowiskowy oraz opinie z poprzednich miejsc pracy.

Kapitan postanowił jeszcze tego dnia udać się na Żoliborz do starszej pani Potulickiej. Zapłaciwszy więc swoją kawę wsiadł na Tamce do autobusu „118” i po piętnastu minutach jazdy jedną z najładniejszych warszawskich tras wzdłuż wybrzeża Wisły kapitan Jarkowski wysiadł na placu Wilsona, skąd już tylko 200 metrów dzieliło go od domu Potulickich.

Drzwi otworzyła mu mile wyglądająca, przyjemnie ubrana kobieta w wieku 45 lat. Widząc przed sobą oficera w mundurze milicyjnym lekko pobladła.

- Pan pewnie w sprawie Czesława? Dowiadywałam się rano, podobno został zatrzymany?

- Między innymi i w sprawie Czesława Potulickiego - odpowiedział kapitan wchodząc do znanego sobie hallu.

- Podobno z kimś się pobił. Boże, co my mamy z tym chłopcem. Mam nadzieję, że nic poważnego? Podobno jakieś nieporozumienie towarzyskie na dansingu. Kiedy panowie go zwolnią?

- W tej chwili niczego konkretnego nie mogę pani powiedzieć. Być może, że jutro, a być może za kilka lat.

- Za kilka lat? Co się stało? Co on zrobił?

- Podejrzewamy, że brał udział w bardzo poważnym przestępstwie.

Potulicka była bliska płaczu. Drżącym głosem mówiła:

- Całe życie staraliśmy się o to, aby Czesław miał jak najlepsze warunki, tak zwane „szczęśliwe dzieciństwo”.

Dosłownie niczego mu nie odmawialiśmy. I mąż, i ja ciężko pracujemy, żeby dzieciom niczego nie zabrakło. A teraz takie nieszczęście. Nie mogę w to uwierzyć, żeby Czesio...

- Niestety, proszę pani, często tak bywa, że rodzice nie umieją niczego dziecku odmówić, a wskutek tego wyrasta ono na chuligana lub gorzej, na złodzieja czy bandytę. Może byłoby lepiej, aby państwo zamiast spełniać wszystkie życzenia synalka, umieli go w swoim czasie zmusić do posłuszeństwa i nauki.

- Nieraz próbowaliśmy, ale to takie trudne dziecko. Mimo to on nie jest zły, w gruncie rzeczy dobry chłopak, tylko głupi.

- Niech go pani nie broni. Sprawa wyjaśni się w najbliższym czasie. Jeśli syn wróci do domu, weźcie się za niego. Inaczej prędzej czy później zaopiekuje się nim prokurator.

Czy on służył w wojsku?

- Nie. On taki chorowity...

Kapitan uśmiechnął się na wspomnienie krępej, silnej

sylwetki młodego człowieka o pijacko nalanej twarzy

i przekrwionych oczach.

- Starał się biedaczek o odroczenie. Teściowa i mąż mieli trochę stosunków i udało im się dwukrotnie uzyskać odroczenie od służby wojskowej. Teraz na jesieni znowu grozi mu pobór.

- Radzę - odpowiedział kapitan - tym razem postarać się o to, aby go jak najszybciej wzięto do wojska. Dla młodego człowieka lepsza to szkoła niż paroletnie więzienie, które nie ominie pani syna, jeżeli nie zmieni on trybu życia. W wojsku może nabierze rozumu i nauczy się posłuszeństwa... Ale ja właściwie nie przyszedłem do pani, lecz chciałem zobaczyć się z panią Joanną Potulicką. Czy jest w domu?

- W tej chwili ją poproszę - młodsza pani Potulicka zapukała do drzwi swojej teściowej. W odpowiedzi dało się słyszeć jakieś gniewne mruknięcie.

- Mamo! Jakiś pan do mamy! - matka Czesława kiwnęła kapitanowi głową i szybko zniknęła w sąsiednim pomieszczeniu. W tym momencie drzwi się otworzyły i stanęła w nich właścicielka domu. Dzisiaj ubrana była bardzo starannie, a włosy świadczyły o niedawnej wizycie u fryzjera.

- A, to pan hrabia Jarkowski z Jarkowic! Witam pana.

Proszę do pokoju. Do twarzy panu w tym mundurze. Co prawda lepiej byłoby, gdyby hrabia służył w kawalerii. No,

ale teraz takie podle czasy. Kuzyn męża służył w I Pułku
Ułanów Krechowieckich w Augustowie. Wyglądał w tym
mundurze jak lalka. Gdy zjawiał się w Adrii, wszystkie ko-
biety za nim szalały. Proszę, niech pan siada. Czego pan
się napije? Koniak, a może kieliszeczek ginu?

- Dziękuję bardzo za wszystko. I nie jestem żadnym hrabią. Zwykłym oficerem milicji i, niestety, przychodzę służbowo.

Joanna Potulicka machnęła ręką dając tym znak, że nie przyjmuje do wiadomości tłumaczenia oficera milicji.

Wyjęła z pięknego, lecz zapuszczonego mahoniowego sekretarzyka liczącego ze dwieście lat, dwa kryształowe kieliszki i butelkę zagranicznego koniaku, po czym nalała sobie pół kieliszka, a kapitanowi nieco więcej.

Kapitan zapamiętał, że piękny fotel „Chippindale” nie ma nogi, więc usiadł na stojącym obok składanym ogrodowym krześle. Starsza pani podniosła kieliszek do twarzy, najpierw ze znawstwem powąchała aromat żółtawego płynu, a potem upiła trochę i odstawiła koniak na stół, pytając rzeczowym tonem:

- Teraz możemy porozmawiać. Co ten hultaj znowu zbroił? Słyszałam, że pobił się z kimś o jakąś dziwkę. Co za czasy! Dawniej takie rzeczy załatwiano przy świadkach szablą lub pistoletem, teraz najmłodszy Potulicki wali się po pysku przed knajpą.

- Obawiam się, że nie tylko o tę bójkę chodzi. Są poszlaki znacznie poważniejszego przestępstwa.

- Wcale bym się nie dziwiła. Jak się ma taką matkę,

która nie umie własnego dziecka wychować, i takiego ojca-safandulę, który niczego lepszego nie mógł wymyślić jak pójście na skrybę do magistratu, to skutki muszą być oplakane. Zawsze mówiłam, że Czesława trzeba krótko trzymać, ale kto słucha starej kobiety?

- Czy pani dawała wnukowi jakieś pieniądze?

- Tak. Załatwiał mi pewną rzecz i w zamian dostał ode mnie paręset złotych. Młody człowiek musi mieć od czasu do czasu trochę pieniędzy i musi się wyszumieć. Dawniej były różne organizacje studenckie, korporacje, tam młodzież mogła się zabawić w odpowiednim towarzystwie. Co im teraz zostało? Jaką mają młodość? Tylko kawiarnia i knajpa. Dawniej! Pamiętam bale w Resursie. Na każdym stopniu stał student we fraku z bandą i witał gości. A jak tańczyli mazura czy kujawiaka!

- Nie będę z panią dyskutował o wartości dawnych organizacji akademickich i ich obliczu politycznym. To by nam nic nie dało. Muszę jednak zauważyć, że nawet do przedwojennych korporacji przyjmowano młodych ludzi po maturze

- studentów. Jak się orientuję, Czesława wyrzucono z dziewiętej klasy właśnie za nieuctwo i chuligaństwo.

- To wina rodziców. Zawsze mówiłam...

- Więc powiada pani - kapitan szybko przerwał rozpoczynającą się tyradę na temat synowej - że Czesław posia-

dał paręset złotych. Z jakiej okazji pani mu je dała?

- Pomógł mi w sprzedaży pewnej rzeczy. W najbliższym czasie wyjeżdżam za granicę. Do Szwajcarii. W związku z tym musiałam porobić pewne sprawunki. Ubrać się przyzwoiciej, żeby Szwajcarzy nie mówili, że jakaś żebraczka z Polski przyjechała. Pieniądzy nie miałam, musiałam coś sprzedać.

- Czy pierścionek z brylantem?

- Tak. Skąd pan wie?

- Dlaczego powierzyła pani tę sprawę wnukowi?

- Sama przecież nie będę handlowała własną biżuterią.

Nie wypada! Komu miałam dać? Synowej, żeby mnie okradła? Albo temu niedorajdzie, którego każdy oszuka. Tylko do Czesława mogłam mieć zaufanie, że potrafi dobrze to załatwić i szybko zdobyć pieniądze. Nie zawiodłam się, Czesio sprzedał pierścionek w kilka dni. Co prawda myślałam, że jest on dużo więcej wart, ale jak mi później wnuk wytłumaczył, w brylancie było sporo węgielków, a ponadto ostatnio spadły w cenie złoto i szlachetne kamienie. Nic dziwnego, kto w „komunistycznym raju” może mieć pieniądze i znać się na brylantach?

- Ile ostatecznie dostała pani za ten pierścień?

- Dwanaście i pół tysiąca złotych. Tysiąc dałam Czesio-
wi za fatygę, żeby trochę się zabawił i czasem wspomniał

babkę, gdy wyjedzie.

- Ustaliliśmy - twardo powiedział kapitan - że Czesław sprzedał ten pierścionek za 37 tysięcy. Tyle prawdopodobnie był wart. 2 tysiące wziął pośrednik. Dalsze 5 tysięcy dostał on od młodego Potulickiego jako pożyczkę. Czesław

128

zainkasował 30 tysięcy w nowych banknotach pięćsetzłotowych. Gdy wczoraj zaaresztowała go milicja, znaleziono w jego portfelu ponad 16 tysięcy złotych. Resztę, około 3 tysięcy, zdołał już przepuścić. Pani tak ładnie to nazywa „młodość musi się wyszumieć”.

Joanna Potulicka zbladła. Tylko na jej policzkach pozostały rumieńce prawdopodobnie z rózu. Ujęła kieliszek i podniosła go do ust. Ręka jej wyraźnie drżała.

- Przypominam sobie - powiedziała lekko załamującym się głosem - że umówiłam się z wnukiem, iż za pierścionek da mi 12 tysięcy, a wszelką nadwyżkę zatrzyma dla siebie.

- Dobrze! Jak pani uważa. Jeśli chodzi o kradzież lub oszustwo popełnione wobec najbliższej rodziny, ściganie przestępstwa następuje tylko na wniosek poszkodowanych. Chociaż nie wierzę w bajeczkę, którą mnie pani uraczyła przed chwilą, sprawy o to Czesławowi Potulickiemu nie wytoczymy.

- Dziękuję panu, jest pan bardzo szlachetny.

- Niemniej jednak, sama pani widzi, na jakiej drodze znajduje się pani wnuk. Ostrzegam, że jest to ostatni dzwonek. Skończcie nareszcie z pobłażaniem i utrzymywaniem próżniaka. I niech jak najprędzej idzie do wojska. Jeżeli chodzi o 16 tysięcy złotych, które znaleźliśmy przy

nim, w żadnym wypadku nie zostaną mu one zwrócone.

Zgłosi się pani jutro osobiście do Komendy Dzielnicowej

MO w Śródmieściu i zabierze swoją gotówkę.

- Wolalabym tego nie robić. Raczej stracę tę sumę.

- Nie. To jest mój warunek. Albo pani, albo pani syn

z odpowiednim upoważnieniem przyjdzie po pieniądze.

W przeciwnym razie będę sądził, że pani nie tylko toleru-

je, ale nawet popiera przestępcę.

- Dobrze. Przyjdę jutro. Czy można około godziny dwunastej?

- Jak pani wygodniej. Od rana pieniądze będą do pani dyspozycji.

- Jeszcze raz panu dziękuję.

- Nie ma za co. Proszę, aby odpowiedziała mi pani na kilka dodatkowych pytań. U pani pracowali strażnicy z banku. Podobno pani była niezadowolona z ich pracy? Doszło do jakichś nieporozumień? O co właściwie chodziło?

- Ostatnio dyrektor Helski, on jeden poczciwiec pamięta o starej wdowie, przysłał mi takich dwóch do pracy w ogrodzie i do pomocy przy porządkowaniu domu. Jeden z nich miał nawet ładne szlacheckie nazwisko, bodaj Sokołowski...

- Sokolski.

- Właśnie Sokolski. Drugi też na „ski”, ale jakoś dziwnie.

- Zdzisław Zaczewski.

- Jak widzę, hrabia jest doskonale o wszystkim poinformowany. Rzeczywiście Zaczewski. Obaj zresztą próżniacy i wałkownie. Tylko by się objali z kąta w kąt i nic nie robili, jak dzisiaj wszyscy w tym waszym komunizmie. Jeszcze bym tolerowała, bo skąd dostanę innych ludzi do roboty, ale kiedy zauważyłam, że Zaczewski rozgląda się po domu i dwa razy przyłapałam go na myszkowaniu w piwnicy, to dłużej nie mogłam ścierpieć. Ma mnie taki łobuz okradać? Przegoniłam obu, a na dobitek biednemu Helskiemu niewinnie się po uszach dostało. W pierwszej złości wygarnęłam nieborakowi parę ostrych słów.

- Ale nic nie zginęło?

- Niech pan sobie wyobrazi, że nic. Chociaż wówczas zapomniałam zamknąć sekretarzyk, gdzie trzymam wartościowsze rzeczy. Zaczewski to nawet sprytny chłop. Gdy w ubiegłym roku zgubiłam klucze do mieszkania, on mi je dorobił. Zrobił to bardzo prosto. Wziął kawałek mydła, odcisnął klucz „Yale” na mydle i za dwa dni przyniósł nowy. Pasował doskonale. Używam go do dziś dnia.

- To ciekawe - stwierdził kapitan. - A dlaczego nie wziął klucza, żeby dorobić drugi według wzoru?

- Po prostu nie było. W całym domu został jeden klucz.

Czesław swój gdzieś przedtem posiał, mnie chyba wypadły z torebki, a kochana synowa... Ona by czegoś nie zgubiła!

Tylko syn miał ostatni klucz. I z tego właśnie Zaczewski dorobił najpierw dla mnie, a później aż trzy dodatkowe.

- Powiada pani, że szukał czegoś w piwnicy?

- Tak. Dwa razy go na tym złapałam, że zamiast pracować w ogrodzie, siedział w piwnicy. Raz też wlaźł do pokoju i zaglądał za szafę. Wtedy go przegnałam.

- Bardzo interesujące. No, ale już muszę uciekać. Dziękuję za doskonały koniak. To chyba „Meukow Fine Champagne”. Dawno nie piłem tak szlachetnego trunku. Przypominam pani o wizycie w komendzie. Pieniądze będą czekały u oficera dyżurnego. Proszę wziąć ze sobą dowód osobisty. Do widzenia.

- Do widzenia. Było mi bardzo przyjemnie. Mam nadzieję, że hrabia odwiedzi mnie jeszcze przed moim wyjazdem.

Nazajutrz rano dyżurny milicjant wprowadził Czesława Potulickiego do pokoju, w którym siedział kapitan Jarowski oraz jeden z oficerów z Komendy Dzielnicowej. Tym razem młody człowiek wyglądał nieco lepiej. Przekrwienie oczu zniknęło. Był starannie umyty i uczesany. Przede wszystkim zachowywał się zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia. Arogancja i buta ustąpiły miejsca grzeczności. Wchodząc w drzwi młody człowiek uklonił się oficerom milicji i stanął na trzy kroki przed biurkiem.

- Proszę, siadajcie. Może papierosa?

Potulicki wziął papierosa i chciwie się zaciągnął.

- Przystąpimy do przesłuchania. Personalia spisaliśmy już poprzednio. Gdzie pracujecie?

- Nigdzie.

- Dlaczego?

- Nie warto pracować za parę groszy.
- To skąd macie pieniądze?
- Robię różne interesy. Czasem pośredniczę w sprzedaży lub kupnie samochodu, albo czego innego. Więcej zarabiam, niż gdybym siedział w jakimś głupim biurze.
- Skąd macie te pieniądze, które znaleziono przy was w dniu zatrzymania?
- Zarobiłem. Trafił mi się większy interes. Uczciwie zarobiłem.
- Nie kłamcie, Potulicki. Wcale nie uczciwie. Po prostu oszukaliście własną babkę. Dała wam pierścioneł do sprzedaży, a wyście ukradli z otrzymanej sumy około 25 tysięcy złotych. Z tego Ligman dostał jako pożyczkę 5 tysięcy. Zgadza się?
- To świnią, musiał wygadać!

- I bez tego wiedzieliśmy. W ogóle dość dużo o was wiemy. Mogliście zresztą sami to spostrzec. Pieniądze zostaną zwrócone prawowitemu właścicielowi.
- To są moje pieniądze. Nie zgadzam się.
- Możecie się nie zgadzać. Sąd i tak postanowi o ich zwrocie, dokładając wam za oszustwo parę latek.
- Babka powie, że dała mi te pieniądze.
- I wszyscy w to uwierzą, że za pośrednictwo wynagrodziła kochanego wnuczka sumą dwa razy większą od tej, którą uzyskała ze sprzedaży? Nie bądźcie naiwni, Potulicki. Na waszym miejscu siedziałbym cicho i cieszył się z takiego załatwienia sprawy. Tym bardziej że nie tylko o tym pierścionku mamy ze sobą do pogadania. Są jeszcze kluczyki. Trzy płaskie klucze na rzemyku. One też dziwnym trafem znalazły się w waszej kieszeni. I to w kilka dni po kradzieży w banku. Gdzie jest te dziesięć milionów, które zginęły ze skarbca? Czesław Potulicki milczał.
- Dzisiaj również nie chcecie mówić? Dobrze. Pogadamy następnym razem z prokuratorem. Natychmiast przekazemy was do jego dyspozycji. Wniosek o areszt na trzy miesiące mam przy sobie.
- Panie kapitanie! Wszystko powiem. Najszczerzą prawdę. Jak Boga kocham, powiem prawdę! Tylko nie pu-

cujcie mnie do tej sprawy. Jestem niewinny.

- To dlaczego mieliście te klucze?

- Wcale nie wiedziałem, że one są od banku. Odkąd pamiętam, klucze poniewierały się u nas w domu. Jeszcze jako dziecko nimi się bawiłem.

- I na pamiątkę tej zabawy nosicie je przy sobie? Może jakieś dziecko uwierzy w tę bajeczkę.

- Powiem prawdę. Mam te klucze, bo nimi można otworzyć każdy samochód. Gdy czasem chciałem się przejechać, brałem klucze i otwierałem nimi pierwszy lepszy wóz.

- A przy tym kradłem wszystko, co było w samochodzie

- uzupełnił porucznik z dzielnicy.

Potulicki milczał.

- No jak? Mówcie!

- Raz czy dwa razy wziąłem. Butelkę whisky i jakiś koc.

- W tę bajeczkę też mamy uwierzyć?

- Mówię prawdę. Tymi kluczami, jak nie jednym, to

drugim, każdy samochód można bez trudu otworzyć. Te-

go mercedesa, kiedy mnie panowie wtedy na Nowym Świe-

cie złapali, tym kluczem otworzyłem. Niech panowie jadą

ze mną pod Bristol albo na parking przed Grand Hotelem,

a podejmuję się pokazać, jak to robię.

Kapitan spojrzał pytająco na porucznika.

- Nie musimy jechać do Bristolu. Chodźmy na pod-

wórze. U nas stoi kilkanaście wozów różnych firm. Albo

tych, które ktoś ukradł i milicja odnalazła, albo wozy,

które zabraliśmy do komendy, ponieważ kierowcy nie mie-

li prawa jazdy lub byli pod gazem. Niech pokaże na tych

samochodach, co umie.

Obydwaj oficerowie zeszli na obszerne podwórze. Stało tu

chyba z piętnaście różnych wozów, w tym parę warszaw, dwie

syreny, kilka moskwiczów i oktawii. Prócz tego było kilka sa-

mochodów marek zachodnio-europejskich, a także amery-

kańskich. Kapitan wręczył klucze Potulickiemu. Ten podszedł

do najbliższej warszawy, włożył klucz w zatrask i natych-

miast otworzył. Z kolei zabrał się do sąsiedniej oktawii. Nie

upłynęły trzy minuty, kiedy wszystkie wozy były otwarte.

- Trzeba tylko próbować, jak głęboko włożyć klucz -

tłumaczył Potulicki. - Czasem głębiej, czasem sam koniuszek łapie zamek. To samo ze stacyjkami. Czy panowie chcą, żebym i motory uruchomił?

- Nie. To nam wystarczy - rzekł kapitan.

- Dajcie te klucze. Spróbuję sam, jak się nimi otwiera.

Otwieranie samochodów, które Potulicki z powrotem zamknął, oficerom szło dużo dłużej. Młody człowiek miał widocznie niezłą wprawę. Mimo to milicjantom udało się również otworzyć i nawet uruchomić wszystkie wozy.

- No tak - powiedział kapitan, gdy cała trójka wróciła na górę. - Być może, że teraz powiedzieliście prawdę. Czy tych kluczy nie pożyczaliście lub nie dawaliście komuś?

- Nie, nikomu nie dawałem. Były dla mnie zbyt cenne, abym się z nimi rozstawał.

- A pokazywaliście komu?

- Nie, nikomu. Chociaż przypominam sobie, że raz pochwaliłem się nimi. Jeden ze strażników banku, w którym pracował mój dziadek, dorabiał nam klucze do zatrzasku. Właśnie wtedy, gdy zgubiłem swój klucz zauważyłem, że jeden z tych trzech płaskich kluczy otwiera również drzwi do domu. Wówczas nie wiedziałem jeszcze, że można nimi odmykać drzwiczki samochodów. Dopiero po doświadczeniu z zatrzaskiem wpadłem na ten pomysł. Kiedy strażnik

dorobił klucze, pokazałem mu, że nie potrzebuję jego pomocy. Obejrzał ten komplet i wytłumaczył, że dlatego otwiera on różne zamki, ponieważ ma ogromną ilość zębów różnej wielkości i grubości. Są one tak ułożone, że przy wsuwaniu klucza głębiej lub płycej stwarza się wielką ilość kombinacji otwierających zamki systemu zapadkowego. Ten strażnik musiał być przedtem doskonałym ślusarzem, bo znał się na rzeczy. Babce dorobił klucze na podstawie odcisku na mydle.

- Podpiszcie protokół swoich zeznań. Powtarzam, że pieniądze - 16 tysięcy złotych - przekazemy babce, resztę, te kilka setek, możecie zatrzymać. Zwolnimy was z aresztu, ale nie wolno wam wyjeżdżać z Warszawy. Jeżeli przypomnicie sobie coś jeszcze o tych kluczach, macie się natychmiast do nas zgłosić. Zgoda? Klucze konfiskujemy. Zostaną zwrócone bankowi.

- Bardzo dziękuję, panie kapitanie. Przyrzekam, że już więcej nie będziecie mieli ze mną kłopotu.

- Akurat wam wierzymy - mruknął porucznik. - Dobrze zresztą byłoby, bo następnym razem tak łatwo się nie wykręcicie.

- Żal mi trochę tych pieniędzy - dodał Potulicki, który po oświadczeniu kapitana o odzyskaniu wolności od razu nabrał lepszego humoru. - Ale mówi się trudno. Szkoda

mi również tych kluczyków. Wprawdzie głupi kawałek nie
niewartego żelaza, ale mądrze zrobione.

- Widzicie, Potulicki, gdyby was nie wylano za nieuctwo
i chuligaństwo z dziewiątej klasy, tobyście wiedzieli, że im
cięższy metal, tym droższy, i że te klucze są zbyt ciężkie,

aby były ze stali lub, jak mówicie, z żelaza. Czasem nauka popłaca. Wiedzielibyście, że to, co służyło wam do ukradzenia koca lub butelki wódki nie dopitej przez właściciela samochodu, jest może nawet więcej warte niż wódka razem z samochodem.

Potulicki spojrział niedowierzająco na kapitana.

- Trzeba było się uczyć. Mieliście w ręku stop irydu, jednego z najdroższych na świecie metali, i platyny. Te klucze ważą z pół kilograma. „Jubiler” dałby wam ze 150 tysięcy złotych.

- Niemożliwe!

- Możliwe, możliwe. Zajrzyjcie do podręcznika chemii z X klasy, a sami się przekonacie. No, nie mówię wam „do widzenia”, bo życzę, żebyśmy się więcej nie zobaczyli. A pamiętajcie, że nauka może wam się w życiu nieraz przydać.

ROZDZIAŁ X

- Dotychczasowe śledztwo nie wykryło wprawdzie jeszcze bezpośredniego sprawcy - referował kapitan Piotr Jarkowski na zwykłej odprawie u pułkownika - ale na naszym koncie musimy zanotować poważne sukcesy. Zarówno czynne, jak bierne. Do tych pierwszych zaliczam znalezienie dwóch kompletów kluczy od skarbca. Teoretycznie pozostał jeszcze jeden, ale jestem pewien, że ten

komplet należący do zamordowanego przez hitlerowców dyrektora Artura Śliwowskiego z ulicy Focha - nie istnieje. Co do sukcesów biernych, to dochodzenie stwierdziło, że sporo osób, które pierwotnie uważaliśmy za podejrzane, można z naszej listy skreślić. Moim zdaniem, trzeba przyjąć również za pewnik, że skarbiec nie został otworzony za pomocą odnalezionych przez nas kluczy. Istnieje jeszcze jeden komplet, o którym ani my, ani władze banku nie wiemy.

- A ja nie jestem taki pewny niewinności niektórych podejrzanych - zabrał głos porucznik Roman Widera. -

Uważam, że potraktowaliśmy ich zbyt pobłaźliwie lub nie

potrafiliśmy im dowieść przestępstwa. Wcale bym się nie śmiał, gdyby właśnie wśród nich krył się złodziej. Myślę, że prowadzimy śledztwo w rękawiczkach. Dobrze byłoby nieco postraszyć naszych przyjemniaczków. Eleganckie z nimi rozmowy do niczego nie doprowadzą. Ci ludzie inaczej by śpiewali po paru dniach pobytu w piwnicy. Już nieraz przekonałem się, że areszt doskonale odświeża ludziom pamięć.

- Nie możemy aresztować niewinnych ludzi - zaproponował pułkownik. - Kto chciałby zabrać głos?

- Ja - major Władysław Górecki wyjął z kieszeni kartkę i spoglądając na nią mówił: - W banku atmosfera nadal gorąca. O kradzieży mówi się bardzo dużo. Obecnie najczęściej szepczą po kątach, że jej sprawcami są strażnicy. To w tej chwili powszechna opinia w banku. Doszło to już do obydwu strażników. Sokolski udaje, że nic nie rozumie, natomiast Zaczewski wyraźnie jest zdenerwowany. Dzisiaj nie przyszedł do pracy dyrektor Lisak - kierownik sali operacyjnej. Leży w domu chory. W związku z tym powstały trudności z otwarciem skarbcza. Pieniądzy wprawdzie teraz tam nie trzymają, ale nadal znajdują się w skarbcu weksle i inne obligi. Trzeba było nawet opóźnić godzinę otwarcia okienek bankowych, bo jeden z trzech kluczy, jak panowie

wiedzą, znajduje się u dyrektora Lisaka.

- Jak sobie poradzono?

- Posłano jednego ze strażników do mieszkania dyrektora i przywieziono stamtąd brakujący klucz. W tej chwili posiada go mój szef - kierownik księgowości Jan Bilski.

Przy okazji ustaliłem, że w takich przypadkach zawsze posyłają strażników lub któregoś woźnego względnie urzędnika, a „rezerwowym” do posiadania klucza jest wtedy główny księgowy.

- To wszystko?

- Nie. Jest ważniejsza sprawa. Nie wiem, czy kapitan orientuje się, że strażnicy i woźni mają w kuchni swoje szafki. Takie metalowe szafki, jakie widuje się w szatniach fabrycznych. Tam trzymają swoje osobiste rzeczy. Skorzystałem z okazji i dyskretnie przeprowadziłem rewizję. Nie

znalazłem w nich nic ciekawego prócz tej oto rzeczy - tu major wyjął z kieszeni małe zawiniątko, rozwinął bibułę i pokazał zebrany niewielką, szarobrazową kulkę.

- Co to jest?

- Zwyczajny, dobrze wygnieciony kawałek wosku. Posługując się nim, można uzyskać odcisk każdej rzeczy. Na przykład klucza od sejfu.

- Gdzie to leżało?

- Na podłodze w kącie szafki pod gazetą.

- W czyjej szafce?

- Strażnika Zdzisława Zaczewskiego.

- Czy szafka była otwarta? - zapytał kapitan.

- Tak. Jedyne szafka woźnego Franciszka była zamknięta na nieskomplikowaną zresztą kłódeczkę. Otworzyłem ją natychmiast przy pomocy kawałka drutu. Tam też nie było nic ciekawego.

- Chciałbym i ja dodać parę słów w sprawie tego Zaczewskiego - powiedział porucznik Widera. - Zgodnie z poleceniem kapitana zbadałem przeszłość tego pana. Do banku przyszedł z Polskiego Radia, gdzie przedstawił świadectwo pracy w fabryce włókienniczej „Częstochowianka”, w której również był strażnikiem. Zwróciłem się telefonicznie do Częstochowy, żeby udzielili mi informacji, dlaczego

Zaczewski od nich odszedł. Otrzymałem odpowiedź, że takiego nazwiska nie znają i takiego strażnika nigdy nie mieli. Przystudiowałem obydwa życiorysy pisane własnoręcznie przez strażnika. Ten, który złożył w Polskim Radiu i ten późniejszy, znajdujący się w aktach personalnych banku.

Życiorysy znacznie się różnią. Zaczewski raz podaje, że przed wojną pracował w hucie w Sosnowcu. Drugi raz, że był pracownikiem fabryki bawełny w Dąbrowie Górniczej. Według pierwszego życiorysu w czasie okupacji pracował na kolei w Wilnie, według drugiego w prywatnym przedsiębiorstwie robót kolejowych „Sabo”, które prowadziło remonty torów na Kielecczyźnie i w Częstochowskim. Zbyt wielkie różnice jak na zwykłą pomyłkę.

Ten wosk i te luki w życiorysie to bardzo poważne poszlaki.

- Wiemy, że hobby Zaczewskiego to hodowla złotych rybek. Ustaliłem, że w tych kołach nasz strażnik uchodzi za znakomitego znawcę i jednego z największych hodowców w Polsce. Utrzymuje liczne kontakty z zagranicą, a wartość jego trzech akwariów amatorzy oceniają na ponad sto tysięcy złotych. Niektóre okazy warte są dla zbieraczy po parę tysięcy. Tyle zresztą za nie płacił Zaczewski.

- Kilka tysięcy złotych za małą złotą rybkę? - zdziwił się major.

- Właściwie nie są to złote rybki, tylko tak się je nazywa.

Najczęściej są to różne odmiany „welonów”. Cena niektórych dochodzi do kilkudziesięciu tysięcy dolarów za parkę. Tego rodzaju hobby jest równie kosztowne jak filatelistyka.

- Jakie wnioski? - zapytał pułkownik.

- Uważam, że mamy dostateczną ilość poszlak, aby tego Zaczewskiego aresztować i dalej prowadzić dochodzenie dla wyjaśnienia tych wszystkich niejasnych punktów życia strażnika - zakończył porucznik Widera.

- A co wy na to, kapitanie? - spytał pułkownik.

- Zgadzam się, chociaż nie przypuszczam, żeby Zaczewski ukradł ze skarbca pieniądze.

- Nie przypuszczasz?! - porucznik mówił nieco podnieconym głosem. - Wiemy, że Zaczewski jest doskonałym ślusarzem. Mamy dowody, że dorabiał klucze na podstawie odcisku na kawałku mydła. Znaleźliśmy wosk i dowiedzieliśmy się, że strażnicy nieraz przynosili od chorych dyrektorów klucze do skarbca. Cóż łatwiejszego dla Zaczewskiego jak w ten sposób zdobyć odciski kolejno wszystkich trzech kluczy i dorobić duplikaty? A przy okazji otworzyć trezor i ulotnić się z gotówką?

- Właśnie z gotówką. Gdzie te pieniądze?

- Nie bój się. Jak faceta przymkniemy, w zębach nam ją przyniesie. Wszystkie poszlaki są przeciwko niemu.

- Dlatego właśnie zgadzam się na areszt, ale powta-

rzam, że nie wierzę w jego winę.

- Wydaje mi się - pułkownik lekko się uśmiechnął - że ka-

pitan ma swoją własną teorię o tym, kto jest sprawcą kra-

dzieży, ale ta teoria może być błędna. Tutaj poszlaki są tego

rodzaju, że możemy zaryzykować aresztowanie Zaczewskiego po uprzednim przesłuchaniu go. Być może, zdoła się on wytłumaczyć z nagromadzonych przeciwko niemu zarzutów.

Myślę, że kapitan powinien natychmiast zażądać sprowadzenia do komendy tego strażnika i z miejsca go przesłuchać.

- Tak jest, panie pułkowniku. W tej chwili wydam polecenie - kapitan wyszedł z pokoju. Po jego powrocie pułkownik omawiał inne zagadnienia nie związane z kradzieżą w banku. Nie upłynęło pół godziny, a już dyżurny milicjant przyniósł meldunek. Po skończonej pracy, a właśnie dyżurował w banku nocą, strażnik nie wrócił do domu.

Wszystko wskazywało na to, że domyślając się podejrzeń, po prostu zwiął.

- Natychmiast wysłać listy gończe. Przed domem postawić wywiadowcę. Obserwować rodzinę. Pewnie będzie chciał nawiązać z nią kontakt - krótko polecił pułkownik.

- Poza tym zbadać, gdzie ma dalszą rodzinę, i zrobić tam rewizję. Musimy złapać go w ciągu najbliższych dni.

- Jeżeli dysponuje dziesięcioma milionami złotych, to może się dobrze ukryć. Za te pieniądze dużo można zrobić

- major był pesymistą.

- Galiński też miał miliony, a przecież został złapany - zauważył porucznik.

- Tak, ale dopiero po kilku miesiącach.

Upłynęło pięć dni gorączkowej działalności milicji. Listy gończe dotarły do wszystkich posterunków MO w całej Polsce. Na dworcach i na drogach, zaopatrzeni w rysopis i zdjęcia strażnika, milicjanci zatrzymywali i legitymowali setki podobnych do niego osób, lecz bez skutku.

Strażnik zniknął, jak gdyby się w wodę zapadł.

Ustalono adresy krewnych żony strażnika i dokonano rewizji. Żona i reszta rodziny twierdziła, że krewni Zaczewskiego zginęli i nie ma on nikogo bliższego. Poszukiwania w Częstochowie, ostatnim rzekomym miejscu pracy uciekiera, również nie dały wyniku. Żona strażnika była pod ścisłą obserwacją, lecz nie stwierdzono, aby zbieg usiłował nawiązać z nią jakiś kontakt. A więc mimo zaangażowania wielkiego aparatu milicyjnego - kompletne fiasko.

Rankiem szóstego dnia, gdy kapitan siedział w swoim pokoju w Pałacu Mostowskich, zadzwonił telefon:

- Biuro przepustek. Do obywatela kapitana zgłosił się obywatel Zaczewski i prosi o wystawienie przepustki.

- Kto się zgłosił? - spytał zdumiony oficer.

- Obywatel Zdzisław Zaczewski. Czy wystawić przepustkę?

- Dajcie go jak najprędzej! I pilnujcie, żeby się nie rozmyślił i nie próbował uciec.

Gdy Zaczewski wszedł do gabinetu, dopiero wtedy ka-

pitan zauważył, że strażnik jest znacznie starszy, niż wydawał się w mundurze. Miał co najmniej 60 lat. W czasie pierwszego przesłuchania kapitan po prostu nie zwrócił uwagi na jego wiek. Teraz Zaczewski wyglądał doskonale, był starannie ogolony i bardzo opalony.

- Melduję się, panie kapitanie - zaczął strażnik po wojskowemu stając na baczność. - Milicja mnie szuka, więc jestem.

- Co się z wami działo? Siadajcie i mówcie kolejno. Dlaczego uciekliście? Czy przyznajecie się do kradzieży w banku?

- Nie. Nie przyznaję. Uciekłem, bo bałem się aresztowania.

- A teraz już się nie boicie?

- Teraz też się boję, ale rybki...

- Co mają do tego rybki?

- Trzeba im zmienić wodę, bo inaczej usną. Dlatego zgłosiłem się do pana kapitana. Przyznam się do wszystkiego i wszystko powiem jak na spowiedzi. Najszczerzą prawdę, ale pan kapitan pozwoli mi wrócić do domu, zmienić rybkom wodę, zostawić polecenie żonie, jak mają karmić i wspólnie z moim przyjacielem, też hodowcą, dbać o rybki, dopóki nie wrócę. Może mi zresztą pozwolą je wziąć do więzienia?

- Dobrze - obiecał kapitan. - Po przesłuchaniu będziecie mogli pojechać do domu i zaopiekować się swoimi „we-

lonami". A teraz mówcie. Jak dostaliście się do skarbcza?

Skąd mieliście klucze? Uprzedzam, mówcie prawdę. My i tak już wiemy.

Strażnik spojrział ze zdziwieniem na kapitana i powiedział pewnym głosem.

- Wcale nie dostawałem się do skarbca. Dawno z tym skończyłem.
- Jak to?
- Powtarzam panu kapitanowi. To nie ja ukradłem te pieniądze.
- To dlaczego uciekliście?
- Bałem się, że wszystko się wyda. Wiedziałem, że milicja zaczęła mnie śledzić. Domyślałem się, że jak zaczną grzebać, to dogrzebią się całej prawdy. Uciekłem, ale nie mogłem rzucić rybek. One bez mnie zmarnieją i dlatego przyszedłem tu z własnej woli.
- Zdaje się, że się nie dogadamy. Zacznijmy od początku - powiedział kapitan i wyjąwszy blankiet protokołu zaczął zadawać kolejne pytania:
 - Imię i nazwisko?
 - Zdzisław Paczewski.
 - Paczewski? Przecież macie w dokumentach Zaczewski?
 - Naprawdę to ja się nazywam Paczewski. Później przerobiłem sobie nazwisko na Zaczewski. Imię, data i miejsce urodzenia te same.
 - Dlaczego sfalszowaliście dokumenty?
 - Powiem całą prawdę, tylko pan kapitan pamięta, że obiecał mi te rybki, zmienić wodę w akwarium...

- Obiecałem i dotrzymam. Mówcie!

- Ja byłem przed wojną złodziejem. Otwierałem wytrychami i podrobionymi kluczami puste mieszkania i okradałem je. Nie było dla mnie zamka, żeby nie umiał go otworzyć. Cztery razy mnie złapano. Przeszło dziesięć lat siedziałem po różnych więzieniach. Kiedy wybuchła wojna, to miałem jeszcze trzy lata odsiadki. Siedziałem właśnie w Białymstoku. Kiedy przyszli Niemcy, to nas wypuścili, bo odstępowali miasto Ruskom.

- Mówcie wolniej, bo muszę notować.

- Wtedy wyjechałem do Częstochowy. Pochodzę z tego miasta i mam tam dużo rodziny.

- I znowu otwieraliście „puste” mieszkania?

- Nie. Jeszcze gorzej. Wstąpiłem do policji. Znaczą do granatowej policji. Ale przysięgam, nic złego nie robiłem.

Żydów nie łapałem, do Polaków nie strzelałem. Tyle że pełniłem służbę w komisariacie i niejednemu pomogłem. Mogę podać nazwiska ludzi, których ostrzegłem.

- A potem uciekliście?

- Jak tylko Armia Czerwona zajęła miasto, tego samego dnia uciekłem do Dąbrowy Górniczej. Tam przerobiłem „kennkartę” z Paczewskiego na Zaczewskiego i pracowałem parę lat w miejscowej fabryce włókienniczej. Ale ciągle się bałem i dlatego namówiłem mojego krewnego, który pracował w „Częstochowiance”, żeby zwolnił się z fabryki i wziął świadectwo pracy. On miał rozpocząć pracę w firmie budowlanej, gdzie żadne papiery nie były mu potrzebne, a ja z tym świadectwem, na którym literę „P” zmieniłem na „Z”, przyjechałem do Warszawy szukać roboty. W Polskim Radiu akurat potrzebowali strażników. Nie było kandydatów, bo strażnikom mało płacą. Zgłosiłem się. Widocznie nie sprawdzali mojego świadectwa, bo od razu mnie przyjęli. Tam pracowałem przeszło 6 lat. Ale do Radia przyszedł jeden pan z Częstochowy. W czasie wojny był nauczycielem w szkole powszechnej. Znałem go z czasów pracy w policji. Ten pan nie od razu mnie poznał, lecz nieustannie mi się przyglądał. Miałem stracha, że w końcu przypomni sobie, gdzie mnie widywał. Kiedy się dowiedziałem, że w banku poszukują strażników, szybko się

tam przeniosłem. To wszystko, co mam do powiedzenia. Teraz możecie mnie zamknąć, ale pan kapitan przyrzekł...

- A ta kradzież w skarbcu?

- Panie kapitanie, powiedziałem to, co wiem, ale ze skarbcem nie miałem nic do czynienia. Ja z tym fachem skończyłem raz na zawsze.

Jarkowski wyjął z szuflady pudełko, otworzył je i wyjął z niego małą, okrągłą kulkę. Pokazał ją strażnikowi.

- Widzicie, co to jest? Wiecie, do czego służy?

- Widzę. Wosk. Można na nim zrobić formę klucza, chociaż ja używałem zawsze albo mydła, albo plasteliny. Lepsze.

- Ten wosk znaleźliśmy w waszej szafce w banku.

Nawet najwspanialszy aktor nie umiałby odegrać nie-
mej sceny tak doskonałego zdziwienia, jakie odbiło się na
twarzy Zaczewskiego.

- W mojej szafce? W banku? Nigdy nic takiego nie miałem.

- Więc skąd znalazł się tam ten воск?

- A pan kapitan wie, skąd znalazło się 50 tysięcy złotych w szufladzie pana Ligmana? To ja panu powiem. Ta sama ręka włożyła mi ten воск. Niech pan go pokaże - strażnik wziął podaną sobie kulkę i obracał przez chwilę w palcach. - Dobrze wygnieciona. Fachowiec posługiwał się tym woskiem, ale plastelina lepsza. Воск kruszy się i czasami odskakuje. Nie daje tak dobrej formy. Nawet mydło lepsze.

- Po co ktoś miałby wam go podrzucić?

- A po co podzucił pieniądze Ligmanowi? Najpierw jego chciał przypuścić do sprawy, a kiedy to się nie udało, mnie zahaczył.

- Zaczewski, byliście i złodziejem, i policjantem, musicie orientować się w tej kradzieży.

- Powiem panu kapitanowi. Ukradł dobry fachowiec. Taki, który potrafi podrobić te klucze. Widziałem je nieraz. Przynosiłem do banku, kiedy któryś z panów dyrektorów zachowywał. To trudna robota i wymagająca doskonałego oka.

Wosk podzucił, bo na wosku pracował. Widząc teraz, że milicja depcze mu po piętach, usiłuje skierować podejrzenie na

kogoś innego. Nie udało się z Ligmanem. spróbował ze mną.

Poszło mu tym łatwiej, że... Jak już powiedziałem panu kapitanowi, miałem powody, aby trzymać się z daleka od milicji.

- Gdzie pan się ukrywał?

- Poszedłem na Wybrzeże Kościuszkowskie i kupiłem

bilet na statek do Gdańska. Mam tam kilku przyjaciół -

hodowców rybek. Mógłbym tam siedzieć parę tygodni

i nikt by mnie nie znalazł. Dopiero w drodze przypomnia-

łem sobie, że w sobotę wypada termin zmiany wody w mo-

ich akwariach. Wysiadłem więc i również statkiem wróci-

łem. Przypuszczałem, że milicja mnie szuka i wszystkie

dworce i roгатki są obstawione, ale byłem spokojny - na

Wiśle mnie nie znajdą.

- Powiedzcie jeszcze jedno. Co chcieliście ukraść i czego szukaliście w mieszkaniu starej Potulickiej.

- To wielka cholera, ta stara. Nic nie chciałem ukraść.

Miałbym lepsze okazje. Ale tam w piwnicy leży i niszczeje

piękne, zagraniczne akwarium. Oglądałem to akwarium.

U nas takich nie ma. Chciałem je kupić i parę razy prosiłem

panią Potulicką, aby je sprzedała, lecz odmówiła mówiąc, że

to pamiątka, bo kiedy wnuczek był mały, lubił się bawić przy

tym akwarium. Kilka razy schodziłem do piwnicy, aby do-

brze je obejrzyć i samemu podobne skonstruować.

- Szukaliście czegoś na szafie lub za szafą?

- Akwarium miało bardzo dowcipne urządzenie do zasilania wody powietrzem. Teraz było to już zepsute i połamane, lecz pan Czesław mówił, że motorek i inne przyrządy z wyposażenia akwarium leżą gdzieś na szafie lub pod nią. Tam ich szukałem, gdy mnie Potulicka złapała. Nie pozwoliła mi się wytłumaczyć, a zaczęła krzyczeć: „Złodziej, złodziej, precz z mojego domu, milicję zawołam!” Dorabiałem do tego mieszkania klucze i gdybym chciał ją okraść, zrobiłbym zapasowy komplet i w czasie nieobecności domowników zabrał, co potrzeba, i ładnie zamknął. Dopiero przy okazji spostrzegliby, że czegoś brakuje.

Wiem, że przedmioty wartościowsze pani Potulicka trzyma w starej sekreterze, a nawet do niej nie podchodziłem. Ale jakie mogą być zamki w takim starym gracie? Szpilką by otworzył. Ze starym „fachem” dawno skończyłem. Kiedy ostatni raz wyszedłem z więzienia, dałem sobie słowo, że nie wezmę wytrycha do ręki i święcie tego dotrzymałem. Moja wina, że później do tej granatowej policji poszedłem, ale bałem się łapanek i myślałem, głupi, że w ten sposób bezpiecznie przeżyję wojnę.

- Młody Potulicki pokazywał wam klucze od skarbca?

- Kiedy dorabiałem dla pani Potulickiej klucze do „Yale”, pan Czesław pochwalił się, że ma taki komplet, który otwiera wszystkie zamki, a nawet zatrzaski. Pokazał mi

wtedy trzy kluczyki. Miałem je w ręku może z dziesięć sekund. Nawet nie mogłbym zrobić odcisku. Nieraz wprowadzie nosiłem klucze z mieszkań panów dyrektorów, ale nigdy trzy na raz i nigdy specjalnie im się nie przyglądałem. Poza tym skąd mogłem przypuszczać, że taki, za

przeproszeniem, smarkacz ma klucze, które w banku daje się tylko najbardziej zaufanym osobom? Wiem, że nie ma żadnych dowodów na to, co mówię, i cała moja przeszłość przemawia przeciwko mnie, ale ja nie okradłem banku. Pracuję w nim prawie siedem lat, do emerytury pozostało tylko kilka i po co miałbym na starość robić taki „skok”? Przecież mogłem zdobyć odciski kluczy dużo wcześniej. Nie musiałem czekać na okazję aż sześć lat. Były nieraz lepsze. Czasem zdarzało się, że kolega zachorował i sam byłem na dyżurze. Wtedy łatwiej byłoby pracować przy otwarciu skarbcza.

- Okradliście bank, ponieważ potrzebowaliście pieniędzy na swoje złote rybki. Wiemy, że płaciliście za niektóre okazy po kilka tysięcy złotych.

Strażnik roześmiał się.

- Panie kapitanie - powiedział - płaciłem. Ale wy wiecie jedynie o tym, że płaciłem, lecz nie interesowaliście się tym, ile razy sprzedawałem cenne okazy za grubszą forszę. Każdy wykwalifikowany hodowca ma spore dochody ze swojego akwarium. Kupuje wprawdzie za duże pieniądze parki rzadkich okazów, ale później z jednej takiej pary dochowa się licznego potomstwa. Na zwykłych, popularnych

gatunkach również się zarabia. Mogę się pochwalić, że w sumie mam z mojego „gospodarstwa rybnego” większy dochód niż pensja w banku.

- Ejże?

- Prawdę mówię. Niech pan sprawdzi u innych hodowców. Choćby u Walerka Karpińskiego. To ten były bokser.

Po wojnie służył w milicji i jemu pan chyba uwierzy.

A spółdzielnie i prywatne sklepy, których w Warszawie jest kilka, to dokładają do interesu? Przy tym oni nie mają naprawdę dobrych, poszukiwanych przez amatorów okazów.

- Jeżeli jesteście niewinni, to dlaczego mówiliście urzędnikom w banku, że już dochodzi siódma, a nazajutrz

w czasie przesłuchania zeznaliście, że wydział księgowości wyszedł z banku pięć minut przed siódmą? Mało, że sami tak zeznaliście, ale i innym wmówiliście, że o tej godzinie opuścili budynek.

- To prawda. Tak zeznałem i zależało mi na tym, aby wszyscy to potwierdzili. Za kwadrans siódma umówiłem się z jednym kolegą na przystanku trolejbusu prawie naprzeciwko banku. Miałem dla niego rybki. Trzymałem je w butelce w swojej szafce w kuchni. Tamten kolega mieszka w Łodzi i nie mógł później przyjść, bo nie zdążyłby na ostatni pociąg. Tego nie wolno robić. Strażnikowi nie wolno wychodzić z gmachu, a po godzinie trzeciej poza pra-

cownikami banku nikomu nie wolno wchodzić do budynku. Musiałem więc pozbyć się panów z księgowości i wóźnego Nawrockiego, żeby nikt nie zauważył, że opuszczam swój posterunek w szatni. Strażnik Sokolski wiedział, że muszę na chwilę wyjść, ale kryłby mnie, bo razem pracujemy od wielu lat.

- I czasem razem popijamy?

- Jakie tam popijanie. Raz on postawi ćwiartkę, gdy mu coś podleci, czasem ja zapraszam na jednego, gdy dobrze rybki sprzedam albo tanio kupię. Na służbie i po pracy nikt nie widział mnie pijanego.

-Ale na drugi dzień też mówiliście, że wszyscy wyszli za pięć siódma, tuż przed przyjściem zmiany i administratora.

- Bo bałem się, że ktoś mógł mnie przypadkowo zobaczyć poza bankiem. Jeżeli panowie urzędnicy wyszli o siódmej, to miałem tłumaczenie, że rozmawiałem z kolegą po ich wyjściu, a więc po skończeniu również mojego dyżuru. W ten sposób byłem kryty. Ten, kto by mnie zobaczył, na pewno nie zapisywałby godziny. Najwyżej na drugi dzień powiedział: „widziałem was, Zaczewski, na ulicy przed siódmą”. Ja na to miałbym gotową odpowiedź: „nie, panie dyrektorze, to musiało być już po siódmej, bo do siódmej byli w banku panowie z wydziału księgowości i widzieli, że nigdzie nie wychodziłem. Opuścili budynek

tuż przed przyjściem zmiany i pana administratora." Gdyby nawet nastąpiła taka wsypa, każdy z urzędników księgowości poświadczyłby, że do ich wyjścia nie opuszczałem banku. O to mi chodziło.

- Ale kiedy wyszliście, to Sokolski został w budynku sam i mógł spokojnie otworzyć skarbiec i zabrać pieniądze.

- Sokolski na pewno tego nie zrobił. W tym czasie musiał stać w szatni, żeby otwierać drzwi. Przecież zaraz mogła przyjść zmiana albo administrator. Strażnicy zmianowi zawsze przychodzą trochę wcześniej.

- W takim razie administrator mógłby was nakryć.

- Pewnie, że mógłby. Ale niewielka szansa. Administrator przede wszystkim obchodzi wszystkie pokoje i sprawdza, czy posprzątane i czy szafy i biurka pozamykane. Zdążyłbym niepostrzeżenie dostać się z powrotem. Zresztą administrator rozumie, że strażnik niekiedy musi pójść do budki po papierosy lub po gazetę. Nie oddaliłem się na tyle, aby stracić z oczu budynek banku. O, gdyby złapał mnie pan dyrektor Helski lub woźny Franciszek, miałbym dużą nieprzyjemność. Helski wymaga, aby wszystko zawsze było w porządku, z Franciszka również wielki rygorysta.

- Ale Sokolski miał pięć minut na otwarcie skarbca.

- Po co miał otwierać w pięć minut? Nieraz i Sokolskiemu zdarzało się, że był sam w banku całe popołudnie albo nawet całą noc.

- W nocy stróż chodzi naokoło budynku.

- Chodzi! Ale łatwo go zagadać. Zresztą stale nie chodzi.

Raz na pół godziny nakręca zegar. Wtedy przejdzie koło okien skarbca, a zazwyczaj siedzi na klatce schodowej pro-

wadzącej do mieszkań nad bankiem i wygląda przez okienko. W dzień dozorca nie ma, a Sokolski właśnie w dzień sam zostawał. Po wyjściu sprzątaczek i woźnego, a zwykle opuszczają oni bank przed szóstą, miałby ponad godzinę na dostanie się do milionów. Sokolski, panie kapitanie, jest niewinny. Wszystkie swoje rybki mogę postawić na to, że on nie wziął tych milionów. To bardzo porządny człowiek.

- Też chowa rybki?

- Ile razy go namawiałem! Dałbym mu przecież bezpłatnie dobre okazy. Śmiał się ze mnie, że mogę mu dać karpia na święta. Nie ma ten człowiek żadnego zrozumienia dla rybek.

- Jak często zmienia się wodę w akwarium?

- U delikatniejszych okazów raz na dwa tygodnie.

U zwykłych wystarczy co miesiąc. Teraz, kiedy prąd podrożał, trzeba będzie częściej, aby za dużo nie płacić i jak najmniej korzystać z pompki tłoczącej powietrze do wody.

- Sprawdzimy wasze zeznania - rzekł kapitan. - A teraz idźcie zmieniać tę wodę.

Strażnik wstał, ukłonił się kapitanowi, podszedł do drzwi i stanął w postawie wyczekującej. - Na co czekacie?

- Na eskortę.

- Milicja nie jest niańką i ludzi do domu nie odprowadza. Sami traficie.

- To pan mnie nie aresztuje? - w głosie strażnika

brzmiało niedowierzenie.

- Idźcie do domu, a jutro meldujcie się do pracy. Na razie jesteście wolni. Tylko nie radzę uciekać po raz drugi, bo położę areszt na waszych rybkach. W sprawie sfalszowania dokumentów zadecyduje prokurator. Resztę sprawdzimy i postanowimy, co dalej z wami robić.

- Bardzo dziękuję panie kapitanie - strażnik uklonił się i wyszedł.

Porucznik Roman Widera, który przez cały czas był milczącym świadkiem tej rozmowy, aż zerwał się zza swojego biurka.

- Wiesz, Piotr, ty powinieneś wstąpić do franciszkanów, a nie pracować w milicji. Coś ty zrobił?!

- Co zrobiłem? Zwolniłem niewinnego człowieka.

- Niewinny? Kasiarz i granatowy policjant. U ciebie każdy niewinny. Włóż habit i wygłaszaj przemówienia do kwiatków i ptaszków. Wtedy będziesz miał do czynienia z niewinnymi. Masz w ręku sprawcę kradzieży, masz wszystkie dowody i wypuszczasz go?

- Nie mam wszystkich dowodów. Mam tylko poszlaki.

Nie znalazłem pieniędzy. Dopóki ich nie znajdę, muszę przyjąć, że każdy z tych ludzi jest niewinny.

- W ten sposób do niczego nie dojdiesz. Tysiące ludzi

szukało tego strażnika tylko po to, żebyś mu kazał zmienić wodę w akwarium. To nie do wiary. Jak można było zwolnić złodzieja i policjanta w jednej osobie?

- Przecież nie zamkniesz go za to, że nie zdążył odsiedzieć przedwojennego wyroku? To już przedawnione. Był policjan-

L49

tem w czasie okupacji. To jest przestępstwo, bo nie zgłosił się do weryfikacji. Ale w ciągu ostatnich osiemnastu lat ogłoszono dwie czy trzy amnestie. Jeżeli nie popełnił innego przestępstwa, a był jedynie zwykłym pionkiem w policji, nie mamy podstawy do aresztowania. Jutro wyślę pismo do Częstochowy z zapytaniem o byłego granatowego policjanta Paczewskiego, ale nie przypominam sobie tego nazwiska na liście osób poszukiwanych za zbrodnie okupacyjne. Czy nie jest bardziej logiczne przyjąć, że ten człowiek już się poprawił? Osiemnaście lat żył uczciwie i dobrze pracował. Mam go teraz zamykać bez żadnych poważniejszych powodów?

- A kradzież w banku?

- W tej chwili nie możemy mu jej udowodnić. Jest tak samo podejrzany jak inni. Dlaczego on, a nie Helski? Albo Ligman lub Rzeszewska, czy Sokolski, który sam został w banku? Ich nie aresztowaliśmy mając równie ważne poszlaki i nie będziemy robili wyjątku dla eks-kasjarza.

- W ten sposób śledztwo można prowadzić latami i nie dojść do żadnego rezultatu.

- Mylisz się! Śledztwo zasadnicze jest już skończone.

Aresztowanie sprawcy to sprawa najbliższych dni.

- Mogłeś dzisiaj to zrobić. Miałeś go przed sobą w tym pokoju.

- Jeżeli ten Paczewski czy Zaczewski, sam nie wiem, jak go teraz nazywać, jest złodziejem, to nam nie ucieknie.

Zgłosił się dobrowolnie i nie będzie wiał po raz drugi. Zresztą nie zaszkodzi wzmocnić nad nim dozór.

- Coraz częściej dochodzę do wniosku, że za dobry jesteś na pracę w milicji. Za bardzo wierzysz ludziom.

- Mylisz się. Ciągłe się mylisz. Powiem ci szczerze, że nie rozumiesz tej sprawy. To nie jest typowa kradzież.

Dlatego nie można tu stosować typowych metod śledztwa.

To jest twój największy błąd, że patrzysz na kradzież w Powszechnym Banku Rzemiosła przez pryzmat innych przestępstw, którymi masowo się zajmowałeś. Bądź spokojny,

nie z dobrego serca zwolniłem tego strażnika i kazałem mu jutro rano stawić się do pracy w banku. To jest jedno z moich posunięć. Od pierwszego dnia rozpoczęcia dochodzenia gram z przestępcą dziwną partię szachów. On robi ruch, ja odpowiadam. On atakuje, nawet szachuje, ja się

bronię, aby z kolei przejść do ataku. Właśnie teraz zrobiłem kolejny ruch. Zaszachowałem. Otaczam przeciwnika

i brakuje mi jedynie paru posunięć dla zadania mu mata.

- Nigdy nie interesowałem się grą w szachy i twoje porównania mnie nie przekonują. Mówisz jednak z taką pewnością, jak gdybyś znał przestępcę?

- Oczywiście. Prawie od pierwszego dnia objęcia śledztwa

znam jego imię i nazwisko oraz wszelkie inne personalia.

-I nie aresztujesz go? Pozwalasz chodzić mu na wolności?

- Bo wiem, że nie ucieknie. Nie mogę go jednak aresztować, bo jeszcze nie potrafię dowieść mu przestępstwa.

- Bardzo jest to dla mnie dziwne. Uważaj, żebyś nie wpadł.

- Nie bój się, sytuacja rozwija się zgodnie z moimi przewidywaniami.

- Powiedz, kto to jest? Helski? Ligman? Ten strażnik?

Inni dyrektorzy? Woźni? Urzędnicy z buchalterii?

- Masz rację. Jeden z wymienionych przez ciebie.

- Niech cię diabli! - porucznik był naprawdę zły. - Nie dogadam się z tobą. Powtarzam jednak, że natychmiast bym zamknął tego byłego kasiarza.

- A ja nie. Wierzę, że ludzie, którzy hodują złote rybki i dla ich życia są gotowi poświęcić swoją wolność, nie mogą być źli.

ROZDZIAŁ XI

Gdy parę minut po ósmej kapitan Piotr Jarkowski wchodził do gmachu Powszechnego Banku Rzemiosła, stary woźny Franciszek powitał go w szatni ukłonem. Po raz pierwszy ten ukłon nie był mieszanią bezczelności i lekceważenia, lecz wyrazem szacunku. Informując oficera milicji, że „pan prezes jeszcze nie przyszedł, ale tylko go

patrzeć", Franciszek zauważył konfidencyjnie:

- Pan kapitan zwolnił Zaczewskiego?

- Nie mogłem go zwolnić, bo wcale go nie aresztowałem.

W tej sprawie zaaresztuję jednego człowieka - złodzieja.

- Porządny człowiek z pana kapitana. I pan wie, co robi.
- A pan, panie Franciszku, nie ma mi nic do powiedzenia?
- Co ja tam wiem? Zwykły woźny jestem.
- Nadal uważa pan, że niepotrzebnie nas tu wezwano?
- Nie moje rządy. Pan prezes kazał i załatwione. Ale prezes Potulicki na pewno nie wzywałby milicji.
- Bo jej wówczas jeszcze nie było.
- Nie wiem, nic nie wiem. Niech pan kapitan poczeka na prezesa na górze.

Widząc, że ze starym uparciuchem nie poradzi, kapitan poszedł na pierwsze piętro. Tu na zwykłym miejscu dyżurował strażnik Zaczewski, który nisko uklonił się oficerowi milicji.

- Jak tam rybki?
- Całą noc pracowałem. Musiałem wyczyścić wszystkie akwaria. Trzy ładne okazy usnęły. Na nikim teraz nie można polegać, nawet na najbliższych. Człowiek wyjechał na kilka dni i już taka strata. Zapomnieli kiedyś włączyć pompkę.

Kapitan usiadł w fotelu, wyjął gazetę i zaczął ją przeglądać. Nie zdążył jednak tytułów przeczytać, gdy nadzedł naczelny dyrektor banku Marian Chudziński i poprosił oficera do swojego gabinetu.

Była to długa narada. Trwała przeszło półtorej godziny. Jej rezultatem było rozporządzenie prezesa, że nazajutrz o godzinie jedenastej mają się stawić w jego gabinecie: cały wydział księgowości, dyrektor Helski, woźny Nawrocki, czterech strażników i obydwie sprzątaczkę. Razem 14 osób.

Bardzo dziwne było to zebranie. Uprzednio woźny Franciszek przyniósł do gabinetu większą ilość krzeseł i postawił je naokoło pod ścianami. Wszyscy zaproszeni spotkali się na galerijce pierwszego piętra. Dyrektor Helski pierwszy zapukał i wszedł do pokoju naczelnego dyrektora. Za nim - reszta.

Prezes Chudziński poprosił przybyłych o zajęcie miejsc, po czym przeprosił zebranych, że zostawi ich na chwilę samych, lecz jego nieobecność potrwa bardzo krótko.

Uczestnicy tego dziwnego zgromadzenia znali się doskonale. Wiedzieli, że to właśnie oni są posądzeni o kradzież 10 milionów złotych z zamkniętego skarbcza banku.

Jedni patrzyli podejrzliwie na innych, drudzy unikali wzroku sąsiadów. Nikt też nie odezwał się ani słowem. Nawet Jaworek, urzędnik księgowości, słynący jako najdowcipniejszy człowiek w całym banku tym razem stracił cały swój koncept i milczał. Prawie z radością powitano więc powrót prezesa, który wszedł razem z dwoma oficerami milicji. Kapitan

Jarkowski trzymał w ręku pękata, dobrze wypchaną teczkę.

- Proszę panów, a właściwie proszę państwa, bo mamy tu i trzy panie - zagaił prezes. - Zaprosiłem was do siebie na prośbę przedstawicieli milicji. Domyślcie się zapewne, że chodzi o smutne wydarzenie, jakie miało miejsce w naszym banku przed kilkunastu dniami. Oddaję głos kapitanowi Jarkowskiemu.

- Przede wszystkim dziękuję panu prezesowi za zebranie państwa tutaj. Możemy w tym gabinecie spokojnie ostatni raz porozmawiać. Śledztwo w sprawie kradzieży zostało właściwie zakończone.

Pracownicy z zaciekawieniem spoglądali na oficera milicji, on zaś ciągnął dalej.

- Gdy rozpoczynaliśmy dochodzenie, bez trudu ustaliliśmy, że kradzieży mógł dokonać tylko ktoś z wewnątrz - pracownik banku. Taką możliwość miały jedynie te osoby, które przebywały w gmachu banku między godziną trzecią, to jest wtedy, kiedy kończy się urzędowanie, a ósmą rano następnego dnia - godziną rozpoczęcia pracy w banku. Nie było też trudno ustalić, że potencjalne możliwości dokonania kradzieży miało 14 osób. Właśnie wszyscy tu obecni, oczywiście z wyjątkiem pana prezesa i nas dwóch, przedstawicieli milicji.

Dyrektor Helski nerwowo wyciągnął z kieszeni papiero-

śnicę, wyjął papierosa i zapaliwszy go, głęboko się zaciągnął.

Gdyby nawet nikt nie zauważył, że drżały mu przy tym ręce, i tak można było się zorientować, w jakim stopniu jest zde-
nerwowany. Prezes Chudziński nie palił i nie znosił, aby
w jego gabinecie ktoś sięgnął chociażby po zapalki.

- Ustaliliśmy również, że kradzieży dokonał jeden człowiek. Posłużył się kompletem kluczy, które zostały dorobione. Człowiek ten w nie znany dotychczas sposób zdobył odciski woskowe oryginalnych angielskich kluczy do skarbca i następnie dorobił duplikaty tak dobrze, że dzięki nim zdołał otworzyć wszystkie zamki pancernych drzwi. Mając w swoich rękach klucze, przestępca czekał na dogodny moment dostania się do trezora. Mógł wielokrotnie dobrać się do kasy banku, ale wówczas stosunkowo łatwo byłoby ustalić tożsamość złodzieja. Cierpliwie czekał okazji, gdy liczba podejrzanych będzie jak największa. Wreszcie nadarzyła się taka sposobność. Cały wydział księgowości został po południu w banku, a po szczęśliwym zamknięciu bilansu zorganizował na miejscu małą uroczystość. Nie nazwałbym tego popijawą, bo wódki było niewiele. Ale właśnie to składkowe przyjęcie dało przestępcy wymarzoną okazję. Wszyscy obecni w banku, z wyjątkiem sprzątaczek, pili wódkę. Wszyscy schodzili do podziemia albo chłodzić wódkę, albo napić się wody sodowej trzymanej w lodówce. Nikt, nawet strażnicy, nie przebywał stale w jednym miejscu. Właśnie ten ruch dał naszemu spryciarzowi wielką szansę - takiego zabrania pieniędzy z kasy, aby każda z trzynastu osób była podejrzana. Czterna-

stym podejrzanym został dyrektor Helski, który następnego dnia przyszedł nieco wcześniej niż zwykle i wszedł do suterenu, gdzie spędził ponad 5 minut. Czas dostatecznie długi, aby spokojnie otworzyć kasę, zabrać miliony i z powrotem zamknąć skarbonkę. Nie zapominajmy, że dyrektor Helski był w szczęśliwszym położeniu niż inni. Potrzebował dorobić tylko dwa klucze, trzecim rozporządzał stale. Spojrzenia skierowały się na bladego jak ściana dyrektora.

- Powtarzam - ciągnął dalej kapitan - przestępca był bardzo sprytny. Działał szybko i zdecydowanie. Umiał też wybrać dla swojej akcji wspaniały moment. Nie popełnił i później żadnego błędu. Nie ruszył pieniędzy, które wpadły w jego ręce. Od powodzenia nie dostał zawrotu głowy. Codziennie, jak gdyby nigdy nic, przychodził do pracy. Spokojnie i sumiennie wykonywał swoją robotę. Umiał czekać na najlepszą chwilę dla dokonania kradzieży i potrafił również wyczekiwać na przyszłe, spokojne spożycie owocu swojego czynu. Tymczasem śledztwo pozornie nie posuwało się naprzód. Milicja przesłuchiwała wiele osób, ale na przesłuchaniach się kończyło. Spośród czterdziestu jeden byli bardziej obciążeni poszlakami, inni mniej. Dla niewtajemniczonego jednak nie działało się nic ciekawego. Ale zapewniam państwa, że były to tylko pozory. Wszyscy się poruszyli i z jeszcze większym zaciekawieniem patrzyli na oficera milicji. Ten mówił dalej:

- Nie ma przestępstw doskonałych. Każdy zbrodniarz popełni błąd, który go w końcu zdemaskuje. Również i nasz bohater popełnił taki błąd. Nawet nie błąd, a małe niedopatrzenie. Wiedział dobrze o daktyloskopii i o śladach, jakie zostawiają odciski rąk na różnych przedmiotach. Strzegł się tego. Rzeczywiście, badania daktyloskopijne nie dały pozytywnego wyniku. Ale daktyloskopia to już przeszłość. Nowoczesna kryminalistyka ma inne oręża do walki ze zbrodnią, znacznie doskonalsze i bardziej precyzyjne. Te nie zawiodły.

Kapitan sięgnął po leżącą obok niego wypchaną żółtą teczkę. Wyjął z niej pękaty skoroszyt w brązowej kartonowej okładce.

- Przeprowadziliśmy szereg skomplikowanych analiz.

Dowody, jakie zostawił sprawca kradzieży, były wprost mikroskopijne. Wszystkie te dowody znajdują się tutaj, w tej teczce. One bezbłędnie wskazały złodzieja. Wystarczy, abym wstał z krzesła, zrobił parę kroków i wygłosił sakramentalną formułkę: „proszę za mną”. Chciałem to zrobić na dzisiejszym zebraniu. Jednakże po naradzie z panem prezesem Chudzińskim, biorąc pod uwagę wiek przestępcy, jego dotychczasową niekaralność, lata pracy w banku - postanowiłem dać mu szansę. Ostatnią szansę. Na razie nikt poza mną nie zna nazwiska złodzieja. Nawet pan prezes.

Nikt też nie widział dowodów w nieomylny sposób demaskujących przestępcę. Dlatego możemy dać mu tę szansę.

- Bardzo panu dziękuję, kapitanie - powiedział naczelny dyrektor banku Marian Chudziński. - Mówię to w imieniu tego jednego z czternastki tu obecnych.

- Państwo zapewne wiedzą, że za popełnienie tak zuchwałej kradzieży złodziejowi grozi kara dożywotniego więzienia, a co najmniej 12-15 lat. Pan prezes prosił mnie, abym temu człowiekowi nie łamał życia. Zgodziłem się na to. Jeżeli w ciągu 24 godzin przestępca sam się przyzna i dobrowolnie zwróci pieniądze, gotów jestem przyjąć, że uczynił to z wolnej, nieprzymuszonej woli. Zapomnę o dowodach, które mam w tej teczce. Idę nawet dalej. Złodziej nie musi zgłaszać się bezpośrednio do milicji. Wystarczy, że przyjdzie do pana prezesa. Oczywiście przestępstwo jest przestępstwem i sprawca będzie musiał ponieść odpowiedzialną karę. Tylko że przy dobrowolnym przyznaniu się i zwróceniu pieniędzy zarówno prokurator, jak i sąd dopatrzą się wielu okoliczności łagodzących. W grę będzie wchodził tylko Kodeks karny, nie zaś ustawy specjalne, znacznie zaostrzające wymiar kary dla wielkich przestępstw gospodarczych. To jest wszystko, co mogłem zrobić na prośbę pana Chudzińskiego. To jednak bardzo wiele. Nie jest bez znaczenia dla złodzieja, czy dostanie dożywocie, czy na przykład cztery lata więzienia.

- Jeszcze raz panu dziękuję - powtórzył Chudziński.

- Nie myślcie, państwo, że was oszukuję. Jeżeli do jutra, do godziny jedenastej sprawca nie przyzna się, to w tym ga-

biniecie osobiście nałożę mu kajdanki na ręce. Niech nie próbuje ucieczki. Na nic to się zda. Zostanie zatrzymany, gdyby tylko chciał wsiąść do pociągu lub w jakikolwiek inny sposób opuścić granice Warszawy. Uważam, że pan prezes powinien poznać treść naszych dochodzeń i dowiedzieć się nazwiska złodzieja. Dlatego zostawię panu te akta do jutra. Nie muszę chyba dodawać, jak ważne dokumenty panu powierzam. Proszę dbać o nie jak o prawdziwy skarb. Gdyby zginęły, strata byłaby nie do powetowania.

- Niech pan będzie spokojny, kapitanie. Odbierze je pan jutro w całości - zapewnił naczelny dyrektor.

Oficerowie milicji powstali i wyszli z gabinetu. Wszyscy nadal siedzieli nieruchomo. Chudziński wziął do ręki szary skoroszyt, chwilę się namyślał, wreszcie włożył go po zostawionej przez kapitana żółtej teczki i powiedział:

- Ja również pragnę dać szansę przestępcy. Niech sam przyzna się do winy. Nie będę otwierał tych papierów. Gdybym poznał nazwisko złodzieja, może podświadomie mógłbym się z tym zdradzić. Po prostu nie potrafiłbym mu po dać ręki czy powiedzieć choćby słowo. Niech wszystko zostanie do jutra tak, jak jest. Schowam tę teczkę do kasy.

Prezes uchylił wiszący kilim, wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i jednym z nich otworzył pancerny schowek wmurowany w ścianę. Chciał tam umieścić teczkę, lecz okaza-

ło się, że jest za duża. Nawet po wyjęciu znajdujących się w schowku papierów nie chciała tam się zmieścić. Wobec tego Chudziński zamknął swój mały skarbca i zwracając się do dyrektora Helskiego powiedział:

- Dyrektorze, proszę, niech mi pan na chwilę pożyczy klucza od skarbca.

Helski bez słowa podał prezesowi długi, płaski klucz.

Chudziński wziął teczkę i stojąc już przy drzwiach powiedział:

- Proszę, niech państwo wrócą do swojej pracy. Zgodnie z tym, co powiedział kapitan, czekam na rozmowę z jednym z was przed wyznaczonym terminem. Jestem do dyspozycji. Tutaj do trzeciej, a później w domu. Zainteresowany może się zgłosić o każdej porze.

Skinął głową i opuścił gabinet. Wychodzący za nim pracownicy banku widzieli, jak w towarzystwie dyrektora Lisaka i głównego kasjera Jarosza schodził do podziemia trzymając w ręku żółtą teczkę.

W tym czasie, gdy prezes usiłował ulokować cenną teczkę w swoim pancernym schowku, w banku zdarzył się dziwny i rzadki wypadek. Właśnie dwaj oficerowie schodzili na parter. Zbiegiem okoliczności tuż przy schodach na sali operacyjnej stał urzędnik działu księgowości Władysław Górecki. W pewnym momencie podniósł rękę i za-

czął poprawiać włosy.

Nagle przy jednym z okienek wybuchła awantura. Jakiś klient, który coś załatwiał, podniósł głos i zaczął krzyczeć na urzędnika. Stojący z tyłu i czekający swojej kolejności inny interesant natychmiast włączył się do dyskusji między

Bogu ducha winnym urzędnikiem a krewkim jegomościem sprzed bankowej lady. Temu drugiemu również nie brakowało temperamentu, bo po paru równie głośnych słowach chwycił swojego rozmówcę za kołnierz i krzyżąc „won stąd, łobuzie” chciał go usunąć z kolejki. Teraz awantura zrobiła się już powszechna. Obaj szamocący się mężczyźni obrzucali się obelgami. Woźny Franciszek pośpieszył z szatni z interwencją. Z góry zbiegł strażnik. Wszyscy urzędnicy i wszyscy obecni w banku przerwali czynności i albo gapili się na awanturników, albo usiłowali ich rozdzielić.

Tymczasem nie zauważony przez nikogo Władysław Górecki poprowadził oficerów milicji w głąb sali operacyjnej, za kasę, tam, gdzie znajdują się schody prowadzące do suterenu. Rozejrzał się uważnie i zastawiając schody swoją osobą dał ręką znak. Kapitan Jarkowski i porucznik Widera szybko zbiegli na dół i weszli do pomieszczenia, w którym znajdowała się lodówka i różne stare, od dawna nieużywane meble.

Porucznik Widera nie śpiesząc się zamknął za sobą drzwi. Zapalił światło. Oficerowie rozejrzeli się po rupieciarni. Kapitan zauważył:

- Najlepiej będzie ulokować się tam, gdzie stoi znane nam już biurko byłego personalnego Kazimierza Cokoła.

W razie czego można za nie się schować. Gaś światło i za-

pal latarkę elektryczną.

- Idź pierwszy. Ja zaraz przyjdę. Trzeba się najpierw zaopatrzyć.

Otworzył lodówkę i wyjął z niej kilka butelek wody sodowej. Następnie zgasił światło i posługując się latarką elektryczną dotarł w sam kąt rupieciarni. Tutaj oficerowie ustawili wygodnie dwa stare fotele i przesunęli dwie szafy, tak że nawet gdyby ktoś wszedł i zapalił światło, nie mógłby ich zobaczyć.

- Nikt tu nie wejdzie. Najwyżej przyjdą po wodę, otworzą lodówkę i pójda - zauważył porucznik.

- Niemniej trzeba zachować wszystkie środki ostrożności.

- Nie bój się! Awantura była na sto dwa. Na sali nikt na nas nie patrzył. A tamci siedzieli jeszcze w gabinecie Chudzińskiego. Szkoda, że nie wziąłem kart. Zagralibyśmy w tyśiąca. Swoją drogą, ciekaw jestem, czy rybka złapie się na twoją przynętę. Będzie dobry kawał, jeżeli nie da się nabrać.

- Żaden kawał. Zgodnie z przyrzeczeniem zaaresztuję go jutro w gabinecie prezesa. I osobiście założę mu kajdanki, jak to obiecałem.

- Noo! Mnie możesz nie bujać. Pomysł, przyznaję, pierwszorzędny. Wymyśliłeś to znakomicie. A gadane miałeś, sam bym uwierzył, że w teczce masz nie stare gazety, tylko wspaniały materiał śledczy. Ale czy ten facet w to uwierzy?

- Wolna jego wola. Albo złapiemy go na gorącym uczynku, albo przyzna się Chudzińskiemu, to byłoby zresztą dla niego najlepiej, bo inaczej aresztuję go jutro o godzinie jedenastej i jedna minuta.

- Dlaczego ta jedna minuta?

- Bo dałem mu termin do jedenastej.

- A kogo aresztujesz?

- Już ci mówiłem. Złodzieja. Jednego z tych, którzy byli dzisiaj u prezesa.

- W takim razie możesz mi powiedzieć jego nazwisko.

Inaczej będę sądził, że bluffujesz.

- Nazwiska nie powiem. Ale w imię starej przyjaźni dam ci inny dowód.

Kapitan wyjął z kieszeni kartkę papieru i długopis. Zapalił swoją latarkę i coś napisał. Potem otworzył szufladę wielkiego biurka, jedynej rzeczy, która pozostała po „chlubnej” działalności byłego personalnika i włożył kartkę do wewnątrz.

- Schowałem kartkę z nazwiskiem złodzieja. Jeżeli wcześniej zaaresztujemy tego ptaszka, będziesz mógł sprawdzić, czy to ten sam człowiek. Jeśli dopiero jutro w gabinecie Chudzińskiego, kartka i tak nie będzie potrzebna. Nie dowiesz się wcześniej... Ja chyba się teraz zdrzemnę. Źle spałem ostatniej nocy.

- Dobrze. Kimaj, tylko nie chrap. Ja będę czuwał.

Godziny mijały. Po godzinie drugiej drzwi do magazynu uchyliły się. Stała w nich jakaś postać i cichym głosem zapytała:

158

- Panowie! Jesteście tam?

- Jesteśmy, prosimy, panie prezesie - porucznik Wiedera poświecił latarką.

- Czy nikt pana nie widział - zapytał kapitan, gdy Chudziński usadowił się na trzecim fotelu.

- Nie. Kazałem urzędnikom przynosić różne dokumenty

z archiwum. Gniewałem się na nich, że dostarczali inne niż te, o które mi chodziło. Pięć razy sam lub w towarzystwie se-

kretarki schodziłem do archiwum. Po banku rozniosło się,

że „prezes dziś się wściekł” i nikt nie ryzykował stanąć mi na drodze. Tak w końcu zakręciłem z tym schodzeniem na dół,

wracaniem, wychodzeniem z budynku, że udało mi się nie-

postrzeżenie zejść tutaj. A przedtem powiedziałem dyrekto-

rowi Lisakowi, że wychodzę i dzisiaj do banku nie wrócę.

Czekali jeszcze przeszło 40 minut. Dochodziła trzecia,

gdy podnieśli się z foteli i podeszli do drzwi. Zbliżał się

najtrudniejszy moment ich zadania. Kapitan ostrożnie

uchylił drzwi i nasłuchiwał. Minęła jedna minuta. Wre-

szcie usłyszeli kroki kogoś schodzącego z góry. Ta osoba

zatrzymała się w połowie schodów i powiedziała cicho,

lecz wyraźnie: „teraz”.

Cała trójka szybko wyszła na mały korytarzyk przed

drzwiami. Kapitan energicznie, lecz również po cichu otwo-

rzył przygotowanym uprzednio kluczem pierwszą kratę.

Znaleźli się w pomieszczeniu, w którym były sejfy bankowe. Od skarbca dzieliła ich tylko druga stalowa kratka. Naprzeciwko sejfów znajdowały się trzy kabiny podobne do telefonicznych. Kapitan otworzył drzwi największej kabiny.

Ruchem ręki zaprosił swoich towarzyszy do środka. Sam zaś szybko zamknął kratę.

- No, udało się - odetchnął, gdy znalazł się wewnątrz kabiny.

- Ależ tu ciasno - narzekał dyrektor. - I gorąco. Udusimy się czekając do jutra. Już zaczynam się pocić.

- Nie udusimy. Tak źle nie będzie. Nie przypuszczam zresztą, abyśmy mieli tutaj nocować - pocieszał kapitan.

- Sądzę, że w ciągu dwóch godzin sprawa się rozstrzygnie - zauważył porucznik.

- O Boże! Dwie godziny w tej ciasnocie - martwił się Chudziński.

Dla trojga osób za wygodnie w kabinie nie było. Na małej ławeczce z trudem mieściło się tylko dwóch mężczyzn.

Trzeci musiał siedzieć na pulpicie i trzymać nogi na kolanach współtowarzyszy niedoli. Od czasu do czasu, z zachowaniem jak największej ostrożności, uchylano nieco drzwi na przewietrzenie kabiny.

- Zapaliłbym papierosa - szepnął porucznik..

- Ani się waż! - odpowiedział kapitan.

Widera tylko westchnął. Upłynęło już półtorej godziny.

Kapitan sięgnął do kieszeni.

- Zupełnie zapomniałem, że przewidując zaopatryłem się w prowiant - powiedział wyjmując dwie tabliczki czekolady i częstując nimi Chudzińskiego i porucznika.

- A ja, głupi, nie wziąłem zapasu wody! Napiłbym się takiej zimnej z gazem.

- Niech pan nas nie rozdrażnia, poruczniku - szepnął prezes. - Marzę o mocnej kawie, ale i woda też by się przydała.

Znowu minęła godzina. Ludziom zamkniętym w kabinie ten czas dłużył się bezlitośnie. Parę razy zdawało im się, że ktoś schodzi do podziemia, ale widocznie były to sprzątaczkę lub ktoś zaglądał do lodówki.

- Chyba już nie przyjdzie - szepnął porucznik.

- To może być ktoś ze strażników mających nocny dyżur. Będziemy tu czekać do rana - martwił się prezes.

- Cicho! Idzie...

Siedzący w kabinie wstrzymali oddech. Kapitan uchylił nieco firanki zasłaniającej szybę w drzwiach. Obserwował przez szparkę. Teraz i pozostali usłyszeli szybkie kroki na schodach. Potem zapanowała chwila ciszy.

Wreszcie szcęknął otwierany zamek pierwszej kraty. Do środka wszedł człowiek. Znowu nasłuchiwał. Pośpiesznie przeszedł przez pomieszczenie sejfów i zdecydowanym ruchem otworzył kra-

tę dzielącą je od skarbcza. Dyrektor Chudziński z emocji złapał za rękę porucznika i ścisnął ją z całej siły.

Jeszcze jedno spojrzenie w stronę schodów i następne

w górę, w okno. Człowiek zrobił dwa kroki. Stał przed wielkimi drzwiami skarbcza. W jego ręku błysnęły klucze.

Trzy płaskie klucze. Bez namysłu wkładał je w zamki i przekręcał. Po otwarciu trzeciego mechanizmu obrócił metalowe koło znajdujące się w środku pancernych wierzei. Uchyliły się bez najmniejszego szmeru. Przestępca otworzył je tylko na taką szerokość, aby móc wśliznąć się do środka.

Zapalił silną latarkę elektryczną i wszedł do skarbcza.

Porucznik zrobił ruch, aby wyskoczyć z kabiny, lecz kapitan go powstrzymał. Bo oto na korytarzu dał się słyszeć szmer. Trzej ludzie w kabinie znowu zamarli w oczek-

kiwaniu. Powoli, jak najciszej uchyliła się kratka odgradząca sejfy od schodów.

Skradając się, bez butów, tylko w skarpetkach woźny Franciszek przebył całe pomieszczenie. Jeszcze ciszej i jeszcze bardziej ostrożnie uchylił drugą kratę i zbliżył się do kasy. Gdy był od niej już tylko o metr, nagle skoczył i zatrzasnął potężne, pancerne drzwi. Szybko zamykał kolejne trzy zamki. Teraz nie zachowywał już żadnej ostrożności, ani na nic nie zważał. Nie spostrzegł też i nie usłyszał, że trzech mężczyzn wyszli z kabiny i stanęli za jego plecami.

- Widzę, że pan Franciszek złapał złodzieja - powiedział kapitan - i teraz śpieszy się, aby zaalarmować milicję. Proszę o to być spokojnym, my też czuwamy i już jesteśmy na miejscu.

Stary woźny odwrócił się. Na widok prezesa banku i dwóch oficerów milicji klucze wypadły mu z ręki. Był bardzo blady. Krople potu zaczęły mu występować na czoło.

- Panowie... Pan prezes... Sam pan prezes - mówił coś bez związku.

- Wszystko w porządku, panie Franciszku - uśmiechnął się kapitan. - Przyszliśmy, aby panu pomóc w aresztowaniu przestępcy. Teraz już można go wypuścić.

Oficer milicji schylił się, aby podnieść leżące ciągle na

podłódze klucze od skarbcza. Były identyczne z angielskimi oryginałami, lecz wykonane ze zwykłego metalu i nie tak pięknie wykończone, niemniej działały przecież doskonale.

- Prawdziwy urodzaj na klucze od skarbcza - zauważył porucznik. - To już trzecie, jakie znajdujemy w ciągu paru tygodni, a podobno były tylko dwa komplety.

- Pan prezes wie, jak się to otwiera? - zapytał kapitan.

- Trzeba wypuścić naszego gagatka.

- Ee - wtrącił porucznik. - Niech tam sobie jeszcze posiedzi. Skarbiec duży, parę godzin wytrzyma w zamknięciu nasz amator cudzej forszy i cudzych dokumentów. Ma przecież latarkę i może czytać te wszystkie stare gazety, którymi kapitan wyładował swoją teczkę. Przyjemnej lektury!

- Można przetrzymać go w zamknięciu do nadejścia samochodu - zgodził się kapitan. - Ale trzeba zapukać do środka, żeby wiedział o naszej obecności. Inaczej gotów zwarriować ze strachu, że znalazł się w stalowym grobie. Nie wie, że Franciszek dlatego go zamknął, aby zaalarmować milicję.

- Ja? Tak. Prawda. Pan prezes sam przyszedł - Franciszek z wolna odzyskiwał równowagę umysłu zachwianą nagłym ukazaniem się prezesa i oficerów milicji.

Tymczasem kapitan wziął stojącą opodal dużą lampę elektryczną, która służyła zazwyczaj do oświetlania wnę-

trza skarbca i parokrotnie uderzył nią w pancerne, metalowe drzwi. Po minucie ponowił to uderzenie.

- Idź, Romek - polecił porucznikowi i sprowadź auto.

Warszawa z trzema ludźmi czeka za rogiem następnej ulicy. Cały bank jest zresztą obstawiony funkcjonariuszami milicji. Nawet jeden z nich ma silny teleobiektyw i z budynku naprzeciwko stale dokonuje zdjęć drzwi kasy pancernej. Jeżeli fotografie udały się, będzie to jedyny chyba w dziejach naszej kryminalistyki film pokazujący złodzieja usiłującego dostać się do skarbca banku.

Nie upłynęły cztery minuty, gdy wrócił porucznik w towarzystwie kilku milicjantów i cywilnych funkcjonariuszy MO.

- Niech pan otworzy, prezesie - kapitan ponownie podsunął Chudzińskiemu klucze.

- Nigdy sam nie otwierałem skarbca - tłumaczył się zmieszany prezes. - Nie mam pojęcia, jak się to robi. Nie wiem, który klucz pasuje do odpowiedniego zamka. Tu nie ma żadnych numerów i znaków jak na oryginałach.

- Co zrobimy? Trzeba będzie sprowadzić dyrektorów z ich kluczami.
- Jeśli pan prezes pozwoli, ja spróbuję - ofiarował się Franciszek. - Tyle lat człowiek przyglądał się codziennie otwieraniu i zamykaniu skarbca, że znam klucze na pamięć.
- Słusznie. Pan Franciszek złapał złodzieja, niechaj więc sam go teraz wypuści. Swoją drogą nie zazdroścę facetowi ani tych chwil przeżytych w środku kasy pancernej, ani tego, co go czeka. Czego to ludzie nie ryzykują dla tych pieniędzy. I wolność, i życie.
- Pieniądze schowane są gdzieś na podwórzu, panie kapitanie. Podpatrzyłem, jak ten łobuz ciągle tam się kręcił - powiedział stary woźny. - Już dawno bym je znalazł, tylko bałem się szukać. W dzień panowie urzędnicy pracują i nie było sposobności. Gdyby mnie ktoś później zobaczył, to jeszcze sam za złodzieja bym został. Bank był nieustannie pod obserwacją milicji. Mnie, starego, nikt nie nabierze. Gdyby mnie ten drań nakrył, to zabiłby przecież bez wahania.
- Wiem o tym - powiedział kapitan. - Kazałem dokładnie przeszukać całe podwórze. Przypuszczam, że te miliony leżą w śmietniku lub w jego sąsiedztwie.
- Woźny Franciszek i porucznik Widera z podziwem spoj-

rzeli na kapitana.

- Panie Franciszku, niechże pan otwiera - polecił

prezes.

- Ten kluczyk z ząbkiem na przedzie pasuje do górnego zamka - wykladał woźny otwierając pierwszą zapadkę.

- Ten z tym rowkiem do środkowego, a ten trzeci ma rowek na dole. Teraz kółkiem w prawo i sprawa załatwiona.

Mówiąc to Franciszek obrócił stalowe koło. Płyta pancerna odchyliła się bez szmeru. Błademu z przerażenia przestępcy dwaj milicjanci sprawnie założyli kajdanki na ręce i poprowadzili na górę do sali operacyjnej. Tu wszyscy czekali na wynik przeprowadzanej na podwórzu rewizji. Wkrótce jeden z wywiadowców przyniósł solidnie wypchaną aktówkę. Po otwarciu błyskawicznego zamka na stół wyleciały paczki pięćsetzłotowych banknotów.

- Była schowana za śmietnikiem między murem sąsiedniej kamienicy a wystającym nieco daszkiem śmietnika - zameldował wywiadowca.

- A więc mamy i pieniądze - ucieszył się porucznik. -

Udało nam się dzisiaj niezłe polowanko. W języku myśliwych nazywa się to „dublet”. Prawda?

- Trzeba przeliczyć paczki, a później banknoty - rzekł kapitan.

Przeliczono. Nie brakowało ani jednej paczki z wyjątkiem tej, którą Ligman znalazł w swoim biurku.

- Pieniądze na razie zabierzemy. W tej chwili stanowią „dowód rzeczowy”. Za kilka dni prokurator wydaje bankowi - informował porucznik.

- Niech jedna warszawa zawiezie pieniądze i złoży do depozytu w komendzie. Zajmie się tym porucznik Kaliski razem z sierżantem Janiakiem - wydawał polecenia kapitan. - Drugim wozem zabrać przestępcę i zawieźć do aresztu. Na razie do izolatki. Jutro go przesłuchamy i przekazemy prokuraturze. Plutonowy Adamski, weźcie go pod swoją opiekę. A po drodze kupcie mu coś do jedzenia, bo do jutra rana nic mu w areszcie nie dadzą.

- Tak jest, panie kapitanie - raportował plutonowy. - Kupię mu ze dwie bułki, ale coś mi się widzi, że nie będzie miał apetytu.

- Pewnie - dociął któryś z wywiadowców. - Tak jednego dnia przekabacić się z milionera w aresztanta, to można stracić chęć do jedzenia.

- Swoją drogą - zauważył porucznik Widera, gdy pakowano pieniądze z powrotem do aktówki - nie myślałem, że 10 milionów to aż tyle forsy.

- Nigdy w życiu nie widziałem tak dużo pieniędzy w jednej kupie - powiedział porucznik Kaliski. - I pomyśleć, że będę to trzymał w ręku aż do zdania do depozytu.

- Jeden milioner stracił, mamy drugiego - roześmiał się

sierżant.

- No panowie, odjeżdżajcie! Szczęśliwej drogi.

- Chodźcie - plutonowy zwrócił się do przestępcy. Ten

wstał z krzesła i nie wymówiwszy ani słowa skierował się

do drzwi.

164

- Dawałem panu szansę. Mówiłem, to ostatnia szansa.

Nie chciał pan z niej skorzystać. Szkoda! Większa dla pana niż dla nas - tymi słowami kapitan pożegnał złodzieja odprowadzanego do milicyjnego wozu.

Reszta milicjantów również zegnała się i opuszczała gmach banku. Za chwilę w wielkiej sali operacyjnej pozostali tylko dwaj oficerowie milicji, strażnicy, prezes Chudziński i woźny Franciszek.

- Panowie - powiedział prezes - od paru godzin marzyłem o kawie. Takiej czarnej jak noc, słodkiej jak grzech i mocnej jak piekło... Pan Franciszek zrobi nam właśnie taką kawę. Wiem, że panom się śpieszy, ale proszę choć na chwilę do mojego gabinetu.

- Zaraz zaparzę kawy, panie prezesie. Taką, jak pan lubi.

- No to chodźmy — kapitan przyjął zaproszenie.

- Idźcie. Ja tam zaraz przyjdę - rzekł porucznik. - Zapomniałem jednej rzeczy w magazynku. Przyniosę przy okazji parę butelek zimnej wody.

- Idź, idź, niewierny Tomaszu - roześmiał się kapitan i wraz z naczelnym dyrektorem poszedł na górę.

W kilka minut potem zjawił się tam porucznik Widera.

Miał, jak to się mówi, „gęstą minę”.

- Zgadza się! Wiedziałeś jednak. A do ostatka myśla-

lem, że bluffujesz. Jakim cudem do tego doszedłeś? Chyba zgadłeś? Powinieneś grać w totka. Szóstka murowana co tydzień. Niedługo byłbyś bogatszy niż ten bank.

ROZDZIAŁ XII

Prezes Marian Chudziński krzątał się rażno po swoim gabinecie. Z jednej szuflady biurka wyjął trzy kieliszki, z drugiej nie napoczętą jeszcze butelkę „Jubilejnego” z pięcioma gwiazdkami. Znalazł się i korkociąg, tak że za chwilę butelka była otwarta, a złocisty płyn wypełniał do połowy cienkie szkło.

- Zdrowie dzisiejszego zwycięzcy! Zdrowie kapitana! - prezes podniósł do ust kieliszek koniaku i wychylił go duszkiem.

- Wiem, że koniak pije się po kropelce, ale taki byłem zdenerwowany, że musiałem rąbnąć od razu całą porcję.

- Czym się pan prezes denerwował?

- Nie miałem pewności, czy łobuz przyjdzie! Przez te cztery godziny czekania denerwowałem się jak nigdy w życiu.

- To nie miało znaczenia, czy przyjdzie. Naprawdę żadnego znaczenia. Aresztowalibyśmy go jutro o jedenastej.

Tak jak zapowiadałem. To rzeczywiście była dla niego szansa, niestety nie skorzystał z niej.

- Ale skąd panowie wiedzieli, że to on i gdzie schował pieniądze? Bo ja, przyznaję szczerze, do ostatka nie domyślałem się, że to on, właśnie najmniej jego bym posądzał.

W tej chwili zapukano do drzwi i wszedł Franciszek.

Mimo upału jego mundur zapięty był aż po ostatni guzik.

Stanął w progu i służbiście rzekł:

- Panie prezesie, kawa gotowa. Można podawać?

- Dawajcie ją, panie Franciszku, dawajcie. Jak najprędzej.

Widocznie kawa czekała na stole w przedpokoju, bo zaraz Franciszek ponownie znalazł się w gabinecie z tacą w rę-

ku. Trzy szklanki przykryte spodeczkami zawierały płyn czarny jak smoła. Po zapachu można było poznać, że tym razem stary woźny sprokurował prawdziwego „szatana”.

- No to mamy kawusię - ucieszył się prezes znowu napełniając kieliszki. - Z rozkoszą się napiję. Żeby tak wtedy w kabinie ktoś nam podał kawę!

Cała trójka delectowała się doskonałym naparem.

- Nie daruję - zabrał głos prezes. - musi mi kapitan kilka spraw wyjaśnić. Jak pan do tego doszedł?

- Ja również przyłączam się do prośby pana prezesa - powiedział porucznik Widera. - Nie bądź, Piotrze, taki tajemniczy i nie graj Sherlocka Holmesa. Nie daj się prosić!

- Ależ naprawdę nie mam niczego do ukrywania. To było proste. Najlepszy dowód, że Franciszek, który miał przecież mniejsze możliwości ode mnie i nie dysponował całym materiałem śledczym, bezbłędnie odgadł tożsamość przestępcy i miejsce, gdzie należy szukać skradzionych pieniędzy.

dzy. I nawet wyprzedził nas w działaniu. Nie myśmy złapa-

li złodzieja, lecz stary woźny zamykając go w skarbcu

- Jednak ja nadal nic nie rozumiem.

- Zaczniemy więc od początku. Gdy po raz pierwszy zjawiliśmy się w banku, przywitał nas mir niechęci i wrogości. To prawda, co mówił dyrektor Helski, a później powtórzył stary woźny. Taki bank z dawnymi tradycjami to jedna wielka rodzina, mimo wewnętrznych sprzeczności i różnic, na zewnątrz solidarna i broniąca się przed publicznym praniem swoich brudów. Stąd pracownicy mieli nawet za złe panu prezesowi, że wezwał milicję. Wszyscy też solidarnie zeznawali nieprawdę bądź przemilczali pewne fakty. Dlatego po wstępnym przesłuchaniu miałem za ledwie siedmiu podejrzanych - czterech strażników, dwie sprzątaczkę i woźnego Nawrockiego.

- No tak. Nie wiedzieliśmy wówczas o wydziale księgowości i o dyrektorze Helskim - uzupełnił porucznik Widera.

- Nagle ten mur solidarności pęka. Zgłasza się do mnie Nawrocki i zaczyna „sypać”. W czyim interesie leży rozszerzenie kręgu podejrzanych? Tylko w interesie tej pierwszej siódemki, a więc i Nawrockiego.

- To zrozumiałe - zauważył prezes.

- Jednocześnie młody człowiek w czasie pierwszej rozmowy podkreśla, że robi to wyłącznie dla nagrody. Że ma-

rzy o motocyklu i liczy na otrzymanie od milicji odpowiednio wysokiej sumy. Wielu ludziom informującym milicję zależy na otrzymaniu nagrody, ale nikt nie stawia sprawy w tak cyniczny sposób. To był moment, który kazał mi zwrócić uwagę, że w tonie młodego człowieka dźwięczy jakaś fałszywa nuta.

- Tak. To nie było zręczne z jego strony.

- Następnie wydało mi się dziwne, że woźny, który nigdy nie miał żadnego zatargu z dyrektorem Helskim, podważa jego solidność, jak gdyby mu specjalnie zależało na aresztowaniu dyrektora. To były jednak momenty psychologiczne nie mające jeszcze żadnego uzasadnienia w faktach. Te przysły dopiero później. Niezbitą pewnością, że to właśnie Nawrocki jest złodziejem, miałem dopiero w parę dni później.

- Kiedy?

- Od momentu gdy Nawrocki opowiadał, jak wyjmował z zamka kasy pancernej resztkę klucza złamanego przez byłego dyrektora personalnego, Kazimierza Cokoła. Nawrocki podkreślił, że aby wyjąć z górnego zamka odłamek klucza musiał pracować stojąc na stole. W ten sposób woźny sugerował niejako, że to Helski przy pomocy dwóch pozostałych kluczy Cokoła dokonał kradzieży. Bo właśnie oryginalny klucz angielski będący w posiadaniu dyrekto-

ra Helskiego pasował do górnego otworu kasy. Składając swoje zeznania Nawrocki nie przypuszczał, że znajdziemy pozostałe dwa klucze z kompletu Cokoła. Myślał, że w ten sposób definitywnie pogrąży Helskiego.

- Dyrektor Helski uprzedzał mnie, że prawdopodobnie lada dzień zostanie aresztowany - powiedział Chudziński.

- Chmury niebezpieczeństwa gromadziły się nad jego głową, lecz wśród rupieci gigantycznego biurka znaleźliśmy pozostałe dwa klucze. Stwierdziłem wówczas, że pasują one do górnego i środkowego zamka. Właśnie dolny klucz, którego odpowiednik ma stojący poza wszelkimi posądzonymi dyrektor Jarosz, został przez Cokoła złamany. Było teraz dla mnie zupełnie jasne, że Nawrocki nie mógł popełnić tak wielkiej pomyłki. Kłamał świadomie. Znowu zadałem sobie pytanie: dlaczego? Ale wtedy jeszcze nie potrafiłem na nie odpowiedzieć.

- Po kieliszeczku? Na trzecią nogę - prezes sięgnął po butelkę z koniakiem.

- Przestępca nie próżnował. Ponieważ nie aresztowaliśmy Helskiego, wiedział, że spudłował. Natychmiast więc dostarczył nam innej zwierzyny. Tym razem Ligmana. To on pierwszy zwrócił naszą uwagę na młodego buchaltera i na rzekomą paczkę, jaką odebrał on od młodego Potulickiego w przeddzień kradzieży. Nawrocki domyślał się, że

po odnalezieniu kompletu Cokoła będziemy szukali z kolei kluczy, które posiadał zmarły prezes banku Jacek Potulicki. Być może zresztą Nawrocki wiedział o tym, że najmłodsza latorośl tego rodu używa tych kluczy dla włamywania się do cudzych samochodów. Sprytnie, jak pies gończy, „wystawia” nam Ligmana. Aby go pogrążyć,

podrzuca mu jednocześnie paczkę banknotów do biurka.

Teraz czeka na rozwój wypadków. Istniały właściwie teoretycznie dwie możliwości dalszego ich rozwoju. Po pierwsze Ligman nie zauważy leżącej w głębi jego biurka paczki, po drugie zauważy tę paczkę i weźmie dla siebie „cudem z nieba spadłe” pieniądze. Na to między innymi liczył przestępca, który z pewnością umiałby nam wskazać, że młody księgowy rozporządza dużą sumą gotówki lub że trzyma w biurku paczkę podejrzanych banknotów. Głupi przypadek, sprowadzenie do banku nowych biurek, przekreśla te rachuby. Ligman robi porządki w swoich papierach, znajduje 50 tysięcy złotych i natychmiast dzieli się swoim odkryciem z panem Góreckim - właściwie majorem Góreckim, który radzi mu zawiadomić o tym swoje władze i oddać pieniądze. To uratowało Ligmana od grubych nieprzyjemności, być może parotygodniowego czy nawet dłuższego aresztu. Nas zaś uchroniło od skierowania śledztwa na ślepy tor. Dało nam również ciekawą informację, a tego przestępca nie przewidział, jakie banknoty składają się na skradzione 10 milionów. Od tej chwili wiedzieliśmy, że musi tam być spora ilość pięćsetek serii „AH”. Był to już pewien konkretny ślad.

Kapitan wypił łyk kawy i mówił dalej:

- Właśnie ten konkretny ślad uratował również Rzeszewską. Nie tylko od aresztowania, bo do tego było jeszcze daleko, ale od bliższego zainteresowania się jej osobą i jej męża. Posiadane przez nią pięćsetki były stare i tylko niewielka część miała fatalną numerację „AH”. Ale mówiąc na marginesie, to dziwię się, że urzędniczka banku trzyma w domu, wprawdzie nie w pończosze, ale w kasetce przeszło 200 tysięcy złotych.

- Muszę tutaj dodać - roześmiał się porucznik Widera
- że nauki moralne kapitana nie poszły na marne. Wprost z przesłuchania Rzeszewska udała się do PKO i całą sumę wpłaciła na książeczkę. Nasz wywiadowca stanął za nią w kolejce i dokładnie to sprawdził.

- Dobrze i to. Tak więc, jak mówiłem, „wystawienie” nam Ligmana nie dało żadnego rezultatu. Później byliśmy zajęci incydentalną sprawą młodego Potulickiego. Znalazły się klucze, natomiast z góry domyślałem się, że obiecujący młody człowiek nie maczał palców w okradzeniu skarbcza bankowego. Sam fakt, że nosił te klucze jawnie przy sobie niemal wykluczał jego choćby pomocnictwo w kradzieży. Za jego niewinnością w tej sprawie przemawiało to, że w czasie przesłuchania przyznał się, że klucze są jego własnością. Gdyby chciał zatrzeć ślady, mógłby je wrzucić do Wisły z pobliskiego mostu.

- A dlaczego tego nie zrobił Nawrocki?

- Bał się, że go obserwujemy. Poza tym prawdopodobnie schował te klucze tak dobrze, że nigdy byśmy ich nie znaleźli. Chociaż Nawrocki wiedział, że śledztwo idzie w kierunku ulicy Dygasińskiego, nie zdołał nic wymyślić, aby obciążyć Czesława. Wtedy byłem już niemal pewny winy woźnego. Spodziewałem się nawet, że będzie on nam sugerował udział młodego Potulickiego w kradzieży. Ale tym razem Nawrocki, któremu nie mogę odmówić sprytu, uznał, że takie sugestie mogą zwrócić uwagę na niego samego i dał spokój. Tak więc już czwarty „podejrzany” wymykał mi się z rąk i po przesłuchaniu również musiałem go zwolnić. Tyle że odebrałem mu część pieniędzy, jakie uzyskał okpiwając własną babkę. Z Pałacu Mostowskich Czesław poszedł do domu.

- Chyba nie na długo. Prędzej czy później znowu trafi w ręce milicji. Wtedy tak łatwo nie wyjdzie.

- Bądźmy optymistami, że ta nauczka będzie skutecznym ostrzeżeniem i młody człowiek nabierze wreszcie rozumu.

- Najbardziej go kapitan „zastrzelił” słowami, że klucze, które nosił tyle lat w kieszeni, były warte „na złom” u „Jubilera” ponad sto tysięcy złotych. Może ten argument przekona go do wartości nauki?

- W końcu Nawrocki „trafił”. Podsunął nam, że w prze-

szłości strażnika Zdzisława Zaczewskiego kryje się jakaś tajemnica. Nie wiem, czy znał tę tajemnicę, czy po prostu pracując wiele lat ze strażnikiem domyślał się „haczyków” w jego życiorysie. Dość, że tym razem podany przez niego

trop okazał się bardzo ciekawy. Tak ciekawy, iż wszyscy prócz mnie byli przekonani o winie Zaczewskiego. Ja nie mogłem w nią uwierzyć, bo nie zgadzało się to z zebranymi faktami i teorią, którą te fakty potwierdzały.

- Na ten temat poróżniłem się nawet z kapitanem - wyjaśnił porucznik. - Uważałem, że Zaczewskiego trzeba natychmiast zamknąć.

- Gdyby Zaczewski był naszym pierwszym podejrzanym, być może dałbym się złapać na ten trop i zamknąłbym strażnika. Miałem jednak praktykę. Każdy z poprzedników byłego włamywacza i granatowego policjanta w jednej osobie również początkowo szybko stawał się domniemanym złodziejem, aby później okazać się człowiekiem niewinnym. I tym razem nie spieszyłem się z zamknięciem drzwi aresztu za amatorem złotych rybek. Przypuszczałem, że myśl o ucieczce podsunął mu Nawrocki. Po prostu zawiadomił on strażnika, że milicja jest na jego tropie. Zaczewski nie wytrzymał nerwowo i „prysnął”, a prawdziwy złodziej cieszył się z odzyskania swobody ruchów.

- Była mu ona potrzebna - dodał porucznik - aby przede wszystkim wynieść z terenu banku skradzione pieniądze, a później móc nareszcie skorzystać z cennej zdobyczy. Przecież musiał go szlag trafiać - mieć 10 milionów złotych i bać się wydać z nich choć złotówki.

- Tak czy inaczej Nawrockiemu udało się rzucić bardzo

poważne podejrzenie na Zaczewskiego. Ale jak to często

bywa i on w tym przypadku „przefajnował”.

- Dlaczego „przefajnował”? - zdziwił się prezes.

- Chcąc dać nam jak najwięcej dowodów winy strażni-

ka, podrzucił mu do szafki kulkę wosku. Nawrocki nau-

czył się dorabiać klucze do biurka, a później nawet kom-

plet kluczy do skarbca, przyglądając się i praktykując je-

szcze jako goniec u ślusarza, który w obecnej kuchni ban-

kowej założył mały warsztat dla sporządzenia dwóch kom-

pletów płaskich kluczy do kasy pancernej. Ten ślusarz,

zresztą doskonały fachowiec, używał wosku dla robienia

odcisków z oryginałów. Natomiast zawodowi przestępcy,

włamywacze i kasiarze dawno już zarzucili stosowanie wo-

sku. Za lepszą do tego celu uznali plastelinę lub choćby

zwykłe mydło. Wosk bowiem jest zbyt kruchy i odcisk często wychodzi na nim niezbyt dokładnie. O tym mógł nie wiedzieć ślusarz z fabryki maszyn precyzyjnych czy też woźny bankowy, ale o tym musiał wiedzieć były kasiarz - Zaczewski. Zresztą dał praktyczny dowód tej znajomości rzeczy. Gdy dorabiał klucze do drzwi wejściowych w willi pani Potulickiej przy ulicy Dygasińskiego, nie posługiwał się woskiem, lecz kawałkiem mydła. Ta mała kulka woskowa była, wbrew intencji przestępcy, dowodem niewinności Zaczewskiego i wskazówką, że mamy do czynienia z nową prowokacją. Może ze względu na ujawnienie przeszłości Zaczewskiego vel Paczewskiego powinniśmy go zatrzymać do dyspozycji prokuratora aż do zbadania, czy jako granatowy policjant w Częstochowie nie ma na sumieniu jakiegoś przestępstwa z lat okupacji, ale ostatecznie niewiele ryzykowałem. Wiedziałem, że nie będzie próbował ucieczki po raz drugi.

- Zresztą otoczyłem go dobrą opieką - roześmiał się Wiedera. - Taka próba na pewno skończyłaby się w najbliższym areszcie.

- Poza tym wolność strażnika potrzebna mi była jako decydujący bodaj argument w walce nerwów toczonej z przestępcą. Zaczewski wrócił do pracy w banku i Na-

wrocki przekonał się, że i te ostatnie jego poczynania spa-
liły na panewce. Im więcej osób podsuwał nam jako do-
mniemyanych przestępców i im więcej tych fałszywych tro-
pów nie przynosiło pożądanego skutku, tym szybciej
zmniejszała się liczba pozostałych podejrzanych o kra-
dzież. Nawrocki musiał się coraz bardziej obawiać o wła-
sną skórę. Mógł się też domyślać, że zauważyliśmy dobrze
dwie okoliczności, które go obciążały w śledztwie.

- Jakie?

- Przede wszystkim, że umie dorabiać klucze. Że za-
wsze to robił, gdy któryś z urzędników złamał lub zgubił
klucz od swojego biurka. Po drugie rewizja w domu Na-
wrockiego ujawniła, że posiada on tam dobrze wyposażo-
ny warsztat ślusarski. Po co młodemu człowiekowi drugi
warsztat? Miał przecież do swojej dyspozycji jeden w ban

ku, w kuchni. Czy więc nie po to, aby w domu dorabiać komplet kluczy do skarbca? Tej roboty nie chciał ryzykować pracując na warsztacie bankowym.

- Ale w jaki sposób mógł dorobić te klucze? Nie miał oryginałów.

- Przypuszczam, że myśl okradzenia banku zrodziła się w głowie Nawrockiego już dawno. Może nawet wówczas, gdy pomagał w pracy staremu ślusarzowi? Dość, że młody człowiek cierpliwie czekał okazji. Te zdarzały się od czasu do czasu. Gdy któryś z dyrektorów zachorował, posyłano po klucz do niego do domu albo któregoś z woźnych, albo kogoś spośród młodszych urzędników. Gdy los uśmiechał się do Nawrockiego, on korzystał z okazji i nim oddał klucz w banku, robił z niego szereg odcisków.

Właśnie z wosku, bo tego się nauczył patrząc na pracę ślusarza. Potem długo dorabiał klucz i na pewno czekał sposobności, aby zbliżyć się do kasy i sprawdzić swoją robotę. Przypuszczam, że praca nad wszystkimi trzema kluczami zabrała przestępcy ładnych parę lat.

- Mógł wypróbować swoje duplikaty w czasie sprzątnia. Pomieszczenia sejfów i przedsionka sprzątają jedynie woźni. Ich pracę powinien zasadniczo dozorować któryś z urzędników, ale przy panującym w banku wzajemnym

zaufaniu - dodał prezes - bywało, że Nawrocki pracował bez tej asysty. Mógł wówczas spokojnie przymierzać swoje klucze do zamków skarbca i badać, czy dobrze działają.

- Niewątpliwie tak było. W końcu woźny stał się posiadaczem trzech sprawnie działających kluczy. Czekał teraz odpowiedniej chwili. Chodziło mu o wzięcie pieniędzy z trezora w takich okolicznościach, aby było jak najwięcej podejrzanych o ten czyn. Organizując „popijawę” z okazji zamknięcia bilansu wydział księgowości dał Nawrockiemu tę wymarzoną sposobność. Wydaje mi się, że pieniądze zostały wyjęte ze skarbca w czasie, gdy strażnicy w szatni, a urzędnicy w swoim pokoju zabawiali się „szkłem”. Drobienie kluczy do krat oddzielających sejfy i skarbiec nie było dla przestępcy żadnym problemem. Są to przecież zwykłe zasuwki.

- Jeżeli więc kapitan wiedział, kto jest sprawcą kradzieży, po co była potrzebna zasadzka?

- Panie prezesie, od słowa „wiedzieć” do słowa „dowiedzieć” jest nieraz długa droga. Wiedziałem od dość dawna. Dowieść na 100 procent nie mogłem w ogóle. Mogłem jedynie ryzykować „poszlakówkę”. Przypuszczam, że sąd podzieliłby argumenty milicji i skazał przestępcę, ale chciałem, żeby nie było żadnych wątpliwości. Zresztą spryt i cierpliwość Nawrockiego oraz jego młody wiek bu-

dziły we mnie pewne współczucie. Chciałem naprawę dać mu szansę powrotu po paru latach do społeczeństwa.

Rola nasza - milicji - to nie tylko łapanie zbrodniarzy, ale również staranie się, aby zrozumieli swoją winę, odcierpieli karę i w przyszłości stali się porządnymi ludźmi.

Wcale nam na tym nie zależy, aby przestępca otrzymał najwyższy wyrok. Nawrocki nie skorzystał jednak z danej mu okazji i będzie go to drogo kosztowało.

- A pieniądze? Jak pan doszedł, że pieniądze znajdują się na podwórzu?

- To również nie było takie trudne. Od początku myślałem, że złodziej nie wyniósł pieniędzy z banku. Zeznania wszystkich były zgodne. Nikt z wychodzących wówczas z banku nie miał rzucającej się w oko większej paczki. Niektórzy mieli wprawdzie ze sobą teczki, ale nie wyładowane. Bądź co bądź 10 milionów złotych nawet w pięćsetkach zajmuje sporo miejsca. W zimie można taką sumę wynieść w kieszeniach męskiego ubrania pod paltem, ale w lecie wygląd nadmiernie obciążonego człowieka budziłby podejrzenie. Również wyładowana do ostatnich możliwości aktówka - widzieli ją panowie - wpadłaby w oko albo strażnikowi, albo też wychodzącym razem z Nawrockim urzędnikom wydziału księgowości.

- Ale dlaczego na podwórzu? - Chudziński nie mógł po-

wstrzymać swojej ciekawości.

- Nie wiedziałem, że na podwórzu. Przypuszczałem jedynie, że gdzieś w banku. Dopiero major Górecki zwrócił uwagę, że rzekomo nigdy nie używane drzwi wiodące na podwórze mają świeżo naoliwione zawiasy. Koncepi [a przestępca w ten sposób chciał wejść niepostrzeżenie do banku lub tą drogą wprowadzić współników, nie bardzo przypadła mi do gustu. Podwórze oddzielała od ulicy masywna, zawsze zamknięta brama. Otworzyć ją było wielkim ryzykiem. Po co zresztą pracownik banku miałby wchodzić tą drogą? Mógł po prostu schować się w jakimś zakamarku albo ukryć współnika we wnętrzu gmachu.

Tak jak myśmy się ukryli w magazynku starych mebli o parę metrów od skarbcza.

- To racja!

- Pozostawało więc jedyne logiczne tłumaczenie: drzwi naoliwiono, aby móc niepostrzeżenie wychodzić przez nie na podwórze. A wychodzić jedynie po to, aby schować tam pieniądze. W tym rozumowaniu utwierdził mnie fakt, że Franciszek prowadzący śledztwo na własną rękę, czego się domyślałem, doszedł do tych samych wniosków i stara się dyskretnie spenetrować podwórko. Właśnie na takiej dyskretniej rewizji przyłapał go major Górecki. Dokładna i już jawna rewizja przeprowadzona przez naszych ludzi wykryła

schowek z milionami zaledwie w ciągu kwadransa. I tutaj Nawrocki dał dowód swojego nieprzeciętnego sprytu. Gdybyśmy wykryli te pieniądze wcześniej, przed jego aresztowaniem, a mogłem to zrobić dawno, tym samym zniszczyłbym jeden dowód przeciwko niemu. Nie potrafiłbym wykazać, że to woźny, a nie ktoś inny schował pod śmietnikiem aktówkę z pięćsetkami. Dlatego też nie szukałem tych pieniędzy, tylko major Górecki nieustannie obserwował kręcących się po podwórzu. Okazało się, że dwie osoby: Franciszek i jego pomocnik. Co ciekawsze, gdy tylko stary woźny zjawiał się na podwórzu, Nawrocki albo go zaraz stamtąd odwoływał, albo sam wychodził z kuchni na dwór, uniemożliwiając starym panom penetrowanie podwórka.

- Gdy kapitan opowiada, wszystko wygląda bardzo prosto, ale w rzeczywistości sprawa była bardzo skomplikowana - uznał prezes.

- Gdyby nie Piotr, wątpię, czy kto inny wpadłby na to wszystko.

- Przesadzasz, Romku. Ty odkryłbyś to samo, gdybyś częściej się zastanawiał, a mniej palił do nagłych efektywnych posunięć.

Porucznik zrozumiał aluzję do stale objawianej chęci

„zamykania” kolejnych podejrzanych i nie podjął dyskusji.

Obydwaj oficerowie dokończyli kawę i wymawiając się od

następnej kolejki „Jubilejnego” pożegnali prezesa. W szatni Franciszek podając kapitanowi płaszcz szepnął poufale:

- Ale ma pan głowę, kapitanie! Mógłby pan nawet pracować w naszym banku!

Kiedy dwaj mężczyźni wyszli na ulicę, porucznik Roman Widera zwrócił się do przyjaciela:

- Wiesz, Piotr, wcale nie jestem pewien, czy ten stary zamknął Nawrockiego w skarbcu po to, aby zawiadomić milicję.

Kapitan uśmiechnął się.

- To już skończona historia. Nie wracajmy do niej.

KONIEC

Noła redakcyjna

Powieść Jerzego Edigeya „Trzy płaskie klucze ” jest siedemnastą pozycją, która ukazuje się w Serii z Warszawą. Po raz pierwszy powieść ukazała się w serii „Z jamnikiem” wydawnictwa Czytelnik w 1965 r.

Pomysł wydawania serii z Warszawą zrodził się na spotkaniach Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd. Dotąd wydaliśmy:

1. Helena Sekuła - „Tęczowy cocktail”
2. Helena Sekuła - „Kieliszek Bordeaux”
3. Helena Sekuła - „Wstęga Kaina”
4. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Czwarty klucz”
5. Piotr Kitrasiewicz - „Sherlock Holmes i koledzy”
6. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Nieudany urlop majora Downara”
7. Anna Kłodzińska - „Królowa Nocy”
8. Anna Kłodzińska - „Jak śmierć jest cicha”
9. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Za dużo kobiet”
10. Jerzy Edigey - „Uparty milicjant”
11. Jerzy Edigey - „Czek dla białego gangu”
12. Helena Sekuła - „Złoty blues”
13. Jerzy Edigey - „Niech pan zdejmie rękawiczki”
14. Anna Kłodzińska - „Malwersanci”

15. Anna Kłodzińska - „Złota bransoleta”

16. Jerzy Edigey - „Ostatnie życzenie Anny Teresy”

17. Jerzy Edigey - „Trzy płaskie klucze”

Zapraszamy wszystkich zainteresowanych do naszego

grona. Prowadzimy stronę internetową Klubu MOrd

www.klubmord.com

oraz na Forum Mordu

www.klubmord.fora.pl

Nasza inicjatywa ma charakter pasjonacki i skierowana jest do miłośników starych polskich kryminałów.

Pozdrawiam

Grzegorz Cielecki (prezesik13@wp.pl)

prezes Klubu Miłośników Polskiej

Powieści Milicyjnej MOrd

Wykaz książek Jerzego Edigeya

1. Czek dla białego gangu (1963) Klub Srebrnego Klucza

2. Mister MacAreck i jego business (1964) Jamnik

3. Trzy płaskie klucze (1965) Jamnik

4. Sprawa Niteckiego (1966) Jamnik

5. Wagon pocztowy GM 38552 (1966) Klub Srebrnego Klucza

6. Baba-Jaga gubi trop (1967) Jamnik

7. Umrzesz jak mężczyzna (1967) Klub Srebrnego Klucza

8. Elżbieta odchodzi (1968) Tukan

9. Przy podniesionej kurtynie (1968) Jamnik
10. Szkielet bez palców (1968) Ewa wzywa 07...
11. Pensjonat na Strandvagen (1969) Tukan
12. Człowiek z blizną (1970) Klub Srebrnego Klucza
13. Strzały na rozstajnych drogach (1970) Jamnik
14. Zbrodnia w południe (1970) Klub Srebrnego Klucza
15. Żółta koperta (1970) Tukan
16. Błękitny szafir (1971) Jamnik
17. Jedna noc w Carltonie (1971) Tukan
18. Minerva-Palace-Hotel (1972) Tukan
19. Testament samobójcy (1972)
20. Gang i dziewczyna (1973) Ewa wzywa 07...
21. Śmierć czeka przed oknem (1973) Klub Srebrnego Klucza
22. Śmierć jubilera (1973) Jamnik
23. Diabeł przychodzi nocą (1974) Ewa wzywa 07...
24. Szklanka czystej wody (1974) Jamnik
25. Najgorszy jest poniedziałek (1975) Klub Srebrnego Klucza
26. Strzał na dansingu (1975) Czerwona Okładka
27. Walizka z milionami (1975) Jamnik
28. Dwie twarze Krystyny (1976) Jamnik
29. Dzieje jednego pistoletu (1976) Czerwona okładka
30. Tajemnica starego kościółka (1976) Ewa wzywa 07...

31. As trefl (1978) Ewa wzywa 07...
32. Nagła śmierć kibica (1978) Jamnik
33. Sprawa dla jednego (1978) Czerwona Okładka

34. Alfabetyczny morderca (1981) Klub Srebrnego Klucza
35. Pomysł za siedem milionów (1982) Jamnik
36. Siedem papierosów „Maracho” (1982) Ewa wzywa 07...
37. Zdjęcie z profilu (1984) Tukan
38. Operacja „Wolfram” (1985) Tukan
39. Wycieczka ze Sztokholmu (1987) Tukan
40. Uparty milicjant (2010) Seria z Warszawą
41. Czek dla białego gangu (2010) Seria z Warszawą
42. Niech pan zdejmie rękawiczki (2010) Seria z Warszawą
43. Ostatnie życzenie Anny Teresy (2010) Seria z Warszawą

Książki wydawnictwa „Wielki Sen”

do nabycia na stronie internetowej

www.klubmord.com

Pierwsza seta

Pierwszy tom serii, w której dokonujemy przeglądu wszystkich polskich powieści kryminalnych, jakie ukazały się od roku 1945 do początku lat 90. Staraliśmy się zainteresować Czytelników gatunkiem. Oferujemy ogromną różnorodność podejścia do tematu: są tu teksty, które można uznać za klasyczne recenzje, są noty, luźne refleksje, analizy. Jednych interesuje

sposób popełnienia zbrodni, inni oglądają tło społeczno-obyczajowe, zaglądają do lokali gastronomicznych - każdy z Klubowiczów zмага się bowiem z gątkiem na swój własny sposób.

„Serią po kryminałach”

czyli Katalog konesera kryminałów

z PRL

czyli

WWAŁOe KONESER*.

KuymiMów z pío.

Miłośnicy powieści kryminalnych z epoki PRL-u mie-

li do tej pory poważny problem z gromadzeniem ulubionych książek wydawanych w klasycznych seriach:

Klub Srebrnego Klucza, z Jamnikiem, Labirynt, Różo-

wa Okładka oraz wielu innych, nie było bowiem żad-

nego wykazu czy katalogu, grupującego w komplekso-

wy sposób te bezcenne dla koneserów pozycje. Nasz

katalog wypełnia tę bolesną lukę informując, co, kie-

dy i w jakiej serii wydano, co z pewnością niejednemu

ułatwi kompletowanie zbiorów.

Seria z Warszawą

Helena Sekuła

„Tęczowy cocktail”

„Tęczowy coctail” ukazał się po raz pierwszy w ro-

ku 1962 w legendarnej serii kryminalnej wydawnictwa Iskry - Klub Srebrnego Klucza. Już w tej debiutanckiej powieści Heleny Sekuły można dostrzec wiele cech właściwych dla późniejszych dzieł pisarki. Warto zwrócić uwagę przede wszystkim na wielowątkowość fabuły, nagłe zwroty akcji, a przede wszystkim galerię intrygujących, mocnych postaci kobiet.

Helena Sekuła

„Kieliszek Bordeaux”

Helena Sekuła

„Wstęga Kaina”

„Kieliszek Bordeaux” może z powodzeniem uchodzić z „Tęczowym cocktailem” za dylogię. Łączy te dzieła czas powstania, trunkowy tytuł oraz osoba śledczego - majora Korosza - jednego z najzdolniejszych oficerów dochodzeniowych Komendy Głównej Milicji”. Tym razem major Korosz musi odkryć, ktoż to był łaskaw otruć tytułowym kieliszkiem wina, wzbogaconym o stosowną dawkę cyjanku potasu, niejakiego Igora Ordon - z zajęcia producenta ceramiki, z zamiłowania zaś hurtowego łamacza serc niewieścich.

„Wstęga Kaina” to trzeci tytuł, który ukazuje się w Serii z Warszawą. Napisana z epickim rozmachem,

wypełniona wartką fabułą kryminalną i techną
wielkim światem, powieść Heleny Sekuły miała zo-
stać opublikowana przez wydawnictwo Iskry w słyn-
nej serii Klub Srebrnego Klucza. Niestety, nie miała
szczęścia. Maszynopis zakwalifikowano do druku
dopiero w roku 1990, kiedy seria przestawała ist-
nieć. Dotąd zatem „Wstęga Kaina” jest znana jedynie
tym Czytelnikom, którzy mieli szczęście zetknąć się
z pierwodrukiem gazetowym.

Zygmunt Zeydler-Zborowski

„Czwarty klucz*

Powieść kryminalna Zygmunta Zeydlera-Zborow-
skiego „Czwarty klucz” nie miała dotąd wydania
książkowego. Była publikowana w odcinkach na ła-
mach „Kurierza Polskiego” w roku 1981. Miłośnicy
twórczości tego autora na pewno nie będą zawiedze-
ni. Wielkie emocje i zazdrości kulminują morder-
stwem przy użyciu sztyletu. Ginie piękna kobieta,
a podejrzanych nie brakuje. Brawurowe zwroty ak-
cji, cięte dialogi oraz szczypta erotyki, to niezaprze-
czalne atuty „Czwartego klucza”.

Piotr Kitrasiewicz

„Sherlock Holmes i koledzy”

Książka Piotra Kitrasiewicza „Sherlock Holmes

i koledzy" jest monografią o detektywach - począwszy od pierwszego, którego powołał do życia na kartach swoich powieści Edgar Allan Poe, poprzez wszystkich bardziej lub mniej znanych, aż po Jamesa Bonda. Autor omawia wprawdzie tylko rdzennych detektywów z Zachodu, ale nie wątpimy, że prędzej czy później napisze monografię poświęconą kapitanowi Glebowi, porucznikowi Szczęsnemu, majorowi Downarowi, majorowi Koroszowi i innym tuzom rodzimych organów ścigania.

Anna Kłodzińska

„Królowa nocy”

Prawdziwy oficer milicji jest na służbie zawsze. Jeżeli przebywa na urlopie, to też jest na służbie. Może o tym nie wiedzieć, ale rychło się dowie. Tak jest w wypadku majora Stefana Downara, któremu upragniony odpoczynek przerwał trup i to trup kobiety, znaleziony w sopockim pensjonacie, w którym Downar zamieszkał. Prywatne uciechy muszą poczekać - Downar rzuca się w wir dochodzenia.

Legendarna powieść Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego „Nieudany urlop majora Downara” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Dziennika Łódzkiego” na przełomie 1968

i 1969 roku.

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej „Królowa nocy” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Dziennika Zachodniego” w roku 1971.

Dyrektor Derbach miał stosowne stanowisko, odpowiednią do niego żonę oraz perspektywę na awans. Do pełni życiowego szczęścia brakowało mu tylko skoku w bok. Gdy nadarzyła się ku temu okazja, poszedł w nią jak w dym. Miał jednak pecha. Rychno po zaznaniu cielesnych uciech dyrektor Derbach dostał propozycję nie do odrzucenia. W zamian uzyskał obietnicę nierozpowszechniania pięknych zdjęć wiadomego rodzaju...

Anna Kłodzińska

„Jak śmierć jest cicha”

Zygmunt Zeydler-Zborowski

„Za dużo kobiet”

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej „Jak śmierć jest cicha” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Ilustrowanego Kuriera Polskiego” w roku 1962.

Po Warszawie grasuje tajemniczy morderca. Najpierw śmiertelne strzały padają na Dworcu Warsza-

wa Główna. Potem akcja przenosi się na prawą stronę Wisły. Kolejny trup na stacji Warszawa Wileńska. Z kolei w wykopie na Mokotowie odkryto czyjeś zwłoki. Czy coś łączy te trzy sytuacje? Kapitan Szczęsny, jeden z asów Komendy Stołecznej Milicji, staje przed najtrudniejszym zadaniem w swej karierze...

Legendarna powieść Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego „Za dużo kobiet” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Kurierza Polskiego” w roku 1986. Co łączy pracownika spółdzielni krawieckiej i estradową szansonistkę, poza nagłą śmiercią? Jakby dwóch trupów było mało, mamy jeszcze aferę szpiegowską oraz narkotykową. Na okrasę zaś cały tłum kobiet zaciemniających milicji drogę do prawdy. Całe szczęście major Stachurski z kontrwywiadu to spec jakich mało. Sprostą każdemu wyzwaniu.

Jerzy Edigey

„Uparty milicjant”

Jerzy Edigey

„Czek dla białego gangu”

Powieść Jerzego Edigeya „Uparty milicjant” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Głosu Pracy”

w roku 1980.

Jak wynika z tytułu, ważną cechą dobrego milicjanta jest upór. Czasem śledztwo może ciągnąć się latami. Tak właśnie było w przypadku tajemniczego zaginięcia w Kętrzyńskim. Mianowicie zawieruszył się pewien mężczyzna po weselu. Milicja nie dała wiary sugestiom, jakoby zaginiony wyjechał w Kieleckie i tam zszedł z pola widzenia organów ścigania. Latami trwa zmowa milczenia w rodzinnej wsi. Milicja jednak na wszystko znajdzie sposób.

Warszawska afera cementowa zatacza coraz szersze kręgi. Milicja wyłapała już prawie wszystkich i właśnie wtedy w Alei Szucha zostaje napadnięty pracownik prokuratury. Nieznany sprawca kradnie niezwykle cenny tom akt, do którego dołączony był czek na 80 tys. dolarów - należność za opchnięty na lewo transport szybkoschnącego cementu 404.

Tę piekielnie trudną sprawę dostaje major Stanisław Krzyżewski. Właśnie zakończył w Zambrowie sprawę pewnego kowala. Afera cementowa to sprawa zupełnie innego kalibru. Wygląda na niezły kopniak w górę. Czy major sprosta wyzwaniu?

Wznowienie pierwszej opublikowanej książkowo powieści Jerzego Edigeja - smakowita lektura nie

tylko dla wielbicieli kryminałów, ale również dla miłośników Warszawy.

Helena Sekuła

„Złoty blues”

Jerzy Edigey

„Niech pan zdejmie rękawiczki”

Major Stefan Korosz znowu w akcji. Tym razem as oficerów śledczych Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej musi zmierzyć się z gangiem przemytników i wyjaśnić co się stało z drogocenną kolia oraz kogo i dlaczego pchnięto nożem w portowej knajpie. Oczywiście tam gdzie Korosz, tam i piękna, tajemnicza modelka. Czyżby miała coś wspólnego z kryminalną aferą?

Legendarna powieść Heleny Sekuły „Złoty blues”

po raz pierwszy ukazuje się w formie książkowej.

Dotąd publikowana była jedynie w odcinkach na łamach „Kurierza Polskiego” w roku 1961.

W peryferyjnej dzielnicy Warszawy grasuje morderca. Pierwsza ofiara zostaje znaleziona w wannie, we własnym mieszkaniu. Wkrótce giną kolejne dwie osoby. Nic nie wskazuje na motywy rabunkowe. Milicja rzuca na ten trudny dochodzeniowo odcinek majora Polakiewicza. Wspiera go dzielnicowy Lip-

kowski. Czy to wystarczy?

Legendarna powieść Jerzego Edigeya „Niech pan zdejmie rękawiczki” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Dziennika Zachodniego” w roku 1971.

Jerzy Edigey

„Ostatnie życzenie Anny Teresy”

Legendarna powieść Jerzego Edigeya, która nie miała dotąd książkowej edycji. Tylko wielcy psjonaci kryminałów z PRL mogą znać ten tytuł, który był publikowany w odcinkach m.in. na łamach „Kurierza Polskiego” w roku 1979.

Powieść z czasów schyłkowego Gierka należy do rzadko uprawianego w Polsce nurtu kryminału sądowego. Nie tylko dlatego jednak warta jest dziś uwagi. Uważny czytelnik znajdzie tu specyficzny koloryt epoki, dostrzeże wzmiankę o działającej do dziś w Warszawie kawiarni, a nawet pozna szczegółowo zawartość torebki pewnej damy. Większość akcji rozgrywa się oczywiście na sali sądowej, a rozpatrywana sprawa dotyczy szczególnego morderstwa.

Wejdź na www.klubmord.com

zgłoś akces do Klubu MOrd

i kupuj następne książki

w Serii z Warszawą

po cenie klubowej